

Panos Karnezis  
KLASZTOR



Replika

# Karnezis Panos

## Klasztor

Są miłości platoniczne. Są miłości namiętne lub skryte. I są miłości zakazane – zwłaszcza dla zakonnic.

Początek XX wieku. Stojący w odległej części hiszpańskiej sierry Klasztor Marii Panny Miłosiernej staje się domem dla kobiet, które w ascetycznych warunkach przysięgły spędzić resztę życia, poświęcając się modlitwie i życiu w czystości. Monotonia ich egzystencji odmienia się, a ustalony rytm zostaje zachwiany, kiedy na schodach znajdują walizkę z podrzuconym noworodkiem. Zakonnice z przerażeniem uznają, że to zły omen i diabelska sztuczka, żądają oddania dziecka do przytułku.

Jednak matka przełożona, Maria Inés, dostrzegając w zdarzeniu znak od Boga i szansę na naprawienie grzechów popełnionych w młodości, mimo protestów, postanawia pozostawić dziecko w klasztorze. Dopiero teraz ujawniają się prawdziwe charaktery sióstr, czarniejsze od ich habitów. Nie wszystkie są lub były tak święte, jak się wydawało...

Powietrze gęstnieje od intryg, a spokój tego miejsca ginie bezpowrotnie.



Tych, których Bóg chce zniszczyć, najpierw czyni szalonymi. Siostra Lucia, młoda nowicjuszka, była już spóźniona i, spiesząc się do samochodu, którym miała pojechać do miasta, starą walizkę zobaczyła dopiero wtedy, gdy zbiegła ze schodów. Walizka stała przy najniższym stopniu. Była skórzana, z miedzianymi okuciami, drewnianą rączką i zardzewiałymi zamkami. W jej pokrywie, noszącej ślady wielu trudnych podróży po świecie, ktoś wywiercił kilka okrągłych dziur. W pierwszej chwili Lucia pomyślała, że walizka pełna jest ubrań dla biednych ludzi - często przynoszono je do klasztoru - ale kiedy zajrzała do środka przez jedną z dziur, zobaczyła coś, co przeraziło ją tak mocno, że krzyknęła i w wielkim pośpiechu pobiegła po schodach z powrotem.

W tym czasie siostra Maria Ines, matka przełożona klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, skończyła pisać najpilniejszą korespondencję i siedziała przy biurku z zamkniętymi oczyma, chcąc oczyścić umysł z przyziemnych myśli. Nawet w taki słoneczny dzień jak dzisiaj światło z trudem wpadało do pomieszczenia, które było zarówno jej biurem, jak i pokojem mieszkalnym. W kącie stało wąskie łóżko,

przykryte cienutkim matercem oraz stolik, na którym umieszczona była zapalona lampka. Na ścianie, pośród odpadającego tynku, wisiało kilka religijnych obrazów, a w wąskiej niszy stała figurka modlącej się Maryi Dziewicy. Wyposażenie pomieszczenia uzupełniały krzesła, fotele i inne meble nie mające żadnego praktycznego przeznaczenia. Siostra Maria Ines posiadała niewiele rzeczy osobistych i przyjmowała w swojej kwaterze jeszcze mniej gości. Więc kiedy młoda nowicjuszka niespodziewanie weszła do środka, matka przełożona otworzyła oczy i popatrzyła na nią z nieskrywanym rozczarowaniem.

Czasami żałowała, że nie jest kartuzką - nie musiałaby wówczas w ogóle mówić. Próbowwała wymóc na swoich zakonnicach zobowiązanie do samotności i milczenia, jednak efekty jej nie satysfakcjonowały. Sama złożyła śluby zakonne na przełomie wieków, jeszcze przed pojawieniem się telefonu i radia, kiedy łatwiej było wieść życie w pełni poświęcone Bogu. Od tego czasu była świadkiem, jak ludzka egzystencja staje się coraz bardziej niespokojna i jak coraz bardziej brakuje w niej kontemplacji - nawet tutaj, w klasztorze, mimo że jedynym sposobem komunikacji sióstr zakonnych ze światem zewnętrznym były wyłącznie cotygodniowe wyprawy samochodem do miasta, położonego w odległości wielu mil. Siostra Maria Ines nie miała nic przeciwko postępowi, była jednak przekonana, że gatunek ludzki niepotrzebnie posiada aż tak wysoki poziom inteligencji. W jej głosie dało się wyczuć jedynie cień wyrzutu, gdy skinęła nowicjuszcze głową i zapytała:

- Czy znowu chodzi o Wędrującego Żyda, Lucio?

W ubiegłym roku dziewczyna jakoby widziała go aż pięciokrotnie i za każdym razem biegła do kaplicy, żeby

rozkołysać dzwon. I też za każdym razem myliła się. Okazywało się, że natrafiała albo na samotnych myśliwych, którzy zabłądzili w sierze, albo na nieustraszonych Cyganów, którzy przybywali do klasztoru w celu sprzedaży zakonnicom towarów, których nikt nie chciał kupić w mieście.

Dziewczyna potrzęsnęła przecząco głową. Tym razem nie chodziło o Wędrującego Żyda. Siostra Maria Ines podeszła do okna i popatrzyła na schody. Po chwili już tam była. Otworzyła zamki starej walizki, drżącą ręką uniosła pokrywę i zobaczyła nagie niemowlę, leżące na grubej warstwie wilgotnych od potu wełnianych szmat. Duże dziury w pokrywie walizki pozwalały bowiem dziecku na oddychanie, ale nie dawały żadnej ulgi od wysokiej temperatury późnego lata. To był chłopiec. Pepowinę odcięto mu dość beztrosko i nieudolnie. Jej resztki zwisały z brzucha jak sflaczały balon. Mimo gorąca i oślepiającego słońca niemowlak spał i nie obudził się nawet wtedy, gdy siostra Maria Ines wyjęła go z walizki i, z nowicjuską podążającą za nią krok w krok, przeniosła do swojego pokoju. Zawinęła dziecko w czysty ręcznik i położyła na łóżku. Dopiero wtedy odezwała się do siostry Lucii:

- Powiedz mi, co się stało.

- Właśnie szłam do samochodu - odparła zakonnica. - Walizka leżała przed schodami, wielebna matko. Nie dotknęłam jej.

Siostra Maria Ines nauczyła nowicjuskę prowadzić samochód po tym, jak siostra Beatriz, dotąd odpowiadająca za cotygodniowe wyprawy do miasta, poprosiła o zwolnienie jej z tego obowiązku. Przez ostatni miesiąc to właśnie siostra Lucia jeździła prawie trzydzieści mil do miasta po zaopatrzenie, korespondencję, a także po najnowsze

wiadomości i plotki, którymi dzieliła się później z innymi zakonnicami. Ich samochód, bardzo stary Ford T ze składanym dachem i acetylenowymi lampami, należał kiedyś do biskupa, zanim ten przekazał pojazd klasztorowi, kiedy kupił sobie nowy.

- Zauważyłaś kogoś, kto mógłby zostawić to dziecko? - zapytała matka przełożona.

- Nie, wielbna matko.

- Kto jeszcze o nim wie?

- Nikt. Przybiegłam prosto do matki.

Matka przełożona przez chwilę, wciąż z niedowierzaniem, wpatrywała się w niemowlę, aż wreszcie odezwała się do nowicjuszki stanowczym głosem:

- Możesz już iść. Sama zdecyduję, kiedy powieścić siostram o tym dziecku.

Gdy została sama, usiadła na skraju łóżka i nadal przypatrywała się w milczeniu śpiącemu niemowlakowi. Była to jedna z rzadkich chwil w jej życiu, kiedy nie wiedziała, co robić dalej. Wstąpiła do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej miesiąc po tym, jak mężczyzna, którego zamierzała poślubić, zginął na drugim końcu świata, i od tego dnia nie miała ani chwili zwątpienia, że podjęła właściwą decyzję. Portret przedstawiający jego w białym mundurze wisiał na ścianie w rzędzie świętych Kościoła, których grobowe twarze zdawały się przypatrywać siostrze przełożonej z dezaprobatą. Zdawała sobie sprawę, że umieszczenie go tam ocierało się o bluźnierstwo, jednak nie zdejmowała go nawet wtedy, kiedy do klasztoru przyjeżdżał biskup, żeby raz w miesiącu celebrować z zakonnicami niedzielą mszę. Biskup nie czynił na ten temat żadnych uwag. Poza tą jedyną słabostką siostra Maria Ines była wzorową służebnicą

Pańską. Wciąż chodziła w tym samym habitcie, który miała na sobie, kiedy składała śluby zakonne. Habit nadal był w dobrym stanie, jeśli nie liczyć śladów nad kolanami, które dowodziły, że siostra przez wszystkie te lata codziennie się modliła. Pod habitem nosiła prostą luźną garderobę, która ani nie grzała jej zimą, ani nie przynosiła ochłody latem, tym niemniej chroniła jej duszę przed próżnymi pokusami. Miękkie skórzane podeszwy butów pozwalały jej zjawiać się w różnych pomieszczeniach jakby znikąd. Umiejętność ta wywoływała u zakonnic zdumienie i sprawiała też, że siostra Lucia myślała o matce przełożonej jak o prawie świętej, posiadającej nadnaturalne moce.

Skończywszy wreszcie wpatrywać się w dziecko, siostra Maria Ines ocknęła się ze stanu kontemplacji i znów była sobą. Przede wszystkim musiała postarać się o jedzenie dla niemowlaka. Poszła do kuchni, gdzie zakonnice przygotowywały obiad, i poprosiła o przegotowane mleko, śmietaną oraz cukier. Kobiety były zaintrygowane. Siostra Maria Ines zawsze ostrzegała je, że wszelkie jedzenie pomiędzy wyznaczonymi godzinami posiłków to pierwszy krok na drodze do niepohamowanego obżarstwa. Kiedy jednak ośmieliły się zapytać, dlaczego siostra przełożona potrzebuje mleka, śmietany i cukru właśnie teraz, uciszyła je kilkoma słowami:

- Na razie mnie nie pytajcie. Wszystkiego dowiedziecie się po wieczornym nabożeństwie.

Wróciwszy do pokoju, wymieszała w miseczce odrobinę mleka ze śmietaną i cukrem, dołączyła do mikstury trochę wody, a potem uzupełniła ją kilkoma kroplami tranu, dla wzmocnienia delikatnego zdrowia niemowlaka. Następnie ułożyła sobie dziecko na ramionach i zaczęła karmić.

Nigdy nie urodziła dziecka, potrafiła jednak opiekować się i dziećmi, i chorymi. Zaraz po złożeniu ślubów poprosiła o wysłanie do Afryki, gdzie spędziła trzy lata w szpitalu misyjnym. Zaczynała jako prosta, niewykształcona zakonnica, jednak w wolnym czasie studiowała podstawy medycyny i wkrótce lekarze zaczęli uważać ją za niezastąpioną. Praca w szpitalu sprawiała siostrze przyjemność i pewnie wciąż by ją wykonywała, jednak kiedy już zaczynała czuć się w Afryce jak we własnym domu, niespodziewane konsekwencje ataku malarii zmusiły ją do powrotu do Europy.

Skończywszy karmić dziecko, przytuliła je do piersi i lekko klepała po plecach tak długo, dopóki niemowlakowi nie odbiło się. Dopiero wtedy ułożyła je na łóżku, żeby spokojnie usnęło, po czym zainteresowała się walizką. Obejrzała stare zamki, wyściółkę z waty, którą można kupić w każdej aptece, dziury w pokrywie, które wykonano tak starannie, jakby zależało od nich życie dziecka, jednak zagadki pojawienia się niemowlaka nie rozwiązała. Ktokolwiek położył walizkę u stóp schodów prowadzących do klasztoru, zaplanował to bardzo starannie i siostra Maria Ines z pewną pobłażliwością pomyślała, że chociaż osoba ta nie kochała dziecka na tyle, by je przy sobie zatrzymać, postarała się przynajmniej, aby nie umarło.

Rozbrzmiał dźwięk dzwonu i siostra szybko obmyśliła plan na najbliższe godziny. W ciągu tych wszystkich lat, które spędziła w klasztorze, nigdy nie opuściła modlitwy. Patrzyła przez chwilę na dziecko i przekonana, że jeszcze przez jakiś czas będzie spało, postanowiła wyjść. Upewniła się, że promienie słońca wpadające przez okna nie dotrą do niego, a następnie szybko i na palcach, żeby przypadkiem nie obudzić niemowlaka, podeszła do drzwi. Kiedy



je otworzyła, stanęła twarzą w twarz z siostrą Beatriz. Zakonnica zaczerwieniła się.

- Co tutaj robisz? - zapytała siostra Maria Ines.

- Właśnie zmierzałam do kaplicy. Zatrzymałam się, żeby przypomnieć siostrze, że już czas na modlitwę. Słyszała siostra dzwon?

Siostra Maria Ines spojrzała na Beatriz z wyrzutem.

- Mam wystarczająco duże uszy. Nie trzeba mi przypominać o modlitwie. Dopóki jestem w stanie chodzić, nie zamierzam zaniedbywać swoich obowiązków. - Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła ku schodom. - Cieszę się, że w końcu dołączasz do nas w modlitwie.

- Przepraszam.

- Zakonnica nie jest zakonnica, jeśli nie modli się regularnie.

- Modliłam się w mojej celi, wielbna matko.

- W twojej celi - powtórzyła siostra Maria Ines. - Cieszę się, że to słyszę.

Kiedy kilka lat temu siostra Beatriz przyszła do klasztoru, tak naprawdę wcale nie chodziło jej o wstąpienie do zakonu i służbę Bogu, ale o ucieczkę przed straszną epidemią grypy, szerzącą się na świecie. Choroba zabiła wówczas więcej ludzi niż Czarna Śmierć w średniowieczu i jeszcze więcej niż Wielka Wojna. Matka przełożona była jednak pod wrażeniem pokory i religijnej gorliwości młodej kobiety. Zatem, gdy trochę później jej rodzice zginęli w epidemii, siostra Maria Ines zasugerowała dziewczynie, aby wstąpiła do zakonu, a ta zgodziła się. Kiedy wkrótce wizytę w klasztorze złożył ksiądz, matka przełożona odbyła z nim rozmowę. I oto pod koniec mszy świętej ksiądz przywołał dziewczynę do ołtarza i zapytał, czy chce umrzeć dla świata,

wyrzec się jego przepychu i próżności oraz założyć habit zakonny. Na wszystkie pytania młoda kobieta odpowiadała twierdząco. Wstała ze stopni ołtarza i główną nawą wyszła z kaplicy, by przywdziać habit. Powróciła ubrana w białą szatę i woalkę nowicjuszek. Powtórzyła słowa ślubowania i otrzymała imię, pod którym od tej chwili miała być znana aż do śmierci: Beatriz.

Dwa lata później ponownie uklękła przed księdzem i złożyła ostateczne śluby. Siostra Maria Ines nie miała powodu, aby się obawiać, że młoda kobieta okaże się kimś innym niż po prostu przykładną siostrą zakonną. Siostra Beatriz wykonywała swoje obowiązki z wielkim zapałem, a jeśli kiedyś opuszczała modlitwę, matka przełożona kładła to tylko na karb religijnej żarliwości, z jaką wszystkie jej zakonnice oddawały się swoim obowiązkom i z jaką pościły. Często ganiła je za to, że o siebie nie dbają i brną w zupełnie niepotrzebne umartwianie ciała, które skutkuje omdleniami w czasie modlitwy i przewracaniem się na posadzkę kaplicy. Wtedy siostra Maria Ines musiała przerywać nabożeństwa i podsuwać im pod nosy sole trzeźwiące, które przywracały im świadomość.

Dwie kobiety zeszły po schodach i przemierzyły wewnętrzny dziedziniec klasztoru, zmierzając ku kaplicy. Zegar na dzwonnicy wskazywał pięć minut po południu. Matka przełożona przyśpieszyła kroku, a siostra Beatriz posłusznie szła za nią. W kaplicy pozostałe siostry zajmowały już miejsca w ławkach, czekając. Kiedy małe zgromadzenie zakonnice usłyszało nadchodzące kobiety, wszystkie odwróciły się i popatrzyły w kierunku drzwi. Siostra Maria Ines odrobinę uniosła habit i z surowym wyrazem twarzy weszła

po schodach do kaplicy. Przy drzwiach przystanąła jeszcze, wsunęła palec do kropielnicy i przeżegnała się.

- Przepraszam - powiedziała, przemierzając kaplicę główną nawą i patrząc prosto przed siebie. - To siostra Beatriz mnie opóźniła.

Pośpiesznie zajęła swoje miejsce na ołtarzu i rozpoczęła orację:

- *Deus in adiutorium meum intende.* Zakonnice wstały i odpowiedziały jej, jednocześnie czyniąc znak krzyża:

- *Domine, ad adjuvandum me festina.*

Siostra Maria Ines zwykle z zadowoleniem wkraczała do chłodnej, ciemnej kaplicy, gdzie zakonnice gromadziły się na modlitwach osiem razy dziennie. Dzisiaj jednak ze wstydem stwierdzała, że nie potrafi się skoncentrować. Jednak zajmowała miejsce przy ołtarzu już tyle razy, że potrafiła wykonywać swoje obowiązki, nie okazując, iż jej umysł błądzi w obłokach. Z nadzieją, że Bóg wybaczy jej ten rzadki moment słabości, założyła okulary, wzięła głęboki oddech, zdający się unosić z głębi jej duszy, i otworzyła średniowieczny manuskrypt. Dzisiejsze czytanie pochodziło z Księgi Rodzaju. Zaczęła czytać długie, skomplikowane zdania wyraźnym, pewnym głosem, nie tracąc czasu na oddechy, co było jej kolejną straszliwą, nieziemską umiejętnością. Głęboki oddech następował dopiero po zakończeniu każdego zdania. Skończywszy - chłodna, władcza i zadowolona z wystąpienia - dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że odczytała zły fragment. Zamknęła ciężką księgę i popatrzyła na zgromadzone siostry. Mimo że wszystkie milczały, poczuła się nieswojo, stwierdziwszy własny błąd. Wciąż nie potrafiła się powstrzymać od myślenia o dzisiejszym

nadzwyczajnym wydarzeniu. Tym niemniej zapach płonących świec z każdą chwilą przywracał jej koncentrację. Miała właśnie rozpocząć kolejny hymn, kiedy do kaplicy dotarł odległy dźwięk, który uniemożliwił spokojne dokończenie modlitwy. Dźwięk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszano w murach starego klasztoru. W absolutnej ciszy nie dało się go jednak pomylić z niczym innym. To był płacz niemowlaka.

Czas nadał klasztorowi Matki Boskiej Miłosiernej mistycznego wyglądu. Zbudowany w szesnastym wieku jako miejsce ciszy i kontemplacji, stał na szczycie wzgórza w niezamieszkałej części sierry, wśród gęstego lasu sosnowego. Sercem zabudowań był wielki dziedziniec, otoczony wspaniałym krużgankiem, którego charakterystycznymi elementami były strzeliste łuki i bogato zdobione filary. Z jednej strony dziedzińca stała kaplica z wysoką dzwonnica, na której szczycie w dziewiętnastym wieku zainstalowano zegar, podtrzymywany przez dwa kamienne anioły. Ufundował go owdowiały handlarz ku pamięci swej żony. Wnętrze kaplicy udekorowane było pięknymi, chociaż teraz już mocno wyblakłymi freskami, przedstawiającymi stacje drogi krzyżowej. Po przeciwnej stronie dziedzińca, połączony ocienionym przejściem z klasztorem, które chroniło przed słońcem i deszczem, stał dom matki przełożonej, a także dormitorium i refektarz, w którym zakonnice jadały, zażywały relaksu po nieszpórach i przebywały tak długo, aż nie rozbrzmiał dzwon, wzywający na modlitwę wieczorną.

Frontem do dziedzińca ustawiona była także stara szkoła dla nowicjuszek. Korzystano z tego budynku przez wiele lat, jednak teraz stał opuszczony i popadał w ruinę. Obecnie jedyną nowicjuską w klasztorze była siostra Lucia, która pobierała nauki od matki przełożonej w jej biurze. Lucia uczestniczyła we wszystkich godzinach kanonicznych, a poranki, kiedy wszystkie inne siostry zajęte były pracami porządkowymi w klasztorze, spędzała na czytaniu Pisma Świętego. Matka przełożona uczyła ją też łaciny, poddawała ćwiczeniom duchowym i próbom pokory, słuchała jej spowiedzi i podawała jej komunię świętą, wbrew zasadom Kościoła - przecież mogli to czynić tylko kapłani. Kiedy się akurat nie uczyła, młoda nowicjuską pięknie haftowała religijne szaty i sukna, co dawało klasztorowi dodatkowe, chociaż skromne dochody. Popołudniami matka przełożona zabierała ją na długie spacery po sadzie, gdzie obie prowadziły dyskusje o stworzeniu świata, o tym, ile gwoździ zużyto do ukrzyżowania Chrystusa i o innych kwestiach doktrynalnych. Czasami jednak przystawały w cieniu i po prostu w milczeniu podziwiały piękno natury. Siostra Lucia czuła wielki szacunek do matki przełożonej, a jeśli zadawała jej trudne pytania, to wynikały one raczej z chęci zgłębienia drobnych szczegółów omawianych spraw niż niewiary w jakieś kwestie. Wszystkie odpowiedzi dokładnie zapamiętywała. Chociaż nie była nadzwyczaj bystra, okazywała wielką pobożność, a matka przełożona, która wiele dziewcząt przeprowadziła już przez nowicjat, nie miała wątpliwości, że pewnego dnia siostra Lucia wejdzie do Królestwa Niebieskiego.

Rzadko używano domu gościnnego za starą szkołą dla nowicjuszek, jednak zakonnice, chlubiące się swoją

gościnnością, utrzymywały go w dobrym stanie. To tutaj nocował biskup, kiedy przy okazji comiesięcznych wizyt w klasztorze czasami postanawiał pozostać na noc. Urzeczony wspaniałym widokiem gór, rozpościerającym się z balkonu, siadał na nim ze szklanką lemoniady w ręce i obserwował, jak słońce powoli chowa się za sosnami. Jednocześnie prowadził długie swobodne rozmowy z matką przełożoną, przerywane czasami przez pohukiwanie mądrych sów, zamieszkujących na dachu klasztoru.

Korytarz z refektarza prowadził do kuchni, piekarni i spiżarni, gdzie składowano zapasy przywożone samochodem z miasta: worki z mąką, nasiona roślin strączkowych i ziarno, beczki z solonymi rybami oraz drewniane skrzynie z lodem, izolowane korkiem i wykorzystywane przy rzadkich okazjach, gdy zakonnice kupowały świeżą rybę.

Każdego poranka o godzinie piątej zakonnice budziło bicie dzwonu. Natychmiast klękały przed swoimi łózkami i modliły się za cierpiący rodzaj ludzki. Następnie myły się, ubierały i pędziły do kaplicy, gdzie matka przełożona była już gotowa, żeby rozpocząć poranne modlitwy. Zanim rozpoczęło się w kaplicy główne nabożeństwo, miały czas na wypicie w refektarzu filiżanki herbaty, zjedzenie pajdy chleba i odrobiny owoców. Po modlitwie gromadziły się na dziedzińcu i wówczas matka przełożona wyznaczała im zadania na cały dzień. Kobiety przyjmowały polecenia skinieniem głowy, po czym w milczeniu rozchodziły się do pracy.

Co trzy godziny przerywały ją i wracały do kaplicy na modlitwę. Przed porą lunchu siostra Maria Ines obchodziła klasztor, żeby sprawdzić, czy zakonnice należycie wykonały zleczone im zadania. Następnie, trzymając dłonie



w przeciwnych rękawach habitu, zadawała pytania, pomagała rozwiązać problemy i hojnie obdarowywała swoje podwładne pochwałami, jednak nigdy nie kończyła spotkania, nie przypomniawszy uprzednio kobietom, że trwanie klasztoru, jak i zbawienie ich dusz zależy od jakości wykonywanej przez nie pracy. O trzynastej wszystkie zakonnice w milczeniu rozpoczynały lunch, a siostra przełożona głośno czytała im modlitwy. Później miały wolny czas na pisanie listów do rodzin oraz na prace własne.

Po popołudniowej modlitwie wracały do prac zleconych przez siostrę przełożoną. Kończyły je, kiedy zbliżała się pora kolacji. Rozpoczynała się ona od bardzo niechętnego połknięcia przez każdą zakonnice łyżki tranu. Była to praktyka, którą zapoczątkowała dopiero obecna matka przełożona, świadoma od czasu swojej posługi misyjnej, że tran bardzo dobrze wpływa na stan zdrowia. Po kolacji zakonnice miały godzinę na rekreację. Poświęcały ten czas na sycie, czytanie i - raz w miesiącu - na oglądanie w refektarzu magicznych przezroczy, które matka przełożona zamawiała za pośrednictwem poczty. Następnie przychodził czas na nieszpory, po czym siostry znowu miały wolne aż do modlitwy nocnej i wielkiej ciszy. W środku nocy wstawały jeszcze z łóżek i w swoich celach odmawiały nocne modlitwy.

We wschodnim transepcie kaplicy znajdowała się biblioteka wypełniona manuskryptami religijnymi i drukowanymi książkami, których nie zakazała Inkwizycja. Klasztor miał też dwa ogrody, gdzie siostry uprawiały warzywa i zioła wykorzystywane w kuchni oraz kwiaty, które latem sprzedawały kwiaciarzom z miasta, aby uzupełnić dochody klasztoru. Za kaplicą stał też dobrze wyposażony

warsztat stolarski, nieużywany już od wielu lat; znajdował się tam także cmentarz z krzyżami i nagrobkami pokrytymi żółtawym mchem. Tam siostry były grzebane. Do klasztoru należało jeszcze kilka innych budynków i pomieszczeń, ale, tak jak szkoła dla nowicjuszek, od dłuższego czasu stały już puste i popadały w ruinę. Pokoju muzycznego, gdzie w przeszłości odbywały się próby chóru, sławnego daleko poza granicami diecezji, używano obecnie jako magazynu starych mebli i narzędzi, które - chociaż nikt nie chciał tego przyznać - do niczego już się nie nadawały. Na wysokich kominach klasztoru bociany pozakładały gniazda. Pozostawały w nich do późnych dni października, po czym odlatywały do Afryki i wracały dopiero wiosną. Przez kolejne lata liczba zakonnic w klasztorze kurczyła się i obecnie przebywało w nim jedynie pięć sióstr oraz matka przełożona. Siostra Maria Ines nie miała wątpliwości, że jej podopieczne to ostatnie przedstawicielki epoki, która nieuchronnie zmierza do końca.

Kiedy siostry w kaplicy usłyszały płacz dziecka, wszystkie się przeżegnały i popatrzyły po sobie ze strachem. Wtedy matka przełożona odezwała się spokojnym, mocnym głosem:

- Siostro Carloto - powiedziała. - Pójdź do mojego pokoju i nakarm dziecko. Butelkę z mlekiem znajdziesz na stoliku przy łóżku. - Gestem nakazała pozostałym siostrom, żeby pozostały na miejscach. - Dołączę do ciebie, kiedy tylko skończymy modlitwę.

Siostra Carlota skłoniła głowę, przyjmując polecenie. Była najstarszą zakonnicą w klasztorze - bardzo starą już

wtedy, gdy przybyła do niego siostra Maria Ines, ale mimo podeszłego wieku wykonywała swoje codzienne prace z zapałem i energią, które należało rozumieć jako wołanie do śmierci, żeby nie zabierała jej dopóty, dopóki będzie użyteczna. Matka przełożona bardzo jej ufała. Wychowana w innym czasie niż pozostałe zakonnice, siostra Carlota zawsze dokładnie wykonywała wszelkie instrukcje, nawet jeśli się z nimi nie zgadzała. To ona witała siostrę Marię Ines, kiedy ta wróciła z Afryki, i przyjęła ją pod swoje skrzydła z matczynym oddaniem. Pozostawały sobie bliskie do chwili, gdy siostra Maria Ines, powołana na stanowisko matki przełożonej, z pewną niechęcią, oddaliła się jednak od starszej zakonnicy, przekonana, że zażyłość z Carlota może źle wpłynąć na jej własny autorytet.

Zakonnice obserwowały, jak siostra Carlota wychodzi z kaplicy, po czym popatrzyły na matkę przełożoną. Nie ośmieliły się zadać na temat dziecka żadnego pytania. A tymczasem siostra Maria Ines powróciła do modlitwy. Hymny wychwalające Boga nie odwróciły jednak uwagi sióstr od zagadki. Matka przełożona nakazała zamknięcie drzwi, czuła jednak, że zakonnice wcale nie są skupione na modlitwie. Kiedy przebrzmiały słowa ostatniej, kobiety nadal tkwiły w ławkach z nadzieją, że dowiedzą się, dlaczego na terenie klasztoru znajduje się małe dziecko. Matka przełożona nie miała jednak nastroju, żeby im to wyjaśniać. Powiedziała jedynie:

- Zakończyliśmy. Idźcie w pokoju Chrystusa.

Wyszła z kaplicy przed nimi i pośpieszyła do swojego pokoju. Siostra Carlota siedziała na łóżku z dzieckiem w ramionach. Nie płakało już. Matka przełożona ostrożnie odebrała niemowlę od Carloty.

- To mały, grzeczny aniołek - odezwała się stara zakonnica, kiedy już oddała jej dziecko. - Ale trzeba go karmić.

Siostra Maria Ines zauważyła mały srebrny medalik, przypięty do prześcieradła, w które opatulone było dziecko.

- To święta Brygida - wyjaśniła siostra Carlota. - Będzie się nim opiekowała.

Słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie i, zaczęło zaglądać do pokoju przez wąskie okna. W środku robiło się coraz cieplej. W bardzo ciepłe dni, takie jak dzisiaj, siostra Maria Ines często chroniła się przed gorącem w bibliotece, której wysokie sklepienie sprawiało, że zawsze panował tam miły chłód; opuszczała wtedy bibliotekę jedynie na modlitwy i na posiłki. Pomieszczenie, w którym powietrze przepelnione było ciężkim zapachem pergaminu, mogło się jednak okazać niezdrowe dla niemowlaka. Nie odwracając od niego wzroku, siostra Maria Ines poprosiła Carlotę o otworenie okna.

- Tylko jednego - rzuciła. - Nie chcę, żeby chłopiec się przeziębził.

Stara zakonnica wykonała polecenie. Wobec bezbronnych, drobnych istot odczuwała wielką naturalną miłość. Z oddaniem ratowała bezpańskie psy z miasta i przyprowadzała je do klasztoru, gdzie opiekowała się nimi niczym święty Franciszek z Asyżu. Czas nie oszczędził jej wzroku, jednak wciąż bardzo pewnie, o każdej porze dnia i nocy, poruszała się po klasztorze - na pamięć znała położenie każdego pomieszczenia, każdej klatki schodowej i każdego korytarza.

- Wkrótce trzeba będzie dziecko przewinąć, Carloto - powiedziała matka przełożona. - Przygotuj dla niego pieluszki, z najbardziej delikatnego materiału, jaki znajdziesz.

Zakonnica obiecała, że zaraz to zrobi, po czym zadała pytanie:

- Postanowiłaś już, co z nim zrobisz, wielebna matko? Siostra Maria Ines potrząsnęła przecząco głową.

- Może ktoś nam wskaże jakąś bezdzietną parę? - zasugerowała Carlota.

- To by było wbrew prawu - zauważyła matka przełożona.

- Udajmy się więc z nim do sierocińca.

Matka przełożona zbyła tę sugestię niechętnym grymasem twarzy.

- Z równym powodzeniem mogłybyśmy oddać dziecko Cyganom - zauważyła i niecierpliwie machnęła ręką. - Przepraszam, że z mojej winy opuściłaś modlitwę, Carloto. Ale teraz zajmij się pieluszkami. I niczym innym. Zwalniam cię z pozostałych obowiązków do końca dzisiejszego dnia. Modlić się będziesz w swojej celi.

Stara kobieta podziękowała skinieniem głowy i wyszła z pokoju, rzuciwszy jeszcze ostatnie długie spojrzenie na dziecko. Matka przełożona zaczęła je kołysać w ramionach, żeby usnęło. Bez jej zezwolenia nikt tutaj nie mógł wchodzić. Sprzątała swój pokój ze skrupulatnością i zaangażowaniem, które ktoś nie znający jej mógłby pomylić z pokorą, a które w rzeczywistości wynikały z pragnienia zachowania prywatności, wciąż u niej bardzo silnego, mimo wielu już lat życia w klasztorze. Każdego dnia budziła się na długo przed biciem dzwonu, który przywoływał siostry do kaplicy na poranne modlitwy, myła się, zakładała stary habit i w mroku robiła obchód klasztoru, cicha jak duch, głęboko oddychając nocnym, wilgotnym powietrzem, w którym unosił się zapach sosen. Następnie otwierała kluczem drzwi

do kaplicy, zapalała lampki oliwne, które zdążyły się wypalić w ciągu nocy, i sprawdzała pułapki na szczury, w których przynętą była czekolada. Wyrzucała martwe gryzonie, zanim mogła zobaczyć je siostra Carlota i zapłakać nad ich niedolą.

O świcie była już z powrotem w swoim pokoju i siedziała przy biurku. Obowiązki administracyjne pochłaniały większość jej poranków. Przygotowywała i podpisywała faktury, a wszystkie transakcje zapisywała w księdze wypełnionej jej pięknym odręcznym pismem, jakiego nauczyła się ze średniowiecznych podręczników kaligrafii; w bibliotece było ich całe mnóstwo. Klasztor nie miał swojego konta bankowego. To Maria Ines przechowywała wszystkie pieniądze, weksle różnych dłużników oraz bardzo stare papiery, potwierdzające tytuł klasztoru do ziemi, którą zajmował od czasów króla Filipa II. Wszystko to znajdowało się w dużym kufrze, zamykanym na trzy kłódki. Klucze do nich miała zawsze przy sobie, przypięte do paska razem z różańcem. Uporawszy się z rachunkami, odpowiadała na mnóstwo listów od kobiet, które pytały o możliwość wstąpienia do zakonu. Starła się nie zniechęcać ich do życia zakonnego, jednak podkreślała, na jakie poświęcenia będą musiały się przygotować. Ponad wszystko starała się oceniać na podstawie listów żar ich wiary, wiedziała bowiem, że decyzje o wstąpieniu do zakonu niezmiennie pojawiają się u kobiet pod wpływem nagłych impulsów. Pisała do nich wszystkich, że swoje decyzje powinny bardzo starannie rozważać. Jak się wydaje, czyniła to doskonale, ponieważ rzadko która kobieta pisała do niej po raz drugi.

Popołudnia poświęcała ulubionej rozrywce: pracy przy samochodzie. Była to druga umiejętność, po opiece nad

chorymi, jaką nabyła w czasie pobytu w Afryce. Starego Forda garażowała w szopie za kaplicą, gdzie w niczym niezamoczonej ciszy swojego żywota dokonywał także Midas, bardzo stary osioł. Po lunchu siostra Maria Ines nakładała na habit biały kitel i pompowała opony samochodu, uzupełniała płyn w chłodnicy, smarowała silnik i prowadziła z góry skazane na porażkę zmagania z rdzą, która pojawiała się na karoserii. Raz w miesiącu polerowała samochód woskiem, którego zakonnice używały do pastowania drewnianych podłóg w klasztorze. Sama wykonywała wszystkie naprawy, zadowolona, że oszczędza pieniądze, które musiałaby płacić mechanikowi z miasta. Zaczęła też uczyć siostrę Beatriz obsługi samochodu z nadzieją, że pewnego dnia to ona przejmie na siebie odpowiedzialność utrzymywania Forda na chodzie.

Spędzała w szopie długie godziny, przerywając pracę jedynie na krótkie medytacje i odmówienie różańca. Wreszcie wracała do pokoju, zawieszała na haku kitel i jeszcze przed wszystkimi siostrami udawała się do kaplicy, żeby przygotować popołudniowe modlitwy. Przygotowanie polegało na chodzeniu wzdłuż jednej z naw i cichej medytacji. Tymczasem podmuch powietrza, wpadający przez drzwi, energicznie poruszał płomieniami świec, a cienie wesoło tańczyły na ścianach. Był to ważny rytuał. Kiedy w kaplicy zjawiały się gotowe do modlitw zakonnice, matka przełożona obcowała już z Duchem Świętym.

Dzisiejszego popołudnia nie poszła jednak do szopy. Kołysząc w ramionach niemowlę, żeby zasnęło, stała przed oknem i patrzyła na schody, przy których tego dnia zostało znalezione. Siostra Lucia pojechała do miasta i miała wrócić dopiero po niesporach.

Siostra Maria Ines przeszła od okna do okna i odciągnęła zasłony. W pokoju, w którym powietrze było gorące i nieruchome, zaczęła się pocić i właśnie wtedy, z dzieckiem w ramionach, zrozumiała znaczenie tego, co wydarzyło się dziś rano. Pocałowała niemowlę w czoło i popatrzyła na nie w taki sposób, jakby to dziecko znała od dawna. Po chwili powiedziała:

- Minął bardzo długi czas. Właściwie już się ciebie nie spodziewałam. Ale Pan Bóg zaskakuje swoim zachowaniem nawet swoje najwierniejsze sługi.

Kiedy była młoda, modliła się do Boga o to, aby dał jej jakikolwiek znak swego miłosierdzia. Kontynuowała tę modlitwę jeszcze przez wiele lat po złożeniu ślubów zakonnych, ale Bóg zdawał się jej nie słuchać. W końcu zrezygnowała z modlitw o miłosierdzie, nie przyznając przed sobą, że Bóg ją rozczarował. Dopiero po wielu latach zaczęła się modlić o przebaczenie, że zwątpiła w Jego mądrość, czasami głośno płakała w łóżku; jej płacz można było usłyszeć nawet w dormitorium.

Dziecko znowu zasnęło i ułożyła je na łóżku. Następnie postawiła walizkę w najciemniejszym kącie dwudrzwiowej szafy na ubrania i uklękła przed posążkiem Marii Dziewicy, aby w modlitwie chwalić Boga.



W refektarzu trzy zakonnice dzieliły na małe kawałeczki świeżo wypieczone opłatki, główne źródło dochodów klasztoru. Opłatki należało podzielić przed udaniem się do łóżek. Raz w miesiącu, bardzo wcześnie rano, przyjeżdżał po nie furgonetką piekarz z miasta. Przez całe popołudnie zakonnice rozmawiały tylko o dziecku i z pracą były mocno opóźnione. Obecnie dochodził już prawie wieczór i pracowały w wielkim pośpiechu, już ze sobą nie rozmawiając. Kiedy do refektarza weszła siostra Carlota, popatrzyły na nią z oczekiwaniem. Tymczasem ona bez słowa udała się do magazynku i po chwili wróciła z czystym białym obrusem i nożyczkami. Usiadła przy stole i zaczęła dzielić obrus na małe kwadraty. Siostra Teresa wreszcie nie wytrzymała jej milczenia. Odezwała się:

- Dowiedziałaś się czegoś o dziecku? Stara zakonnica wzruszyła ramionami.

- Nie wolno mi nic mówić. Zapytaj matkę przełożoną. Ale ona chyba wie niewiele więcej.

Zakonnice powróciły do pracy, jednak po chwili ciszę przerwała siostra Ana:

- Nic nie zmienia faktu, że to dziecko tutaj jest. I musimy zdecydować, co dalej robić.

Siostra Carlota wycięła z obrusa kolejny kwadrat.

- Myślę, że ona zechce je zatrzymać - powiedziała i dołożyła kwadrat do pozostałych.

Siostra Ana zmarszczyła czoło.

- To nie wchodzi w grę - oznajmiła, a zmarszczki na jej twarzy, wywołane bardziej surowym temperamentem niż podeszłym wiekiem, pogłębiły się.

Przybyła do konwentu Matki Boskiej Miłosiernej z innego klasztoru, który opuszczała z goryczą, ponieważ nie poznano się tam w pełni na jej rozlicznych umiejętnościach. Potrafiła stenografować, mówiła po niemiecku, francusku oraz po włosku, była też właścicielką maszyny do pisania marki Remington, pochodzącej jeszcze z ubiegłego wieku - tak ciężkiej, że jedynie z wielkim trudem można było ją podnieść. Jako jedyna w klasztorze umiała z niej korzystać. Siostra Maria Ines nie lubiła Any, jednak akceptowała jej świeckie umiejętności. Często prosiła ją o pomoc przy korespondencji, chociaż miała ambiwalentne odczucia w kwestii maszyny do pisania. Podejrzewała, że urządzenie to wynaleziono, żeby ludziom łatwiej było kłamać. Jej rozumowanie było proste: wierzyła, że pismo odręczne zawsze ujawnia prawdziwe znaczenie słów, niezależnie od tego, jak bardzo ktoś chciałby ukryć prawdę w zapisanych dwuznacznościach, wybiegach i zwyczajnych kłamstwach. Uważała się za grafologa-amatora. Twierdziła, że po otworzeniu jakiegokolwiek manuskryptu z klasztornej biblioteki potrafi na podstawie charakteru pisma średniowiecznego kopisty powiedzieć, czy był on pobożnym chrześcijaninem, czy straconą duszą, która teraz smaży się w piekle.

Siostra Ana uważała te teorie za brednie, jednak nigdy nie ośmieliła się tego ogłosić w obecności matki przełożonej. Wycięła kolejny opłatek i powiedziała:

- Uważam, że kwestię dziecka powinniśmy omówić dzisiaj wieczorem.

- Nie ma takiej potrzeby - zareagowała siostra Beatriz. - Matka przełożona i tak sama podejmuje decyzje.

- Ale nie może podjąć decyzji o zatrzymaniu dziecka. Byłoby to ogromnym naruszeniem zasad życia w klasztorze.

- Matka przełożona zna wszystkie zasady równie dobrze, jak ty. A my musimy być posłuszne wszystkim jej decyzjom.

- Nie mów mi nic o posłuszeństwie - powiedziała siostra Ana i powróciła do pracy. Po chwili jednak odezwała się znowu:

- Weź pod uwagę, że na tym świecie są władze wyższe od matki przełożonej. Mam nadzieję, że przynajmniej poinformuje o tym dziecku Guardię.

- Jest także biskup - zauważyła siostra Carlota.

Pod jedną ze ścian stał mocno przytwierdzony do podłogi drewniany krzyż z Jezusem Chrystusem. Promienie słońca sprawiały, że kontury krzyża widoczne były na ścianie i na wysokim suficie. Po czterech wiekach w wilgotnym powietrzu konwentu ciało Jezusa nabrało mętnego, niemal czarnego koloru. Resztki czerwonego koloru na jego cierniowej koronie pochodziły w rzeczy samej od prawdziwej krwi. Dawno temu, w osiemnastym wieku, jakaś matka przełożona nosiła tę koronę przez cały Wielki Tydzień, chcąc odtworzyć Mękę Pańską. Była to ekstrawagancja w typie, jakiego siostra Maria Ines nie pochwalala, ponieważ takie

zachowania dowodziły raczej wielkich dolegliwości duszy niż nadzwyczajnej pobożności i wiary.

Siostra Ana wskazała na starą zakonnice i powiedziała:

- Siostra Carlota ma rację. Jego ekscelencja powinien się dowiedzieć.

- O to akurat nie musimy się martwić - zauważyła siostra Teresa. - Jego ekscelencja jest z natury wszechwiedzący.

Siostra Ana posłała jej złe spojrzenie.

- Jesteś wulgarna. Powinnaś się za siebie wstydzić, siostrzo Tereso.

- Ale to jest prawda. Biskup zawsze wie o wszystkim, co się tutaj dzieje. Chyba ma na biurku kryształową kulę.

- Twoim obowiązkiem jest szacunek i posłuszeństwo wobec jego ekscelencji, siostrzo Tereso - napomniała ją Ana.

Siostra Carlota wycięła z obrusa ostatni kwadrat.

- Przysięgałyśmy Bogu - powiedziała, oglądając efekty swojej pracy.

- Właśnie. A bynajmniej nie siostrze Anie - stwierdziła Teresa.

Była to zamierzona zniewaga. Od dnia, w którym siostra Ana złożyła śluby, ponad dziesięć lat temu, marzyła o otrzymaniu stanowiska matki przełożonej. Uważała, że wtedy jej klasztor stanie się najlepszy w całym kraju. Miała nadzieję, że jej ambicje spełnią się właśnie w klasztorze Matki Boskiej Miłosiernej, gdzie od razu po ślubach przyjęła na siebie tak liczne obowiązki, że inne zakonnice nie mogły wyjść z podziwu. Jedną z jej pierwszych inicjatyw było wykopanie studni artezyjskiej, dzięki której siostry mogły nawadniać swoje uprawy bez konieczności pompowania wody. Następnie nauczyła się stenografii i rachunkowości oraz poprosiła o zgodę na zakup gramofonu - nie po

to, żeby słuchać muzyki, ale żeby uczyć się z płyt języków obcych. Wszystko to czyniła, nie zaniedbując obowiązków religijnych. Nigdy nie opuszczała modlitw. Pracowała w kuchni, odmawiała różaniec, odprawiała pokutę i w ogóle robiła wszystko to, czego od niej oczekiwano. Lecz siostra Maria Ines wciąż nie była pewna, czy kieruje Aną głęboka wiara, czy też może osobiste ambicje - motyw całkowicie niewłaściwy w przypadku służebnicy Pańskiej. Siostra Ana powiedziała szorstko:

- Moim jedynym pragnieniem jest wypełnianie obowiązków tak dobrze, jak pozwalają mi moje ciało i umysł, siostrzo Tereso. Nie uchylam się od obowiązków.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale czasami należy trochę zwolnić, żeby się zastanowić nad własnym postępowaniem. Odpowiedzieć sobie, czy takiego właśnie postępowania spodziewa się Bóg.

- To miejsce jest zbyt małe, abyśmy mogły nawzajem się ignorować - powiedziała Beatriz. - Musimy żyć we wspólnocie, czy to nam się podoba, czy nie.

- Nie brzmi to zbyt szlachetnie - stwierdziła siostra Ana. - Ale przynajmniej jesteś szczerą.

- Dziecko powinno zostać u nas - odezwała się siostra Beatriz. - Ktokolwiek je nam przyniósł, mógł je przecież równie dobrze podrzucić do sierocińca albo do kościoła w mieście. Skoro zostawił je nam, na pewno chciał, żebyśmy je zatrzymały. Powinniśmy uszanować wolę tej osoby.

- Ktokolwiek zostawił dziecko na schodach, nie dbał o jego dalszy los - powiedziała siostra Ana. - Nikt nie porzuca dzieci, które kocha.

- Niektórzy ludzie są po prostu zbyt biedni, żeby wychowywać dzieci.

- Tacy ludzie po prostu nie powinni mieć dzieci -  
zadecydowała siostra Ana.

Aby dowiedzieć się czegoś więcej o dziecku, musiały czekać na powrót z miasta siostry Lucii. Chwilę po godzinie dziewiętnastej usłyszały nadjeżdżającego Forda i pośpieszyły, żeby pomóc młodej nowicjuszcze wyładować zaopatrzenie jeszcze przed wieczorną modlitwą. Było ciemno, kiedy zgromadziły się w kaplicy. Każda trzymała w ręku lampę sztormową. Chociaż były przyzwyczajone do różnych zachowań matki przełożonej, nie zauważyły, że ta już modli się przy ołtarzu. Dopiero kiedy zasiadły w ławkach i zdmuchnęły płomień swoich lamp, ich oczy przyzwyczały się do ciemności na tyle, by mogły wyłowić z cienia jej sylwetkę. Usłyszały też cichy szelest jej habitu.

Po chwili matka przełożona zaczęła:

— *Aperi, Domine, os meum ad benedicendum nomen sanctum tuum.*

W przeciwieństwie do modlitwy południowej, teraz prowadziła ją z wielką koncentracją, posługując się silnym, wzruszającym głosem. W trakcie całego nabożeństwa oczy miała zamknięte i ukryte w cieniu. Reszta jej twarzy, biała i uroczyta, odbijała się w świetle świec ustawionych po obu stronach ołtarza w mosiężnych świecznikach. Kiedy modlitwa się zakończyła, wstała siostra Ana, chcąc coś powiedzieć, jednak siostra Maria Ines uniosła dłoń i powstrzymała ją, zanim ta zdołała wydobyć z siebie chociażby jedno słowo.

Siostry zgasiły lampy i poszły za matką przełożoną przez dziedziniec do refektarza. Tam siostra Maria Ines poprosiła je, żeby usiadły. Kiedy wkońcu się odezwała, w jej głosie nie było ani cienia wahania.

- Przybycie dziecka nie jest niczym innym jak cudem - powiedziała.

Siostry jeszcze nigdy nie słyszały jej przemawiającej z takim przekonaniem. Wszystkie bardzo dobrze rozumiały, że spotkanie w refektarzu, zwołane tak szybko, ma doniosłą rangę. Matka przełożona posiadała reputację osoby starannie rozważającej podjęcie każdej decyzji przez kilka dni, a skoro ta zasada nie zadziałała w tym przypadku, mogło tak być jedynie z tego powodu, że matka przełożona świadoma była czegoś, o czym one same nie miały pojęcia. Nie miała jednak zamiaru tego im przekazywać.

- Uwierzcie mi - mówiła. - Jest to sprawa pomiędzy mną a Panem Bogiem.

Następnie poprosiła, żeby nie zwątpiły w jej pobożność ani w zdrowy rozsądek, lecz uznały, że dziecko w klasztorze jest darem od Boga.

Z tymi słowami nie zgodziła się siostra Ana.

- Żyjemy życiem, na które składają się modlitwy i wyrzeczenia, matko - powiedziała. - Kiedy stawałyśmy się zakonnicami, zgadzałyśmy się na zerwanie wszystkich więzów, jakie łączyły nas z tym światem. Dotyczyło to także posiadania dzieci.

- Tego dziecka żadna z nas nie urodziła - zauważyła siostra Maria Ines. W tę i z powrotem przemierzała posadzkę refektarza. - A zatem, jeśli postanowimy je zatrzymać, postanowimy też je kochać, i to miłością znacznie czystsza i bardziej autentyczna niż miłość macierzyńska, której się wszystkie wyrzekłyśmy.

- To jest oszukiwanie samych siebie, a nie teologia - powiedziała inna z sióstr. - Rezultat decyzji o zatrzymaniu

dziecka byłby taki sam, jak gdyby urodziła je jedna z nas: dziecko znajdowałoby się w klasztorze.

- A ja mówię: zatrzymajmy je - odezwała się siostra Teresa. - Dziecko mogłoby się dla nas okazać błogosławieństwem. Przecież przez cały czas jedynie uprawiamy warzywa i kwiaty.

- Zgadzam się - poparła ją siostra Beatriz. - Nie rozumiem, w jaki sposób opieka nad dzieckiem mogłaby zakłócić naszą misję.

- Rozumiem, że to dziecko jest płci męskiej - powiedziała siostra Ana. - To kolejny powód, aby go tutaj nie zatrzymywać. Nasz klasztor jest odosobnieniem dla kobiet. Wychowywanie tutaj chłopca byłoby świętokradztwem.

- Przyjęłybyśmy go jak Mojżesza - dodała Carlota.

- Tak - zgodziła się siostra Lucia. - Ale Mojżesza z wazliki, a nie z wiklinowego koszyka.

- To nie jest Mojżesz i nie należy do nas - powiedziała siostra Ana. - Kto się będzie nim opiekował? Jest nas tutaj jedynie sześć i wszystkie całymi dniami pracujemy.

- W waszych dziennych harmonogramach nie zajdą żadne zmiany - postanowiła siostra Maria Ines. - Sama się nim zajmę.

- I ja chciałabym pomóc - poprosiła siostra Beatriz. - Ale problem tkwi w tym, że niemowlę potrzebuje kobiecego mleka.

- Niekoniecznie - zauważyła siostra Maria Ines. - Opiekowałam się niemowlętami w Afryce, nie dysponując nawet kroplą takiego mleka. Mieszając zwykle mleko z innymi składnikami, można uzyskać płyn podobny do ludzkiego mleka. Chodzi tylko o zachowanie dokładnych proporcji. Tylko dzięki temu niemowlę jest w stanie coś takiego



strawić. - Minęła pora, o której rozpoczynała się wielka cisza. Matka przełożona stanęła przy krótszym boku stołu i oparła o niego rękę.

- Cóż, dziękuję wam - powiedziała. - Wszystko, co należało, już sobie powiedziałyśmy. Jeszcze będę się nad tym wszystkim zastanawiała. Możecie odejść. Spijcie spokojnie.

Prawda była taka, że decyzję o zatrzymaniu niemowlęcia podjęła na długo przed tym, zanim przedstawiła sprawę zakonnicom. Tym niemniej była zadowolona, że wszystkie, z wyjątkiem jednej, poparły ją. Kiedy siostra Ana mijała ją, chcąc wyjść z refektarza, matka przełożona dotknęła jej ramienia.

- Rozumiem twoje zastrzeżenia, Ano - powiedziała. - Ja sama nie mam jednak wątpliwości, że to sam Pan Bóg życzy sobie, abyśmy zatrzymały dziecko.

Zakonnica zatrzymała się i powiedziała kilka słów po łacinie. Słowa te sprawiły, że matka przełożona zadrżała:

- *Crux sancta sit mihi lux. Nom draco sit mihi dux.*

Po wypowiedzeniu tych słów siostra Ana udała się za pozostałymi zakonnkami do dormitorium. Siostra Maria Ines wpatrywała się jeszcze w jej sylwetkę, widoczną w słabym świetle księżyca, aż wreszcie Ana zniknęła w klasztornym korytarzu.

Wtedy matka przełożona wróciła do swojego pokoju. Przekonała się, że niemowlę śpi spokojnie, zawinięte w prześcieradło. Wzięła do ręki drewniany pektorał, pocałowała go i położyła na nocnym stoliku. Następnie zdjęła habit oraz welon i starannie zawiesiła je na oparciu krzesła. W białej, luźnej bieliźnie, ułożyła się ostrożnie obok dziecka.

Do tej pory nie zwracała uwagi na swą fryzurę, tak ja nie dbała o całe ciało, pilnując jedynie czystości. Myła się dokładnie w wannie z wodą, której nie podgrzewała nawet w zimie: nie akceptowała przyjemności, jaką dawały ciepłe kąpiele. Ale kiedy tego wieczoru położyła się do łóżka, stwierdziła, że jej włosy są zupełnie siwe i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, w jak podeszłym jest wieku.

*Jestem starą kobietą*, pomyślała z takim zaskoczeniem, jakby starość spadła na nią nagle, podczas snu poprzedniej nocy. Ułożyła głowę bliżej dziecka i wyczuła na nim odór starej skóry z walizki. Wiedziała, że powinna przygotować jakąś kołyskę. Zamknęła oczy i podziękowała Bogu za zesłanie jej tego niemowlęcia. Wiedziała, że znaczy to, iż Pan jej wybaczył. Ta myśl sprawiła, że poczuła się szczęśliwa. W środku nocy wyszła z łóżka, żeby przygotować dla chłopca trochę ciepłego mleka i jedzenia, a później jeszcze raz wstała na nocną modlitwę. Po niej wróciła do pokoju i spała spokojnie prawie do świtu. Kiedy tylko otworzyła oczy, powróciły do niej słowa, które poprzedniego wieczoru wypowiedziała do niej siostra Ana po łacinie. Ich wspomnienie sprawiło, że znowu zadrżała: „Niech Krzyż Święty będzie moim światłem. Niech nie prowadzi mnie smok”.

Siostra Maria Inès miała wielki powód, aby wierzyć, że pojawienie się dziecka w klasztorze jest dziełem opatrności boskiej. Kiedy była dziewiętnastoletnią dziewczyną i wciąż nosiła imię Isabel, odpowiedziała na dyskretne ogłoszenie w gazecie. Po kilku dniach otrzymała odpowiedź. Po jej otrzymaniu niemal natychmiast wsiadła w pociąg i pojechała do innego miasta w poszukiwaniu adresu, który okazał się dość trudny do odnalezienia. Dwupiętrowa willa w stylu art-nouveau, o dwuspadowym dachu, stała daleko od centrum, przy końcu bardzo długiego bulwaru, po którego obu stronach rosły wysokie palmy. Chociaż Isabel wcześniej umówiła spotkanie, zastała w willi zamknięte okiennice na wszystkich wysokich oknach o łukowym sklepieniu; budynek nie nosił żadnych widocznych śladów życia. Zadzwoiła do drzwi i czekała tak długo, że zaczęła już żałować swojej decyzji, jednak w końcu usłyszała z wnętrza domu jakiś nieprzyjazny głos. Głos ten szybko wyzwolił dziewczynę z narastających w niej wątpliwości. Jakaś stara kobieta w czarnej sukni wpuściła ją do środka, nawet nie skinąwszy głową na powitanie, po czym wskazała jej drogę do salonu. Chociaż okiennice w oknach wychodzących na

ulicę były zamknięte, przez otwarte drzwi do pomieszczenia wpadało dość światła z wewnętrznego dziedzińca.

Podłogę salonu wyłożono ładnymi kafelkami. Stały tu drogie meble i pachniało pszczelim woskiem. W donicach ustawionych w rogach rosły, jakby zupełnie pozbawione ludzkiej opieki, tropikalne rośliny, zdające się zagrażać obrazom na ścianach, ale to właśnie dzięki nim w środku piekielnego lata powietrze w pokoju było przyjemnie chłodne i świeże. Kobieta, która wprowadziła Isabel do domu, przez chwilę jeszcze uważnie przyglądała się jej bez słowa, po czym gdzieś poszła. Cisza, która zapadła, sprawiła, że Isabel zadrżała. W latach, które dopiero miały nadejść, stopniowo przywykła do ciszy i samotności - polubiła je nawet ponad towarzystwo ludzi - jednak w młodym wieku zdawały się jej przedsięwzięciem nieuchronnej śmierci. Czekała, aż ktoś do niej przyjdzie, wyszła na dziedziniec. Tam znacznie uspokoiły ją ptaki śpiewające głośno, ale skryte w gęstym bluszczu. W pokoju na piętrze ktoś zaczął grać na fortepianie i ptaki zamilkły. Isabel usiadła na ławeczce, zaczęła słuchać. Po jakimś czasie muzyka umilkła, otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie dziedzińca i do dziewczyny podeszła wysoka kobieta ubrana w czarną suknię z chińskiej krepy.

- Kim jesteś? - zapytała. Isabel wstała.

- Przyjechałam uczyć się gry na fortepianie, proszę pani.

- Naprawdę?

Na szyi kobiety wisiał złoty łańcuszek zakończony parą pince-nez. Kobieta przyłożyła szkła do oczu i uważnie przyjrzała się swojemu gościowi.

- Jesteśmy umówione - powiedziała Isabel.

- Czyżby? Nie widziałam cię jeszcze nigdy w życiu.

-Ja- Mów głośniej.

- Napisałam do pani. Odpowiedziała mi pani przed tygodniem.

- Pokaż mi list.

Isabel sięgnęła do torebki. Kobieta znów uniosła szkła do oczu i w ciszy przeczytała list.

- A więc wszystko jasne - powiedziała w końcu. - Tylko że przyjechałaś zbyt wcześnie. Spotkanie ze mną masz dopiero po południu.

- Bardzo przepraszam. Przyjechałam wcześniejszym pociągiem na wypadek, gdyby następny miał opóźnienie.

Kobieta podała list i odezwała się:

- Nie opowiadaj mi tu o rozkładach jazdy pociągów. Nie jestem przecież kolejarzem. Przyjmuję tylko wcześniej umówione wizyty, jak rozumiesz, nie bez powodu.

- To ja przyjdę później.

- Zostań. Tak się składa, że akurat jestem wolna. - Kobieta skierowała się do salonu i skinęła na Isabel, żeby ruszyła za nią.

- Lubisz fortepian? - zapytała, jednocześnie z satysfakcją przyglądając się bujnie rozwiniętym roślinom.

- Bardzo.

- I naprawdę chcesz się uczyć? -Tak.

Kobieta utkwiała w dziewczynie świdrujące spojrzenie.

- Jesteś pewna? Isabel pokiwała głową.

- Dobrze - powiedziała kobieta. - Grałaś już kiedyś wcześniej?

Gdy Isabel w odpowiedzi energicznie potrząsnęła przecząco głową, kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Rozumiem. Nigdy dotąd. Ale nie musisz się bać, dziecko. Chodź ze mną.

Otworzyła drzwi i weszła do kolejnej sali. Stała w niej stara kobieta, która wcześniej wpuściła Isabel do willi. W ręce trzymała wałek do ciasta. Popatrzyła na Isabel z nieufnością, nie pozostawiając wątpliwości, że jeśli pani wyda jej takie polecenie, użyje wałka przeciwko dziewczynie. Kobieta w czarnej sukni powiedziała jednak:

- Dziękuję, Bienvenido. Wszystko jest w porządku. Zawołam, jeśli będę cię potrzebowała.

Bienvenida z szacunkiem skinęła głową i przepuściła kobietę oraz dziewczynę do środka. Po szerokich, skrzypiących drewnianych schodach udały się na wyższe piętro i po chwili weszły do wielkiego pokoju z dużym oknem o okrągłej framudze. Zamknąwszy za sobą drzwi, kobieta natychmiast stała się zupełnie inną osobą.

- Przepraszam, moja droga - powiedziała i wskazała Isabel miejsce do siedzenia. - W mojej pracy muszę zachowywać środki ostrożności.

- Rozumiem, proszę pani.

- Gdybyśmy jeszcze nie musiały żyć jak w średniowieczu - westchnęła.

Ten pokój również elegancko umeblowano. Stały tutaj duży fortepian, ciężkie biurko, a na jednej ze ścian znajdował się ogromny ceramiczny kominek. Ściany udekorowano fryzami w kwieciste wzorki, bardzo przyjemne dla oka. Wielkiego okna nie osłaniały okiennice, jednak witraże na jego szybach wystarczały, aby zachować prywatność osób znajdujących się w pomieszczeniu i izolować je

od ciekawskich spojrzeń ludzi przechodzących bulwarem. Pokój chłodził wentylator, zwisający z wysokiego sufitu i sprawiający, że co chwilę szeleściły leżące na biurku papiery. Drzwi za biurkiem były uchylone i Isabel zauważyła, iż za nimi znajduje się mniejszy pokój, pełen sprzętu medycznego, który zgromadzono jakby dookoła stołu operacyjnego. Kobieta dostrzegła spojrzenie Isabel w tym kierunku. Szybko podeszła i zamknęła drzwi.

- Nie bój się tych rzeczy, moja droga. Wynaleziono je, aby nam pomagały. Naprawdę lubisz muzykę?

- Czy to właśnie pani wcześniej grała? Kobieta pokiwała głową.

- Bardzo lubię muzykę - powiedziała. - Poza tym gra na fortepianie jest dla mnie dobrym ćwiczeniem dłoni. Dłonie u chirurga są równie ważne jak u pianisty - poklepała Isabel po ramieniu. - Przepraszam za szaradę z lekcjami gry na fortepianie. Ale dowiedziałam się, że Guardia zaczęła coś podejrzewać.

- Wiem, że to ciężkie przestępstwo.

- W rzeczy samej.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo, że zostaniemy aresztowane? - zapytała Isabel i spojrzała na drzwi.

Zamilkła na chwilę, jakby na coś czekała, ale nic się nie wydarzyło. Ciszę zakłócało jedynie ćwierkanie ptaków na dziedzińcu.

- Zawsze istnieje taka możliwość - powiedziała kobieta. - Ale za bardzo się nie martw. Jak sama się zorientowałaś, stosuję wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa. - Usiadła przy biurku i zaczęła porządkować papiery. Po chwili odezwała się:

- Możesz mi wierzyć, mnie bardziej niepokoi taka perspektywa niż ciebie. Cela więzienna byłaby dla mnie okropną odmianą wobec komfortu, do którego jestem przyzwyczajona.

Bulwarem przejechał zaprzężony w konie wóz. Jego przejazd sprawił, że zadrżały witraże w oknie. Isabel wstrzymała oddech, dopóki nie ucichł jego odgłos. Wreszcie odezwała się:

- To dla mnie nie jest dobry moment, żeby mieć dziecko. Kobieta uciszyła ją ruchem ręki.

- O niczym nie muszę wiedzieć, moja droga. Jestem lekarzem, nie księdzem. - Skończyła porządkowanie dokumentów i dołączyła do swojego gościa na kanapie. - Muszę jednak wiedzieć, czy to jest twoja ostateczna decyzja - powiedziała, ujmując rękę dziewczyny w swoje dłonie. - Mam nadzieję, że nikt cię do tego nie zmusza.

Isabel pokręciła głową i zadała pytanie, które nurtowało ją od dnia, w którym otrzymała odpowiedź na swój list:

- Istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

- Mam kilkuletnie doświadczenie. Nigdy nie było żadnych komplikacji.

- Czy to boli?

- Tylko trochę... Później. Dam ci trochę tabletek. Teraz się tym nie martw. Uśpię cię eterem.

- Nie będę narzekała nawet wtedy, kiedy będzie bolało. Zadałam pytanie tylko ze strachu. Zapewne to powinno boleć...

- Dlaczego, moja droga? Na Boga, co masz na myśli?

- Skoro to jest grzech śmiertelny... - powiedziała Isabel. - Nie sądzi pani? Mam nadzieję, że Bóg mi przebaczy.



- Już ci powiedziałam, nie obchodzi mnie twoja dusza, lecz jedynie ciało. Ale jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, to proponuję, żebyś sobie teraz poszła i jeszcze raz wszystko przemyślała.

Kobieta pociągnęła za kolorową linkę z frędzlami i jak na zawołanie w pokoju zjawiała się jej starsza pomocnica. Nadszedł czas. Przez kilka ostatnich tygodni Isabel stosowała wszelkie preparaty ziołowe, próbowała każdej trucizny, wszystkich medykamentów reklamowanych w gazetach, aby nie dopuścić do tej chwili, jednak wszystko zawiodło. Na drżących nogach poszła za kobietą do małego pokoju i zaczęła się rozbierać.

Wszystko rozpoczęło się popołudniowym spacerem do ogrodu botanicznego. Słońce świeciło tak mocno, że musiała poszukać schronienia w ocienionej altance. Usiadła w niej i otworzyła książkę. Altana była okrągła, otoczona stalową barierką, zwieńczona spadzistym dachem. W środku stała jedyna ławka, otoczona orientalnym arboretum, a na zewnątrz wysokimi wierzbami. Skoncentrowana jedynie na lekturze, Isabel czytała przez długi czas; zawsze pochłaniała lektury w taki sposób - niezależnie od tego, czy miała do czynienia z najnowszą powieścią, czy też z manuskrytem religijnym z biblioteki klasztornej. Realny świat dookoła przestawał wtedy dla niej istnieć. Wynurzyła się z transu dopiero wtedy, gdy usłyszała czyjeś kroki. Do altanki zmierzał młody mężczyzna w białym mundurze. Kiedy zorientował się, że miejsce jest zajęte, przez chwilę się wahał, ale w końcu odważnie wszedł po schodkach do środka,

zdział czapkę i przetarł mankietem spocone czoło. Isabel zamknęła książkę i sięgnęła po torebkę.

- Nie musisz uciekać - powiedział mężczyzna w mundurze. - Jestem nieuzbrojony.

- I tak miałam już iść.

- Wcale nie. Ale jeśli moja obecność w jakikolwiek sposób ci wadzi, to raczej ja sobie stąd pójdę.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Isabel cichym głosem. - Jest tu dość miejsca dla nas dwojga.

Mężczyzna skinął głową i usiadł na ławeczce, tak daleko od dziewczyny, jak tylko było to możliwe.

- Dziękuję - powiedział. - Przyda mi się chwila odpoczynku. Spacerowanie o tej porze dnia jest bardzo niemądre.

Przez kilka minut oboje milczeli. Isabel znowu otworzyła książkę, a mężczyzna wachlował się czapką. Pomiedzy rzędami drzew i przez gęstwinę arboretum do altanki przedostawały się promienie słońca. Mężczyzna popatrzył na Isabel, a potem przeczytał tytuł z okładki książki.

- To jest moje ulubione miejsce - odezwał się. - Lubie przesiadywać tutaj i słuchać, jak pod wpływem wiatru liście szeleszczą na drzewach. Słyszysz? - Przez chwilę jedynie nasłuchiwał. - Martwa cisza - powiedział w końcu z rozczarowaniem. - Powietrze jest dzisiaj zupełnie nieruchome.

I znowu zaczął się wachlować żołnierską czapką. Jego nienagannie skrojony mundur przyozdobiono złotymi guzikami, przepasywał go biały skórzany pas, z którego zwisał mały ceremonialny miecz. Isabel zauważyła, że mimo gorąca mężczyzna nie zdjął białych skórzanych rękawiczek. Zorientował się, iż dziewczyna patrzy na jego ręce, lecz wciąż milczał, oczekując aż ona wreszcie coś powie. Czas

jednak mijał, a Isabel nie dawała żadnej nadziei, że się odezwie. W końcu to on postanowił kontynuować rozmowę:

- A ty, panienko? Często tutaj przychodzisz? Powiedziała, że tak.

- Masz szczęście. Wielkie szczęście. Tam, skąd pochodzę, natura nie jest tak piękna.

Przebywał w mieście pierwszy rok. Był kadetem w Akademii Morskiej i chodził do ogrodu botanicznego tak często, jak tylko mógł, ponieważ było to jedyne miejsce w mieście, w którym mógł oderwać się od kolegów z Akademii, bezustannie próbujących wyciągnąć go do tawern i wszelkich miejsc o jak najgorszej reputacji.

- Nie dam się jednak zbrukać - powiedział stanowczym, szczerym tonem. Wyciągnął kieszonkowy zegarek, popatrzył na niego, po czym wstał i założył czapkę. - Miłego dnia - rzucił do Isabel i odszedł.

Później, kiedy upał zelżał, Isabel poszła na długi spacer. Dostrzegła kadeta siedzącego samotnie przy stoliku w ogrodowej kawiarni. Przed nim stał dzbanek z wodą i talerz ze słodkimi przysmakami. Mężczyzna uklonił się jej.

Zobaczyła go tydzień później na festynie religijnym, w tłumie ludzi doprowadzonych do ekstazy obietnicami przyszłych cudów. On także ją zauważył, jednak zanim zdolali zamienić jakieś słowa, zabrała go gdzieś grupa rozentuzjasmowanych zakonnic w czarnych habitach. Kolejny raz spotkali się w niedzielę, przed kościołem. Isabel była ubrana na białło i miała na głowie muślin, zawiązany pod brodą wąską wstążeczką. Mężczyzna dostrzegł ją z dużej odległości i podszedł do niej, zdziwiony jej zachowaniem. Wyciągała z kieszeni jakieś ziarna i rzucała je skaczącym

u jej stóp papużkom. Kadet zasalutował i zapytał Isabel, czy uczestniczyła we mszy.

- Przychodzę tutaj co niedzielę - odparła tylko i kontynuowała karmienie ptaków.

- Dziwne, że dotąd się nie spotkaliśmy.

- To duży kościół.

- Świat jest również bardzo duży, a jednak się spotkaliśmy.

- W kościele należy oddawać się modlitwie, a nie przyglądać się zgromadzeniu.

- Mówisz jak ksiądz.

- Stałeś po lewej stronie, blisko ambony - powiedziała Isabel.

- A więc dostrzegłeś mnie, mimo wszystko.

- Oczywiście. Wyróżniasz się w największym tłumie.

- Schlebiasz mi.

- Mam na myśli twój mundur. Trudno go nie zauważyć. Obeszli kościół dookoła. Msza dawno się już skończyła i w pobliżu nie było ludzi.

- Czy mimo nauki masz dużo czasu na rozrywki? - zapytała Isabel.

- Dają nam wolne w niedziele i dwa wieczory w tygodniu.

- To wystarczy?

- Nie, odkąd cię spotkałem.

Isabel nie zareagowała na jego słowa i kontynuowali spacer. Skończyła szkołę przed rokiem, jednak nie miała planów kontynuowania formalnej edukacji. Lubiła czytać i raz w tygodniu odwiedzała księgarnie, kupując książki na każdy temat, pod warunkiem że były pisane prostym językiem. Rozmawiali jeszcze trochę o jej ostatnich lekturach i w końcu Isabel podała mu rękę. Kadet jednak

nie pocałował. Zdjął rękawiczkę i pożegnali się uściskiem dłoni. Takim zachowaniem zrobił na niej dobre wrażenie. Zaczęli spotykać się wieczorami - dwa razy w tygodniu, kiedy młodzieniec mógł wyjść z Akademii - w ogrodzie botanicznym i odbywali długie spacer, które kończyły się zawsze zdjęciem przez młodzieńca rękawiczki i uściskiem dłoni. Nic się nie wydarzyło, aż do dnia, w którym, pogrążeni w rozmowie o Epoce Odkrywców, zabłądzili w ogrodzie botanicznym i znaleźli się w miejscu, gdzie wąska ścieżka miała swój koniec w gęstwinie zieleni.

- Chyba popełniliśmy błąd w nawigacji, kapitanie Kolumbie - powiedziała Isabel.

Odwróciła się do niego tyłem, jednak dotknął jej ramienia.

- Tak, moja pani - odezwał się. - Odkryliśmy jednak nowy świat, który, moim zdaniem, warto podbić. - Zdjął czapkę i pocałował dziewczynę. Po chwili, zadowolony z braku oporu, dodał: - Dziękuję. Teraz mógłbym odejść w pokoju.

- Nie jestem Indianką. Nie wierzę twoim słowom, kapitanie.

- Mój prawdziwy tytuł brzmi: Admirał Oceanu. I mam zaszczyt zaproponować ci wielką podróż.

- Czegóż miałabym się po niej spodziewać?

Kadet miał już dość żartów na temat odkrywania Ameryki. Popatrzył na Isabel i powiedział do niej, bez uśmiechu:

- Mówię poważnie. Wyjedźmy gdzieś na kilka dni. Dopiero po ponad miesiącu Isabel zdołała wymyślić

w domu powód, dzięki któremu mogli pojechać na krótkie wakacje. Byli bardzo ostrożni. Mimo że podróżowali tym samym pociągiem, zajęli miejsca w osobnych przedziałach

i nie odzywali się do siebie, dopóki nie dotarli do nadmorskiego miasteczka, które było celem ich podróży - dawnego kurortu zabudowanego domami, w większości chylącymi się ku upadkowi. Miasto ożywało dopiero w południe i wyglądało tak, jakby się cofnął w nim czas, przynajmniej do początku dziewiętnastego wieku. Z hoteli i pensjonatów wychodzili bardzo starzy mężczyźni i bardzo stare kobiety, po czym oddawali się leniwym spacerom w słońcu, przejażdżkom w konnych zaprzęgach, albo po prostu siadali w kawiarenkach przy głównej promenadzie. Jednak wczesnymi wieczorami, gdy słońce wciąż było bardzo wysoko na niebie, prawie nieuchwytne spadki temperatury sprawiały, że wszyscy wracali do swoich pokoi hotelowych i świat miał możliwość zobaczyć ich ponownie dopiero następnego dnia po południu.

Popołudnia Isabel i młody kadet spędzali w pokoju. Młodzieniec rozkładał wtedy na kolanach wielką mapę i opisywał dziewczynie swoje szkolne wyprawy dookoła świata. Pierwszego dnia opowiedział jej, jak jego okręt cumował na Sycylii, gdzie nastąpiło potężne trzęsienie ziemi; wszyscy kadeci wysłani zostali wtedy do wyciągania z gruzów ludzkich zwłok. Kiedy skończył tę przerażającą opowieść, odłożył mapę, rozpiął szelki i zaczął się rozbierać. Isabel powstrzymała go wtedy i powstrzymywała jeszcze przez dwa dni. Ale ostatniego dnia ich wakacji, opanowana i w pełni świadoma tego, co robi, rozebrała się razem z nim. Przez długi czas leżeli nadzy obok siebie, wsłuchując się w odgłosy wentylatora na suficie, powozów przejeżdżających pod balkonem i zasłon, powiewających w otwartym oknie. Kiedy młodzieniec położył się na niej, odepchnęła go, ponieważ w jednej chwili przez głowę przebiegło jej

mnóstwo okropnych rzeczy. Ale był to z jej strony tylko chwilowy zanik odwagi, taki, jaki charakteryzuje dobrego żołnierza przed pierwszą bitwą.

- Musimy być ostrożni - powiedziała.

Wtedy pokonała strach i kochali się razem po raz pierwszy i ostatni w życiu, powoli, kierowani instynktem, z otwartymi oczyma, dopóki krew jej niewinności nie zwilżyła wymiętego prześcieradła, nie przesiąkała przez materac i nie spadła kilkoma gęstymi kroplami na podłogę.

Powróciwszy do domu z wizyty u kobiety, która ogłaszała swoje usługi w gazecie, Isabel bardzo długo się kąpała, chcąc pozbyć się zapachu środków antyseptycznych, a potem - co było efektem działania eteru - spała bez przerwy przez dwa dni. Matce powiedziała, że ma gorączkę. O niczym nie śniła i nie czuła żadnego bólu. Oddychała spokojnie, leżąc na plecach, z dłońmi złożonymi na kołdrze. Wyglądała jak leżący posąg nagrobny. Spała tak głęboko, że kiedy się wreszcie obudziła, była przekonana, iż nigdy nie odwiedziła kobiety i nie poddała się zabiegowi. Odrzucała prawdę, dopóki nie skończyło się działanie eteru, a ból nie zadał kresu jej fantazji. Połknęła dwie pigułki z fiolki, którą otrzymała od kobiety, ale po chwili przypomniała sobie, że powinna cierpieć za to, co zrobiła. W kościele słyszała, iż ból, jaki towarzyszy rodzeniu dzieci, jest karą za grzech, jaki Ewa popełniła w Ogrodzie Edenu, a teraz wiedziała przecież, że sama zasługuje na coś znacznie gorszego. W akcie skruchy wyrzuciła więc wszystkie pigułki i wkrótce ból, jak się należało spodziewać, powrócił. Przez kilka dni nie mogła ani spać, ani wyjść z łóżka. Leżała bez ruchu, skulona pod kołdrą, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Najgorsze w tym

wszystkim było to, że musiała cierpieć w absolutnej ciszy, ponieważ bała się, iż rodzice przyprawdzą do niej lekarza, który ją zbada i od razu odkryje prawdę.

Poprosiła kadeta, żeby do niej nie pisał, bo przecież rodzice mogliby przechwycić list. Obiecała mu jednak, że skontaktuje się z nim, gdy już będzie dobrze się czuła. Minał miesiąc, a ona nadal do niego nie napisała. Pewnego dnia zobaczyła z okna, jak przyszedł pod dom i stanął przy drzwiach, z wyciągniętą ręką w białej rękawiczce, gotową nacisnąć dzwonek, jednak w końcu z tego zrezygnował. Wreszcie pewnego dnia, kiedy na dworze padał rześisty deszcz, Isabel po prostu założyła płaszcz, wzięła parasol i poszła do ogrodu botanicznego. Wiedziała, że zastanie go w altance. Był tam. Usiadła daleko od niego, na drugim końcu ławki, tak jak on w dniu ich pierwszego spotkania. Teraz oboje czekali, aż drugie się odezwie jednak mijał czas, a oni wciąż milczeli. W końcu przemówił młodzieniec:

- Proszę, daj mi przynajmniej znak, że żyjesz. Zastukała w deskę drewnianej ławeczki.

- Dzięki Bogu - powiedział mężczyzna. - Bo już myślałem, że jesteś duchem.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

- Boisz się?

- Boję się Boga.

Wiatr, który zawiął jakby znikąd, przyniósł zapach jaśminu.

- Nie bój się - powiedział mężczyzna. - Bóg powinien być po stronie tych, którzy cierpią.

- Ale nie po stronie grzeszników.



- Grzesznicy potrzebują jego pomocy jeszcze bardziej niż wszyscy inni. Bo to oni cierpią najmocniej. Bóg pomoże nam przetrwać.

Isabel nawiązała do ich beztrudnej przeszłości:

- Boję się mórz, dla których jeszcze nie sporządzono map, kapitanie Kolumbie.

- Nie ma powodu do obaw, moja pani. Tam, dokąd zmierzamy, czekają na nas niewyobrażalne bogactwa.

- Ale mnie brak odwagi... I nie potrafię pływać.

- Nasza karawela jest niezatapiałna. Nic złego już się nam nie przydarzy.

I znowu zaczęli spotykać się w niedziele po kościele, niezależnie od pogody, nie tylko w ogrodzie botanicznym, ale i w innych miejscach, o których nie wiedzieli rodzice Isabel i ich znajomi. W dniu, w którym kadet wypływał w morze na ostatni rejs szkoleniowy przed promocją, Isabel poszła do portu i pomachała mu chusteczką. Dostrzegł ją w tłumie i także do niej pomachał. Nagły podmuch wiatru wyrwał z dłoni dziewczyny haftowany skrawek materiału i chusteczka wpadła do niespokojnej wody portowej. Isabel zignorowała ten zły znak i długo jeszcze machała ręką - tak długo, dopóki statek nie opuścił portu, orkiestra nie przestała grać, a tłum żegnających się rozchodzić.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Wiele miesięcy później dowiedziała się od innego kadeta, że zmarł na tyfus na południowym Pacyfiku i że ocean stał się jego grobem. Nie miała wątpliwości, że Bóg go pokarał za ich wspólny grzech. Położyła się do łóżka i przeżywała żałobę po nim - w absolutnej ciszy, bez łez, lamentów, nie zapalwszy żadnej świeczki. Wiedziała, że jest za jego nieszczęście równie odpowiedzialna, jak on sam. Uważała za wielką

niesprawiedliwość fakt, iż ona wciąż żyje, a on spoczywa na dnie oceanu, gdzieś na końcu świata. Jej zmartwieni rodzice, którzy o romansie córki nie mieli zielonego pojęcia, sprowadzili niemal wszystkich lekarzy z miasta, żeby ją po kolei zbadali. A oni, jeden po drugim, stukali w jej słabe ciało gumowymi młotkami, przecierali pięty gęsimi piórkami, przykładali stetoskopy i nasłuchiwali bicia serca, świecili w jej oczy i wreszcie doszli do wniosku, że Isabel cierpi na nerwicę neurasteniczną. Rekomendowali leczenie polegające na wypoczynku - miała pozostawać w łóżku i unikać kontaktu z ludźmi, poza kontaktem z pielęgniarką, która masowała ją, kąpała, podawała całymi łyżkami leki tonizujące i, oczywiście, poddawała elektroterapii, aby napełnić jej ciało nową energią. Nikt nie rozpoznał symptomów umartwienia, dopóki Isabel nie wyjęła z szafy białej sukienki, którą miała na sobie w dniu, w którym spotkała młodego kadeta przed kościołem, i nie kazała pofarbować jej na czarno. Wówczas zaczęła ją nosić - wszędzie i zawsze. Po długim czasie opowiedziała rodzicom o romansie, ale też uspokoiła ich zapewnieniem, że gorący związek nie został skonsumowany. Wybaczyli jej i, aby uniknąć skandalu, także zaczęli nosić ubrania żałobne, mówiąc wszystkim napotkanym osobom, że to z powodu pewnego krewnego, który mieszkał gdzieś bardzo daleko i właśnie opuścił ten świat.

Isabel była przekonana, że nie minie wiele czasu i ona także opuści ten świat, jednak minął rok, a dziewczyna wciąż żyła. Pewnego dnia poszła do kościoła i zaczęła się żarliwie modlić, prosząc Boga o szybką śmierć. Jednak mimo autentycznych, ciężkich łez, jakie towarzyszyły jej

modlitwie, nic się nie wydarzyło. W końcu musiała przyznać się do porażki.

- Dobrze - powiedziała, ocierając łzy. - Nie chcesz, żeby to się stało teraz. Chyba nie widzisz w tym sensu. Ale proszę cię, Panie Boże, niech to nastąpi jak najszybciej.

Miała właśnie wyjść z kościoła, kiedy do środka przez okno wleciał gołąb. Latał we wszystkie strony, rozpraszając promienie światła, wpadające przez szyby i oświetlające ławki, posadzkę i czarną suknię Isabel. To właśnie wtedy dziewczyna doznała natchnienia, bez wątpienia zainspirowana przez Ducha Świętego. Powinna zostać zakonnica, aby udowodnić swoją skruchę i to w stanie zakonnym musi cierpliwie czekać na dzień, w którym Bóg postanowi ją ukarać. Ponad trzydzieści lat później wciąż czekała. Lecz nagle, zamiast śmierci, której się spodziewała, Bóg posłał siostrze Marii Ines sierotę w walizce.

Tego dnia czytano *Wejście na Górę Karmel* świętego Jana od Krzyża. Siostra Teresa siedziała w kącie refektarza i czytała mocnym, wyraźnym głosem, tymczasem pozostałe siostry jadły przy stole, z oczyma utkwionymi w talerzach. U szczytu stołu zasiadała siostra Maria Ines; jadła bardzo niewiele i widać było, że jest pogrążona w myślach. Księga była jedną z jej ulubionych i w chwili, gdy siostra Teresa pomyliła się, matka przełożona posłała jej surowe spojrzenie.

- Proszę, uważaj, kiedy czytasz - powiedziała. - To nie jest jakaś tam sobie wesoła opowiadka.

Siostra poprawiła się i kontynuowała. Kiedy wszystkie zakonnice dokończyły posiłek, skłoniły głowy w cichej modlitwie i trwały w bezruchu, dopóki matka przełożona nie pozwoliła im odejść od stołów, rzucając jedno słowo:

- Amen.

Zakonnice odniosły talerze do kuchni, po czym obsłużyły siostrę Teresę, która głęboko przeżywała krytykę ze strony przełożonej. Siostra Maria Ines jednak już się nią nie interesowała. Od pojawienia się w klasztorze niemowlęcia myślała właściwie tylko o nim. Przed opuszczeniem

refektarza skinęła na siostrę Carlotę i odezwała się do niej właśnie w sprawie chłopca:

- Za godzinę będę potrzebowała trochę mleka. Dobrze je przegotuj i przynieś gorące do mnie.

Siostra Teresa popatrzyła znad talerza.

- Kiedy wszystkie zobaczymy to dziecko, matko?

- Nie teraz, bo śpi. Ale możecie przyjść później, kiedy będę je karmiła.

- Wygląda jak aniołek - powiedziała siostra Lucia. - Nie zdziwię się, jeśli pewnego dnia urosną mu skrzydła.

Zakonnice wytarły stół, umyły naczynia i pozamiatały podłogę. Miały teraz czas wolny, aż do popołudniowej modlitwy. Chociaż siostra Maria Ines nie rozumiała, dlaczego przez tak wiele lat Bóg trzyma ją jeszcze przy życiu, było prawdą, że nic tak bardzo jak towarzystwo tych sióstr i innych, które przebywały już w Niebie, nie pomagało jej pozostawać przy zdrowych zmysłach i nie powstrzymywało przed odebraniem sobie życia.

Myśl o samobójstwie po raz pierwszy wkradła się do jej umysłu w dniu, w którym usłyszała wiadomość o śmierci kadeta. Zinterpretowała ją wtedy jako naturalną reakcję na straszną informację, jednak po kilku miesiącach pomysł skończenia ze sobą wciąż dominował w jej głowie. Było to coś więcej niż chęć ukarania siebie śmiercią za młodzieńczą fascynację. Była to raczej tęsknota za wiecznym spokojem, mimo że przecież wiedziała, iż śmierć, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie będzie dla niej oznaczała końca cierpień. Jej umysł na krótki czas uwolnił się od myśli o samobójstwie, kiedy w odstępie kilku lat poumierali jej rodzice. Nie uczestniczyła w ich pogrzebach, utrzymując, że telegramy docierały do niej za późno, by mogła wyruszyć

w długą i trudną podróż, a tymczasem prawda była taka, że - mimo miłości do nich - nigdy nie przestała myśleć o swoich rodzicach jako o ostatnich szczątkach poprzedniego życia, które przecież już nie istniało. Nie było już Isabel. Tym niemniej opłakiwała ich w klasztorze i odmawiała nowenny za zbawienie ich dusz, niezdolna do wyzbycia się uczucia zazdrości, wiedziała bowiem, że ich pobyt w Czyścucu - niezależnie od tego, jacy byli niedoskonali - będzie znacznie krótszy niż czas, który spędzi tam ona sama. W końcu pojechała do domu, żeby spotkać się z wykonawcami ostatniej woli rodziców. Podpisała wówczas dokumenty, na mocy których cały pokaźny majątek rodziny przeszedł w ręce organizacji dobroczynnych - nie tylko gotówka, ale także dom, meble, faeton\* - dosłownie wszystko - po czym powróciła do klasztoru spokojniejsza dzięki świadomości, że istnienie rodziny nieodwołalnie skończy się na niej.

W tym czasie zamiar popełnienia samobójstwa nie był już elementem codziennych kontemplacji Marii Ines, jednak pojawiał się od czasu do czasu w jej głowie, szczególnie w okresie Wielkanocy. Kładła się wówczas w łóżku przy otwartych oknach i wtedy powietrze wnoszące do pokoju zapach sosen łagodziło jej smutek, bynajmniej nie przekonując, że życie jest czymś wspaniałym. Czytała wszystko, co przeciwko samobójstwu napisali święty Tomasz z Akwinu i święty Augustyn - wciąż jednak była przekonana, że decyzja, aby z powodu wyrzutów sumienia albo własnej pokory odebrać sobie życie, nie powinna być grzechem. Według niej Męka Pańska nie była niczym

**\* Faeton - lekki pojazd spacerowy, ciągnięty przez konie (przyp. tłum.).**

innym, jak trwającym najdłużej, najbardziej przejmującym i najbardziej bezinteresownym samobójstwem w historii. W tym wszystkim, w najbardziej śmiałych rozważaniach teologicznych, w próbie rozwiązania swojego problemu moralnego, jednej rzeczy nie potrafiła sobie wyobrazić: że Bóg mógłby jej dać jeszcze jedną szansę.

Padła na kolana przed ukrzyżowanym Jezusem Chrystusem, dotknęła jego stóp i przeżegnała się. Kiedy już miała wychodzić z refektarza, podeszła do niej siostra Beatriz.

- Chciałabym pomóc przy dziecku - powiedziała.

- Uważam, że na razie nie powinnaś się do niego zbliżać.

Siostra Beatriz była wielce skonsternowana i niezadowolona.

- Dlaczego nie, matko?

- Nie czułaś się dobrze dzisiaj rano.

- Ale już mi nic nie jest, matko przełożona. Zapewniam cię, że z moim zdrowiem już jest wszystko w porządku.

- Mimo wszystko, nie mogę ryzykować. Niemowlaki są bardzo podatne na infekcje. Ale wierzę, że później będziesz jeszcze bardzo pomocna.

Przed wyjściem z refektarza jeszcze raz przypomniała siostrze Carlocie:

- Nie zapomnij o mleku. Za godzinę.

Ciepły wiatr ze wschodu unosił nad dziedzińcem chmury pyłu i kurzu. Wirujące kolumny powietrza z ogłuszającym hałasem biły o ściany i okna klasztoru. Chroniona łukowym sklepieniem krużganka, matka przełożona kilkakrotnie zamrugła oczyma i zatrzymała się, żeby spojrzeć na dzwonnice, której kształt był w tej chwili niewyraźny w tumanach kurzu. Rodzina bocianów stała na szczycie komina,

zupełnie nie przejmując się silnym wiatrem. María Inés ruszyła kruzgankiem, trzymając się blisko ściany, gdzie docierało najmniej pyłu, po czym szybko weszła po schodach do swojego pokoju. Z każdym kolejnym stopniem jej oddech stawał się cięższy. Bardzo długo była dumna ze swojej kondycji fizycznej, pozwalającej jej sypiać zaledwie trzy godziny w ciągu doby. Mimo że niewiele sypiała, była sprawniejsza od innych sióstr, nawet od tych o wiele od niej młodszych, ale kiedy osiągnęła pięćdziesiąty rok życia, jej przewaga nad innymi zakonnicami zaczęła gwałtownie maleć. Teraz, kiedy stanęła u szczytu schodów, musiała się zatrzymać na krótki odpoczynek. Poprawiła welon i otarła pot z czoła.

Niemowlę obudziło się. María Inés wzięła je w ramiona, przyniosła przed fotografię młodego kadeta, wiszącą na ścianie, i zaczęła porównywać dwie twarze. Przez te wszystkie lata kadet marynarki był przy niej - taki młody, jakim go zapamiętała ostatni raz, w białym mundurze z połączanymi epoletami, w czapce z daszkiem i z ozdobnym mieczem. Sypiali razem, razem chodzili się modlić, pracowali ramię w ramię i wspólnie jadali posiłki, chociaż zakonnice nie miały o tym najmniejszego pojęcia. Maria Inés opowiadała mu o wszystkim, poczynając od codziennych problemów klasztoru, a kończąc na bezustannych narzekaniach, że w oczekiwaniu, aż Bóg pozwoli jej dołączyć do ukochanego w Czyścicu, robi się stara i zmęczona. Zawsze przemawiała do niego po cichu i tylko wtedy, gdy byli sami, bowiem w przeciwnym wypadku zakonnice pomyślałyby, że postradała zmysły.

Po jakimś czasie siostra Carlota przyniosła mleko. Przyszły także pozostałe zakonnice, żeby zobaczyć niemowlę. Matka przełożona była zadowolona, że wśród nich



jest także siostra Ana. Poprosiła najstarszą z sióstr, żeby postawiła butelkę z mlekiem na biurku, po czym przekazała jej dziecko. Kiedy siostra María Inés przygotowywała posiłek, zakonnice otoczyły siostrę Carlotę.

- Pamiętaj, co mówiłam o twojej chorobie, Beatriz  
- powiedziała matka przełożona. - Trochę się cofnij.  
Młoda siostra posłuchała polecenia.

- Czy on płacze? - zapytała siostra Teresa.

- Nigdy. Staram się, żeby mu było wygodnie, jednak dziecko nie powinno spać w takim łóżku jak moje. Tereso, będę chciała, żebyś mi pomogła w przygotowaniu dla niego kołyski. Będziemy potrzebowały kilku desek z parkietu w starej szkole. Siostra Ana pomoże ci wyrwać je z podłogi. Przyniesiecie je do warsztatu, a ja już zajmę się resztą.

- Wolałabym tego nie robić - odezwała się siostra Ana.

- Maluję teraz Przemienienie i jestem bardzo zajęta.

- Ja za to chętnie pomogę - wtrąciła siostra Beatriz.

Karmiąc dziecko, siostra María Inés rzekła do zakonnice, które najbardziej chciały jej pomagać:

- Bardzo uważajcie na drzazgi w deskach. Nie skaleczcie się gwoździami. Będą zardzewiały, można więc nabawić się teżca. Ubierzcie grube rękawice i wybierajcie klepki niewypaczone i bez sęków, w przeciwnym wypadku trudno będzie je ciąć i sklecić z nich kołyskę.

- Traciecie czas - powiedziała siostra Ana. - Maszyny z warsztatu w większości już nie działają. Należały chyba do świętego Józefa.

- Nigdy nie zajmowałam się stolarstwem, ale mam dosyć doświadczenia, którego nabyłam przy Fordzie - oznajmiła siostra María Inés. - Nie mam więc wątpliwości, że zdołam zbudować kołyskę. Z maszynami czy bez.

Kiedy dziecko zasnęło, matka przełożona zostawiła je pod opieką siostry Lucii i poszła do warsztatu. Drzwi były mocno zatrzaśnięte, jednak zdołała je otworzyć, posługując się żelaznym kluczem do kół samochodowych. Z sufitu zwisały grube pajęczyny, a w powietrzu unosił się zapach drewna i wilgoci. Otworzyła okna, po czym uważnie obejrzała wszystkie urządzenia warsztatu oraz narzędzia. Maszyny należało przynajmniej naoliwić. Założyła więc fartuch i wymieniła olej, gdzie to było niezbędne, po czym zlikwidowała pajęczyny, umyła okna i wytarła podłogę. Silnik parowy, który napędzał maszyny, znajdował się za budynkiem. Był bardzo stary, miał stalowe koła i wysoki komin, niczym silnik parowozu. Siostra Maria Ines wypełniła palenisko drewnem i podpaliła ogień. Jeszcze nie zagotowała się woda, kiedy do warsztatu przyszły z klepkami podłogowymi dwie siostry. Matka przełożona została w warsztacie do końca dnia, robiąc przerwy w pracy jedynie na czas modlitw. Powróciwszy do swojego pokoju, wykąpała się. Następnie umyła również dziecko - mydłem i bardzo delikatną szczotką - po czym owinęła je w kilka warstw prześcieradła, żeby je zanieść do kaplicy. Kiedy siostry zjawiły się na wieczorną modlitwę, stała już przed ołtarzem, z niemowlakiem w rękach. Skinęła, żeby zasiadły w ławkach, i powiedziała:

- Powinniśmy podziękować Panu Bogu za cud, jakim jest zesłanie nam tego dziecka.

Siostra Ana nie usiadła. Stała samotnie w przejściu, z rękami zaciśniętymi w pięści i opuszczonymi wzdłuż ciała.

- Tak być nie powinno - powiedziała.

- Jeśli się nie zgadzasz, możesz odbyć modlitwę w swojej celi - odpowiedziała jej matka przełożona.

- Popełniasz grzech. Zupełnie nic nie wiesz o tym dziecku.

- To, co wiem, jest pomiędzy Bogiem a mną.

- Nonsens. Jesteś zdesperowaną bezdzietną kobietą, która straciła rozum. - Siostra Ana popatrzyła po pozostałych siostrach. - Chcę, żebyście wszystkie poszły za mną, zanim popełnicie wielki grzech.

Kobiety spoglądały na nią z dezorientacją, jednak żadna się nie poruszyła. Siostra Ana ukłękła więc, przeżegnała się i wyszła z kaplicy. Drogę oświetlało jej słabe żółte światło świec z kaplicy. Była już w połowie dziedzińca, kiedy zdała sobie sprawę, że zapomniała swojej lampki, a przecież bała się ciemności. Była jednak zbyt dumna, żeby się cofnąć. Pośpieszyła do celi, mruczając coś cicho do siebie, tymczasem siostry w kaplicy zaczęły odmawiać litanie.

Siostra Ana szła kruzgankiem, co chwilę przystając przed posągami świętych, stojących w zagłębieniach muru. Była sama i nie słyszała żadnego dźwięku poza odgłosem własnych butów na wyłożonej kamiennymi płytami posadzce, a jednak co chwilę oglądała się przez ramię. Poza kolumnadą rozpościerał się dziedziniec, a po jego drugiej stronie stała kaplica. Siostra Ana prawie już nie miała wątpliwości, że do ostatnich wydarzeń w klasztorze znacząco przyczynił się Szatan. Zegar na wieży wskazywał, że jest kilka minut po dziesiątej rano. O tej porze Ana powinna być zajęta swoimi obowiązkami, jednak dzisiaj poprosiła o zwolnienie z nich, twierdząc, że bardzo źle spała. Matka przełożona wyraziła zgodę, chociaż jej ciężkie spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, iż nie wybaczyła zakonnicy jej wybuchu w kaplicy. Tym niemniej siostra Ana niczego z poprzedniego wieczoru nie żałowała, wypełniła swój obowiązek. Usiadła na ławce w cieniu kruzganka i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób zwyciężyć Szatana.

Przybyła do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, pragnąc tylko i wyłącznie służyć Bogu ze wszystkich sił. Nie uciekła jednak przed pechem, który prześladował ją od

najmłodszych lat i skazał na samotność. Obecnie zaczynała dochodzić do wniosku, że być może nie powinna się nad sobą uzalać, że takiego życia zapragnął od niej Bóg - przecież jego najdoskonalszymi sługami zawsze byli pustelnicy. Dla innych sióstr, które jej nie rozumiały, miała teraz tylko pogardę. Była przekonana, że okazywana przez zakonnice lekkomyślność jest zupełnie nie na miejscu. Uważała je za kobiety leniwe i nawet wątpiła w ich oddanie Bogu. Wzięła do ręki różaniec i rozpoczęła odmawiać *Credo*: — *Credo in Deum patrem omnipotentem, creatorem caeli et terrae...*

Gdy modliła się cichym głosem, jej palce przebierały po paciorkach różańca. Z wysokiej dzwonnicy wystartował do lotu bocian i bardzo powoli machając skrzydłami, kilkakrotnie okrążył klasztor, po czym odleciał. Siostra Ana współczuła całemu światu cierpiącemu ubóstwo i tonącemu w grzechu. Gdyby tylko została matką przełożoną, miała dla klasztoru wielkie plany. Zamierzała przekształcić go w schronienie dla kobiet, które źle potraktował los, oraz dla takich, które żałowały swoich grzechów. Ziemia na wiele mil dookoła zabudowań należała właśnie do klasztoru i siostra Ana była w stu procentach przekonana, że jeśli pojawiłoby się tutaj więcej sióstr, mogłyby ją uprawiać i zarabiać znacznie więcej pieniędzy, niż te, które wystarczały zaledwie na wykarmienie ich samych. Ale na takie zmiany nie pozwalała aktualna matka przełożona. Siostra Ana odmówiła różaniec i wyszła spod krużganka na dziedziniec. Przystanęła obok studni, żeby się napić. Następnie przespacerowała się pomiędzy opuszczonymi zabudowaniami, marząc, że klasztor ten będzie kiedyś najlepszym w kraju.

Uważała, że tylko biskup jest w stanie ją zrozumieć, jednak dotąd prawie nie miała możliwości, żeby z nim porozmawiać. Bywali sami tylko w konfesjonale, gdy przyjeżdżał do klasztoru raz w miesiącu, żeby spowiadać siostry. Był osobą, którą szanowała jak nikogo innego na świecie i zawsze cieszyła się na jego wizyty. Po mszy biskup zasiadał z kobietami do wspólnego lunchu. Latem zakonnice wnosily długi stół z refektarza do ogrodu i wspólnie z nim spożywały posiłek w cieniu przerośniętych winorośli. Ich krzewy mimo tylu lat owocowania wciąż były na tyle płodne, że wydawały dorodne białe owoce o znakomitym zapachu i bardzo słodkim smaku. Kiedy biskup po raz pierwszy zaproponował, aby zjeść na zewnątrz, matka przełożona zawahała się. Biskup jednak zbił jej zastrzeżenia:

- Wiadomo mi, że sam Ojciec Święty bardzo lubi jadać na świeżym powietrzu - powiedział i matka przełożona już nie oponowała.

Stanąwszy u szczytu stołu, odmówił modlitwę, po czym wszyscy usiedli i przystąpili do spożywania smażonej ryby oraz owoców z ogrodu, przygotowanych specjalnie na jego cześć. Biskup przekazywał siostrom najnowsze wieści ze świata, opowiadał zapierające dech w piersiach historie i częstował ciastkami z pastą migdałową, skrapianymi wodą różaną, które przywoził specjalnie dla zakonnice. Pod koniec lunchu kilkakrotnie obchodził z ciastkami stół dookoła. Matka przełożona nigdy nie przyjmowała poczęstunku, ale pozostałe siostry jadły z przyjemnością. Sam biskup także nie jadał słodczy- nie ze strachu przed popełnieniem grzechu obżarstwa, który kierował Marią Ines, lecz z powodu chorych zębów. Często żartował, że pewnego dnia ekskomunikuje swojego dentystę za to, iż nie uchronił go przed

próchnicą, chociaż wypchał mu usta większą ilością złota, niż jest go w całym Eldorado. Po lunchu chodził z matką przełożoną do jej biura, gdzie przy kawie z odrobiną mleka dyskutowali o sprawach klasztoru. W końcu biskup błogosławił zakonnice, wsiadał do samochodu i wracał do miasta.

Siostra Ana nigdy nikomu nie powiedziała, jaką przykrość sprawia jej widok odjeżdżającego biskupa. Jego życzliwość sprawiła, że któregoś dnia ośmieliła się i zaczęła mu opowiadać o swoich ambitnych planach. Była ostatnią zakonnice u spowiedzi i po jej zakończeniu poczekała na niego. Biskup wyszedł z konfesjonału, założył na głowę amarantowy biret i uśmiechnął się do niej. Siostra Ana skłoniła głowę i pocałowała pierścień biskupa.

- Wasza ekscelencjo - powiedziała. - Jest pewna sprawa, o której ostatnio wiele myślałam.

Biskup popatrzył na zegarek i odparł przyjaznym głosem:

- Moglibyśmy o tym porozmawiać podczas lunchu?

- Wolalabym nie mówić przy innych siostrach.

- Jeśli chodzi o coś, o czym zapomniałaś w czasie spowiedzi, lepiej powróćmy do konfesjonału.

Zakonnica pokręciła przecząco głową.

-To nie ma nic wspólnego ze spowiedzią, wasza ekscelencjo. Jest to jednak sprawa, która wielce mnie nurtuje.

Biskup zdjął biret, usiadł obok siostry Any na ławce i łagodnym ruchem ręki poprawił ułożenie sutanny. Wtedy siostra Ana zaczęła przedstawiać mu swoje propozycje i mówić, w jaki sposób można by zwiększyć dochody klasztoru. Zakończyła uroczystym tonem:

-To miejsce mogłyby znowu rozświetlić promienie nadziei.

Biskup pokiwał głową.

- Widzę, że starannie wszystko to przemyślałaś.  
- Wasza ekscelencja nie wie, ile mam jeszcze pomysłów.  
Gdybym tylko otrzymała możliwość wcielenia ich w życie.

- Jasne - powiedział biskup i z rozbawieniem zacytował Archimedesesa:

- *Dajcie mi miejsce oparcia, a poruszę ziemię.* - Pogłaskał krzyż na swojej piersi. Zaraz jednak spoważniał i przez kilkanaście sekund obserwował kobietę przenikliwym wzrokiem. Po chwili dodał:

- Jestem przekonany, że wiele potrafisz, siostró Anó. Zapewne nie do końca wykorzystujemy obecnie twoje wielkie umiejętności.

- Pewna osoba tak nie uważa. Biskup zrozumiał.

- Masz jakiś żal do matki przełożonej?

- W ogóle nie okazuje zainteresowania moimi sugestiami.

Rzuca mi jedynie kłody pod nogi.

Biskup przez chwilę bawił się leżącym na jego kolanach biretem.

- Pewne zachowania powinniśmy mieć we krwi, raz na zawsze utrwalone - powiedział. - Mijając konfesjonał, dobrze jest zakryć ucho, okazując szacunek wobec świętości spowiedzi, nawet kiedy nikogo nie ma w środku. Podobnie wszystkie zakonnice powinny szanować matkę przełożoną, nawet jeśli mają wobec niej jakieś zastrzeżenia. - Siostra Ana chciała coś powiedzieć, ale biskup uciszył ją łagodnym ruchem ręki. - To nie oznacza, że nie należy wypowiadać swoich trosk. Ale należy ku temu stosować właściwe kanały.

- Właściwe kanały znajdują się zbyt daleko, by zrozumieć, co się dzieje w tym zupełnie nieważnym zakątku świata, wasza ekscelencjo - odparła siostra Ana. - Na żaden



z moich listów, jakie skierowałam do matki przełożonej naszego zakonu, nie dostałam odpowiedzi. Podejrzewam, że żaden z nich nie dotarł do adresata... chociaż bez dowodów nie powinnam nikogo oskarżać. Wasza ekscelencja w tej sytuacji jest moją jedyną nadzieją. Wasza ekscelencja ma wiedzę z pierwszej ręki o naszym klasztorze i o zamieszkujących go osobach. Uszanuję osąd ekscelencji. Biskup popatrzył na zegarek i powiedział:

- Pomyślę o tym wszystkim i znowu z tobą porozmawiam, siostro. Zważ, że to będzie wymagało czasu. Będę musiał podjąć różne rozmowy i różne przedsięwzięcia.

- Jestem waszej ekscelencji niezmiernie wdzięczna.

- Tymczasem, jak zwykle, wykonuj swoje obowiązki. Zakonnica skłoniła głowę.

- Mam nadzieję, że pomiędzy tobą a matką przełożoną nie ma osobistych animozji. Taka sytuacja byłaby godna pożałowania. Muszę ci powiedzieć, że wielce poważam matkę przełożoną.

- Moim jedynym pragnieniem jest poprawienie sytuacji klasztoru, wasza ekscelencjo. W takim stanie nasz klasztor nie przetrwa nawet następnego pokolenia.

- Żyjemy w trudnych czasach - zgodził się biskup. - Nie możemy występować przeciwko burzy postępu. Jednak wcześniej czy później ta burza ulegnie spowolnieniu i wszystko powróci na prawidłowe tory. Chrześcijaństwo pokonało już większe trudy.

Biskup wstał i podał siostrze rękę. Ta ukłoniła się, po czym pocałowała pierścień na jego palcu.

- Idź już - powiedział biskup. - Jesteśmy spóźnieni na mszę. Siostry czekają. Powiedz im, że zaczniemy za kilka minut - podszedł do drzwi kaplicy.

- Oczywiście, rozważę wiele opcji - rzucił na odchodne. -  
Wiem, że wkrótce zwolni się stanowisko siostry wizytantki.  
Obecna staje się zbyt wiekowa, żeby odbywać męczące długie  
podróże. Odnoszę wrażenie, że mógłby ją zastąpić ktoś z  
twoim zapalem i energią. Byłabyś idealna na to stanowisko.

Siostra Ana poczuła radość na myśl, że mogłaby zająć  
pozycję wielce szanowaną nie tylko w zakonie. Wreszcie  
zaczęłyby wprowadzać swoje plany innowacyjne, nie martwiąc  
się siostrą Marią Ines.

- Oczywiście, to nie ja będę o tym decydował - powiedział  
biskup. - Ale przełożona zakonu jest moją dobrą znajomą i  
zawsze pyta mnie o zdanie, podejmując decyzje dotyczące  
mojej diecezji. Kiedy następnym razem będę w stolicy,  
wspomnę o tobie.

Siostra Ana zacisnęła dłoń na różańcu.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt, wasza ekscelencjo.

- Zapytam ją także, czy otrzymała twoje listy.

- Proszę nie kłopotać drogiej matki wielebnej tą sprawą.  
To drobiazg. Listy zapewne zagubiła poczta.

- Ja też tak przypuszczam - przyznał biskup.

- Zawsze mogę napisać do niej raz jeszcze.

- Funkcja siostry wizytantki wiąże się z wieloma podró-  
żami po całym kraju.

- Niech się wasza ekscelencja tym nie martwi. Nasz Pan  
obdarował mnie bardzo silnym organizmem.

- Chyba rozumiesz, że niczego nie obiecuję. Wspominam  
o tym tylko jako o pewnej ewentualności.

- Nie ośmieliłabym się nawet powiedzieć, że zasługuję na  
ten honor.

- Nie o to chodzi, siostrze. W każdej sprawie muszę rozważyć wiele możliwych rozwiązań. Czasami biskup musi grać dyplomatę.

To był koniec ich rozmowy. Od tego czasu biskup odwiedził klasztor kilkakrotnie, jednak do niej nie nawiązał. Siostra Ana rozumiała delikatną naturę sprawy i cierpliwie czekała, przekonana, że pewnego dnia nadejdzie list ze stolicy z informacją o mianowaniu jej na nowe stanowisko.

Pogrążona w kontemplacji, znalazła się przy starej szkole dla nowicjuszek i weszła do środka, aby ocenić stan pomieszczeń. Budynek miał dwa piętra o wyłożonych parkietem podłogach i grube kamienne mury. Mimo odpadającego tynku, mimo że drewno zżerały czerwie i pleśń, mimo powybijanych szyb w oknach, szkołę można było bardzo szybko odbudować i ponownie otworzyć dla nowicjuszek. Ana była pewna, że znajdzie wiele dziewcząt, które zechcą wstąpić do klasztoru. Kiedy wyszła z budynku, podbiegł do niej, machając ogonem, jeden z bezpańskich psów, którymi opiekowała się siostra Carlota. Pozwoliła, żeby poszedł za nią.

Była zaledwie dzieckiem, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Szatana, przebranego za wysokiego mężczyznę w długim czarnym płaszczu, z brodą, chociaż bez wąsów, i w cylindrze na głowie. Był ulicznym skrybą. Otoczony przez tłum ludzi, siedział przy stoliku w wesołym miasteczku i za drobne pieniądze sprzedawał zapisane na karteluszkach przepowiednie. Poprosił jej ojca o monetę i wrzucił ją do kubka, który stał przed nim na stoliku. Popatrzył na dziewczynkę, potem na jej ojca, wziął ze sterty kartkę papieru i zanurzył pióro w pełnym gęstej cieczy kałamarzu. Mogła to być jedynie krew. Zapisawszy coś purpurowymi

literami, wyciągnął spod kapelusza kopertę, wsunął do niej papier, starannie zakleił kopertę i wręczył dziewczynce, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiechu. Brakowało mu trzech przednich zębów. Później, w domu, dziewczynka otworzyła kopertę i wyciągnęła kartkę, na której widniało proste zdanie: *Jeden rok, sześć miesięcy i jedenaście dni*. Wówczas te słowa nic dla niej nie znaczyły, ale następnego roku - dokładnie w dniu, który zapisał skryba - jej ojciec zmarł przy stole w jadalni.

Siostra Ana szła przed siebie, wciąż głęboko zamyślona. Nikt nie widział osoby, która przyniosła niemowlę do klasztoru, nikt nie słyszał ani muła, ani samochodu. Najbliższe domy znajdowały się w odległości ponad dwudziestu mil i przecież nikt nie mógł przejść tej odległości na piechotę, z dzieckiem w walizce. Ten ktoś najlepiej zrobiłby, gdyby zostawił je gdzieś w mieście, aby znalazły je władze. Siostra Ana zgadzała się z matką przełożoną, że ktokolwiek przyniósł niemowlę do klasztoru, bardzo chciał, aby zajęły się nim właśnie zakonnice. Różnica pomiędzy nimi polegała jednak na tym, że Ana nie wierzyła w boskie sprawstwo tego wydarzenia. Pies zaczął warczeć. Siostra Ana popatrzyła w jego kierunku i zobaczyła, że zwierzę grzebie łapami w ziemi tuż przy otaczającym klasztor murze. Zdążyło już wykopać rąbek materiału i teraz chciało wyszarpnąć tkaninę zębami. Siostra Ana odepchnęła psa, wykopała resztę sukna i z przerażeniem zobaczyła, że trzyma w ręce fragment ubrania poplamionego dawno zaschniętą krwią.

Kiedy w klasztorze po raz pierwszy pojawiły się bociany, w ubiegłym stuleciu, zakonnice uznały je za dobry omen i znak przyszłej pomyślności. Pierwsza para założyła gniazdo na szczycie dzwonnicy; zaraz potem przyleciało jeszcze więcej bocianów i pobudowały gniazda na kominach. Pozostały wówczas w klasztorze aż do bardzo późnego lata. Wtedy odleciały do Afryki, skąd wróciły wczesną wiosną, z piórami pokrytymi żółtym piaskiem Sahary. Jednak na przestrzeni lat odkryły wysypiska śmieci wokół miasta. To dzięki nim odżywiały się lepiej i nie miały powodów do odlatywania, zanim na dworze nie zapanuje naprawdę zimna jesień. Po ich odlocie zakonnice niszczyły puste gniazda, tym samym udrażniając kominy. Dopiero wtedy mogły rozpalać ogień i ogrzewać poszczególne pomieszczenia w klasztorze. Kolejnego lata bociany znowu budowały gniazda, równie duże i mocne jak rok wcześniej. Obecnie, gdy siostry zrezygnowały z użytkowania wielu budynków, nie było już potrzeby, aby niszczyć gniazda, które ptaki co roku z mazołem rozbudowały, aż niektóre zrobiły się wielkie jak łodzie. Zakonnice nie pozwalały bocianom zakładać gniazd jedynie na domu gościnnym. Tam kominy zawsze

musiały być udrożnione, na wypadek gdyby biskup zechciał po wizytacji klasztoru zostać na noc i poprosił siostry o rozpalenie ognia, co zresztą zdarzało się przy okazji większości jego odwiedzin. Zawsze w październiku, w dniu świętego Franciszka, zakonnice błogosławiły z dziedzińca bociany oraz psy, które sprowadzała do klasztoru siostra Carlota. Pewnego roku, dawno temu, jedna z zakonnice przystawiła do komina drabinę, chcąc zajrzeć do któregoś z gniazd, ale na jej widok pilnujący go wielki bocian groźnie zamachał skrzydłami w obronie swojego dobytku. Kobieta wystraszyła się, spadła z drabiny z dużej wysokości i zginęła na miejscu. Kiedy to się wydarzyło, siostra Maria Ines była młodą zakonnice. Nigdy nie zapomniała o tym tragicznym wypadku i gdy tylko została matką przełożoną, stanowczo zabroniła siostronom zbliżania się do ptaków.

Dzisiaj siostra Maria Ines obudziła się wcześniej niż zazwyczaj. Przed poranną modlitwą chciała zebrać drewno do maszyny parowej. Po ciemku ubrała habit, nakarmiła dziecko, aby podczas jej nieobecności nie obudziło się głodne, założyła buty i z latarką udała się do lasu. Szła wśród sosen, poszukując suchych gałęzi. Drżała z zimna pod cienkim habitem. Spłoszyła jakieś śpiące zwierzę, które wyskoczyło z gęstwiny dosłownie kilka kroków przed nią. Rosa na ziemi jeszcze nie wyparowała i wkrótce rąbki jej habitu stały się mokre i ciężkie, ale siostra Maria Ines nawet tego nie zauważyła, zbyt pochłonięta zadaniem, które przed sobą postawiła. Zebrała tyle drewna, ile potrafiła unieść i zaniosiła je do warsztatu stolarskiego. Potem wróciła do lasu po kolejną porcję, a następnie po jeszcze jedną. Powtarzała to jeszcze kilkakrotnie, dopóki nie nadeszła pora porannej modlitwy.

Po modlitwie znowu odbyła kilka spacerów do lasu, dopóki nie uznała, że ma już dość drewna. Założyła fartuch, włączyła maszynę i bardzo długo pracowała bez chwili przerwy. Wreszcie, z fartuchem uwalanym trocinami stanęła na progu warsztatu i zaczęła obserwować bociany. Po chwili zobaczyła siostrę Lucię, która podeszła do niej z dzbanem wody.

- Kto jest z dzieckiem? - zagadnęła.

- Teresa. Poprosiła siostrę Carlotę, żeby jej pozwoliła spędzić z nim kilka chwil.

Siostra Maria Ines wypila kubek wody i zapytała, w jakim nastroju są dzisiaj siostry i co się w ogóle dzieje. Uzyskała odpowiedź, że wszystko jest w najlepszym porządku, jak zawsze. A siostra Ana pracuje.

- Mam nadzieję, że szybko wyleczy się z głupoty - powiedziała matka przełożona.

Gęste obłoki pary z dyszy starego silnika unosiły się nad klasztorem i znikwały wysoko na niebie. Tymczasem nowi-cjuszka ze strachem patrzyła na dziwną maszynę.

- Siostra Beatriz znowu chciałaby jeździć do miasta - powiedziała.

- Dobrze - zgodziła się matka przełożona. - Ale będzie najlepiej, jeśli zaczniecie jeździć ha zmianę. Dzięki temu nauczysz się lepiej prowadzić samochód i przy okazji zyskasz dodatkowy czas na naukę. Musisz się do niej jeszcze bardziej przykładać, jeśli chcesz wkrótce złożyć ostateczne śluby, Lucio. A potem... byłoby dobrze, gdybyś pojechała na jakąś misję.

Afryka i szpital misyjny, w którym służyła w młodości, były najbardziej ulubionymi wspomnieniami siostry Marii Ines. Dotarła na wybrzeże Gwinei, nie mając najmniejszego

pojęcia, co ją czeka po pełnej niebezpieczeństw podróży morskiej, w czasie której statek wpłynął na mieliznę, a mijając Wyspy Kanaryjskie nieomal roztrzaskał się o skały. Potrzebowała kilkunastu dni, żeby odzyskać siły i wyruszyć w głąb lądu do siedziby misji, którą znalazła w końcu w małej wiosce na brzegu rzeki Benito, zabudowanej chatami z gliny i błota, gdzie ludzi bezustannie atakowały chmary insektów. Trzy lata w tym miejscu na zawsze zahartowały siostrę Marię Ines. Kiedy zobaczyła niekończące się karawany pacjentów, którzy podróżowali wiele dni i setki mil, żeby dotrzeć do szpitala białych ojców, jak określali misjonarzy, od razu zrozumiała, że nigdzie na świecie nie znajdzie lepszego miejsca na odpokutowanie swojego grzechu. Jęki chorych, wzbudzające grozę ruchy krokodyli w błotnistej rzece, wilgotne powietrze, niesamowite piskliwe odgłosy śmiejących się dzieci, nawoływania sępów - to wszystko budowało dziwną halucynację, od której człowiek nie mógł uciec nawet we śnie. Było to na początku dwudziestego wieku, kiedy to wszelkie choroby leczono w prosty, ale skuteczny, sposób: trąd za pomocą olejku z chaulmoogry, dyzenterię syropem z ipekakuany, zaognione rany chlorkiem rtęci, a malarię chininą. Dzięki tym i innym lekarstwom Afryka przestała być dla białych ludzi nieuniknionym grobem, przez co zaczęli do niej napływać osadnicy. Bardzo rzadko przybysze czynili dla niej coś dobrego. We Francuskiej Afryce Równikowej siostra Maria Ines spotkała Alberta Schweitzera, jeszcze zanim poznała go reszta świata, i chociaż uważała jego teologię luterańską za błędną, jego pracę w Afryce autentycznie podziwiała.



- Kołyska będzie gotowa jutro - powiedziała do siostry Lucii. Wtedy spostrzegła, że coś gnębi młodą zakonnice. - O co chodzi, Lucio?

- Matko, zamierzasz porozmawiać o dziecku z biskupem?

- Jeszcze nie. Muszę tę sprawę bardzo starannie przemyśleć. Nie mam jednak wątpliwości, że prędzej czy później będziemy potrzebowały rady jego ekscelencji. "Ekscelencja ma wpływ na nasze władze.

Siostra Maria Ines nie była jednak przekonana, czy biskup pomoże zakonnicom w kwestii dziecka. Uważała go za człowieka rozważnego i bała się, że nie będzie w stanie przekonać go, że pojawienie się dziecka jest cudem... chyba że opowie mu o grzechu, który popełniła w młodości. A wtedy także on z całą pewnością nabierze przekonania, że najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem nagłego pojawienia się dziecka jest cud. Ale nie udzieli jej przebaczenia: wyznanie tak poważnego grzechu śmiertelnego, po tak wielu latach ukrywania go nawet w czasie spowiedzi, z całą pewnością zakończy się wydaleniem jej z zakonu. Jedyną nadzieją siostry Marii Ines była tolerancja, z której znano biskupa w całej diecezji. Czasami nawet wykraczał w swoich wypowiedziach poza to, co wolno nawet najbardziej postępowemu kapłanowi. Kiedyś podczas lunchu w ogrodzie powiedział zakonnicom, że „nadszedł już czas, abyśmy kanonizowali starego, dobrego Darwina”.

- Jutro pojedziesz do miasta. Kupisz kilka rzeczy - siostra Maria Ines zwróciła się do nowicjuszek. - Kupisz kilka puszek białej farby i pędzel do pomalowania kołyski. A także lekarstwo, które będziemy mieszały z mlekiem dla dziecka.

Podąła siostrze Lucii kartkę papieru, a nowicjuszka przeczytała listę.

-Co mam powiedzieć aptekarzowi?

Siostra Maria Ines posłała dziewczynie poważne spojrzenie.

- Tylko prawdę. To znaczy powiesz, że to ja poprosiłam cię o zakupy. Nic więcej.

Zakonnica schowała kartkę do kieszeni. Na kominie jednego z opuszczonych budynków w gnieździe stała para bocianów. Matka przełożona obserwowała je przez chwilę z rękami w kieszeniach fartucha. Tymczasem maszyna parowa głośno pracowała, wyrzucając w powietrze kłęby pary.

-Jeszcze jedna rzecz, Lucio - powiedziała. - Jest pewna sprawa, w której należy postępować bardzo rozważnie, bo mogłybyśmy zdenerwować siostrę Carlotę. Chodzi o szczury. Pułapki nam nie wystarczają. Potrzebujemy trucizny. Obecnie, gdy jest z nami dziecko, nie powinnyśmy lekceważyć tej kwestii. Gryzonie roznoszą choroby. Kup dużo trutki na szczury. Ale nie możesz o tym nikomu powiedzieć i nie wolno ci złożyć trutki w naszym magazynie. Kiedy wrócisz z miasta, przyniesiesz ją z samochodu prosto do mojego pokoju. Ja przechowam ją w bezpiecznym miejscu. - Po chwili dodała, nawet nie patrząc na zegar nad dzwonnica: - Wkrótce trzeba nakarmić dziecko. Wrócę do niego razem z tobą.

Maszyna parowa pracowała coraz wolniej i właściwie już stygła, jednak ze zwykłej przezorności matka przełożona otworzyła zawór bezpieczeństwa. Para wodna zaczęła z sykiem uciekać z turbiny.

- Robię to, żeby mieć pewność, że kocioł nie wybuchnie - wyjaśniła nowicjusze. Zdjęła fartuch i zamknęła drzwi do warsztatu. Zamierzała wrócić po lunchu i dokończyć pracę.

Zakonnice przeszły przez sad; jabłka na drzewach były już niemal dojrzałe. Matka przełożona przesunęła po kilku z nich palcami, nie zrywając ich jednak.

- Pan Bóg obdarował mnie czymś, na co nie zasługuję. Jest to tak samo zadziwiające, jak widok dorodnego jabłka, wyrastającego na złamanej gałęzi.

- Masz na myśli dziecko? - powiedziała siostra Lucia.

- Uważam, że nastąpił cud. To jest naprawdę jedyne wyjaśnienie. Z mojego okna dokładnie widać całą drogę i przecież wiadomo ci, jak bardzo lubię się w nią wpatrywać. Dostrzegłabym każdego gościa na długo przed jego dotarciem do klasztoru. A ja nikogo nie widziałam. Cuda zdarzają się w naszych czasach bardzo rzadko, Lucio. Ale to nie znaczy, że nie zdarzają się w ogóle. A gdy już się zdarzą, absolutnie nie można im przeczyć. Cud Słońca obserwowały setki tysięcy ludzi.

Ludzie wciąż rozmawiali pomiędzy sobą o tym, co się wydarzyło przed kilkoma laty w Portugalii, kiedy troje pastuszków ogłosiło, że w samo południe na przedmieściach miasta Fatima wydarzy się cud. Kiedy nadszedł dzień cudu, spadł rześisty deszcz, który przemoczył do suchej nitki zgromadzonych ludzi, lecz w pewnej chwili chmury zupełnie nagle się rozstały i zmatowiały, obracające się słońce posłało ku ziemi wszystkie kolory tęczy. Chwilę później zaczęło opadać ku ziemi i stało się tak oślepiająco jasne, że wielu ludzi uwierzyło, iż właśnie następuje koniec świata. Zjawisko to trwało dziesięć minut. Dzieci, które

przepowiedziały cud, twierdziły później, że w tym czasie doświadczyły wizji Jezusa i Maryi Dziewicy, błogosławiącej zgromadzony tłum.

- Cuda przydarzają się tylko wybranym ludziom w wybranych miejscach na ziemi - powiedziała matka przełożona. - W przypadku Cudu Słońca obserwatorami byli jedynie mieszkańcy Fatimy i okolic. Jak można się było spodziewać, astronomowie nie odnotowali tego wydarzenia. Prawa natury ulegają zmianom tylko dla takich ludzi, którzy są dość pokorni, by wierzyć, że potęga Boga nie ma granic.

W kierunku zakonnicy niespodziewanie nadleciała chmara pszczół. Siostra Lucia cofnęła się o krok.

- Nie bój się - mówiła matka przełożona, kontynuując marsz. - One nigdy nie robią krzywdy zakonnicom, ponieważ nie znoszą zapachu kadzidła.

Młoda nowicjuszka ostrożnie podążyła za siostrą Marią Ines.

- Bezustannie się modłę, abyś jeszcze bardzo długo żyła, wielebna matko - powiedziała. - A kiedy już nas opuścisz, bardzo chciałabym, żeby ogłoszono cię świętą.

- Nie wolno mi mieć takich ambicji - odparła siostra Maria Ines i pochyliła się, żeby zerwać kilka kwiatów. - Ale to, co się stało, daje mi przynajmniej nadzieję, że zostanę męczennicą Kościoła.

Z trudnością wyprostowała się, podała kwiaty dziewczynie i obie ruszyły kruzgankiem w kierunku jej pokoju.

Siostra Teresa znowu zapragnęła zobaczyć dziecko. Zapukała do drzwi i weszła do pokoju, w którym siostra Carlota chodziła od ściany do ściany z niemowlęciem w ramionach.

- Pozwól, że go przez chwilę potrzymam - poprosiła.

- Obiecuję, że będę bardzo ostrożna.

Siostra Carlota posłała jej zmartwione spojrzenie. Przez długi czas bez powodzenia starała się uspić chłopca i chociaż teraz był przynajmniej spokojny, nadal musiała go nosić, ponieważ poprosiła ją o to matka przełożona. Była już spóźniona z pieczeniem opłatków i czekała ją dzisiaj długa, wieczorna praca w kuchni. Z ulgą podała więc dziecko zakonnicy.

- Tylko hipnotyzer mógłby sprawić, że zamknie oczy

- powiedziała. - Teraz to jest niemożliwe.

Siostra Teresa zaczęła kołysać dziecko w ramionach i śpiewać. Uczyła się śpiewu kościelnego i śpiewała w kaplicy głosem, który wzbudzał podziw innych sióstr. Jednak jej prawdziwą pasją była muzyka popularna. Potrafiła naśladować głosy słynnych współczesnych śpiewaków flamenco w taki sposób, że siostry nie widziały różnicy pomiędzy jej

śpiewem a wykonaniem oryginalnym. Potrafiła także śpiewać argentyńskie tanga, kubańskie *sons*, portugalskie *fados*, a nawet amerykański jazz i angielskie utwory taneczne, mimo że nie miała pojęcia, co właściwie znaczą śpiewane przez nią słowa. Bez sprzeciwów ze strony siostry Any pożyczyła gramofon i odtwarzała płyty, które w tajemnicy siostra Beatriz kupowała dla niej w mieście. W niedzielę, zazwyczaj po południu, kiedy inne siostry przebywały w ogrodzie, a matka przełożona czytała w bibliotece, znikwała w swojej celi, nakręcała gramofon i nakładała skarpetę na jego tubę, żeby stłumić trochę dźwięki. Następnie śpiewała razem z odtwarzaną płytą, niezbyt głośno, ale z wielkim zaangażowaniem, przez cały czas wpatrując się w drzwi. Gdyby matka przełożona wiedziała, co ona robi, srodze by ją ukarała.

Kołysząc dziecko w ramionach, cicho śpiewała, a niemowlę wpatrywało się w nią z ciekawionymi oczyma. Śpiewała o śmierci, miłości i zdradzie, o strasznym świecie. Jej twarz, chronicznie blada z braku przebywania na słońcu i z powodu ścisłej diety, nie była twarzą śpiewaczki. Wciąż kołysząc dziecko, wyjrzała przez okno na gruntową drogę, która wiała się wśród drzew sosnowych i znikwała z widoku za wzgórzem. Wysoko na niebie, w ciszy, szybowoła kilka bocianów. Zakonnica opuszkami palców dotknęła czoła chłopca i znowu powolnym krokiem zaczęła przemierzać pokój. Drewniane deski podłogowe skrzypiały pod jej stopami.

Nigdy wcześniej nie przebywała sama w pokoju matki przełożonej i teraz, śpiewając, z ciekawością rozglądała się po pomieszczeniu. Kiedy otworzyła szafę na ubrania, odór kulek naftaliny sprawił, że kichnęła. W środku wisiało tylko

kilka zakurzonych sztuk odzieży i stały buty, które matka przełożona nosiła, kiedy szła do lasu, żeby zbierać drewno. Nagle siostra Teresa zauważyła starą walizkę, w której znalezione zostało dziecko i nie potrafiła się powstrzymać przed zajrzeniem do środka. Wyciągnęła walizkę i, wstrzymawszy oddech, otworzyła ją. Nie natrafiła jednak na żaden sekret. Szybko odstawiła walizkę na miejsce. Na łóżku leżała sterta pościeli pachnącej lawendą. To tutaj właśnie sypiało dziecko. Następnie popatrzyła na portret mężczyzny w mundurze; siostry nie wiedziały o tym mężczyźnie zupełnie nic.

Dziecko otworzyło usta i wydało cichy dźwięk.

- Ciii... - wyszeptała zakonnica. - Zobaczmy, jakie jeszcze sekrety kryje ten niedostępny świat.

Przeszła w inne miejsce, wciąż kołysząc dziecko i nucąc melodię. Pochyliła się nad biurkiem siostry przełożonej i zaczęła czytać rozłożone na nim dokumenty, jednak nie natrafiła na nic interesującego. Leżały na nim jedynie rachunki i listy do kobiet, które zmierzały wstąpić do klasztoru. Otworzyła szufladę i zajrzała do środka. Znalazła pieczętkę z drewnianym trzonkiem, kilka ołówków i nóż do rozcinania kopert. Zamknęła szufladę nieostrożnie, z trzaskiem, który przestraszył dziecko. Natychmiast zaczęło płakać. Siostra Teresa popatrzyła na nie z przerażeniem.

- Przestań, mały aniołku - powiedziała. - Bo wpędzisz nas w kłopoty.

Dziecko jednak nadal płakało.

- Proszę, bądź cicho. Ciii... - wyszeptała i zaczęła śpiewać. Chłopiec jednak wciąż łkał. - Och, Matko Boska - jęknęła zakonnica.

Popatrzyła z nadzieją na drzwi, jednak siostra Carlota nie nadchodziła.

- Bądź dobrym chłopcem i przestań płakać. Albo oboje popadniemy w niełaskę.

Szybkim krokiem chodziła po pokoju, z dzieckiem w ramionach.

- Cicho... Dlaczego płaczesz akurat teraz? Byłeś takim aniołkiem...

Niemowlę ciągle płakało, a jego twarz stawała się czerwona. W jego oczach błyszczały łzy i zakonnica otarła je skrawkiem rękawa swojego habitu.

- No, już dobrze, dobrze.

Kołysała dziecko coraz szybciej, jednocześnie spoglądając na drzwi. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna pójść do siostry Carloty. Tyle że nie mogła zabrać ze sobą dziecka, bo jego płacz bez wątpienia usłyszałaby matka przełożona. Kołysała je już tak nerwowo, że w pewnej chwili poczuła, jak wyslizguje się jej z rąk. Złapała niemowlę w ostatniej chwili, jednak ono przestraszyło się jeszcze bardziej i zaczęło płakać znacznie głośniej.

- Och, ucisz się, proszę - powiedziała. - Dlaczego płaczesz, najśłodszy? - Kołysała go, powtarzając: - Och, och, och.

Podeszła do okna i wskazała palcem na zewnątrz.

- Och, och, och. Popatrz na te małe ptaszki.

Znowu zaśpiewała, starając się brzmieć głośniej niż jego krzyki, i kiedy otworzyły się drzwi, w ogóle tego nie usłyszała.

Za jej plecami rozbrzmiał głos:

- Co się tutaj dzieje?



Siostra Teresa drgnęła i szybko się odwróciła. Wpatrywała się w nią matka przełożona. Obok niej stała siostra Lucia.

- Nie wiem, dlaczego płacze - powiedziała siostra Teresa i oddała dziecko matce przełożonej. - Jeszcze przed chwilą był zupełnie cicho.

Siostra Maria Ines odsunęła materiał, który przykrywał głowę chłopca i zaczęła szukać na niej skaleczeń.

- Powiedz prawdę - zażądała od Teresy.

- Przysięgam, nic mu nie zrobiłam.

Siostra Maria Ines oglądała niemowlę tak długo, dopóki się nie przekonała, że nie ma żadnych ran. Znowu zakryła mu głowę i zapytała:

- Gdzie jest Carlota?

Nie otrzymała odpowiedzi. Trzymając niemowlę w ramionach, pokierowała pracą siostry Lucii, gdy ta przygotowywała dla niego pokarm. Kiedy tylko zaczęła je karmić, płacz dziecka ustał. Otworzyły się drzwi i do pokoju w pośpiechu weszła siostra Carlota. Matka przełożona posłała jej spojrzenie pełne złości.

- Później ogłoszę karę dla was dwóch - powiedziała. - A teraz idźcie stąd, wszystkie.

Trzy zakonnice posłusznie wyszły z pokoju i siostra Maria Ines, z dzieckiem w ramionach, usiadła na łóżku. Zasnęło w jej ramionach. Tymczasem zakonnica zadrezczała się myślą, że coś mogło mu się stać. W jej sercu pojawiła się nieufność. Nie mogła wierzyć, że siostry będą wykonywały jej polecenia, że pomogą jej wychować dziecko, które było jej jedyną nadzieją na wybaczenie ziemskich grzechów i które pojawiło się w czasie, gdy powinna już żegnać się z tym światem. Postanowiła, iż ukarze siostry za

ich nieposłuszeństwo. Obiecała sobie, że już nigdy żadnej z nich nie okaże pobłażliwości i zdecydowała, iż już więcej nie pozwoli siostrze Anie mówić ani o Szatanie, ani o dziecku.

Ułożyła niemowlę na łóżku i usiadła w fotelu, wpatrując się w okno. Wiedziała, że na świecie istnieją ludzie, którzy potrafią ranić dzieci, nawet czyniący im krzywdę ojcowie i matki. W szpitalu misyjnym, w którym pracowała, miała do czynienia nie tylko z przypadkami poparzeń, ran ciętych i złamanych kończyn, ale także ze zjawiskiem dzieciobójstwa. Nowo narodzone dzieci palono po tym, jak ich matka umarła w położu. Zabijano dopiero co urodzone bliźnięta, ponieważ uznawano to za zły omen. Kiedyś spalono małą córeczkę wodza plemiennego w ofierze, która miała przynieść deszcz. Siostra Maria Ines wiedziała, oczywiście, że sama jest winna największej niegodziwości na świecie. W jej rozumieniu gwałtowne zakończenie własnej niechcianej ciąży nie było niczym innym jak morderstwem.

Nie dziwiła ją postawa, jaką okazywała wobec niej siostra Ana. Wiedziała od dnia swej ostatniej dorocznej wizyty u przełożonej generalnej, w stolicy, że Ana jest jej nieprzejednanym wrogiem. Starsza kobieta bardzo dobrze sprawowała swoją funkcję przez pół wieku, a szacunek, jakim darzyły ją zakonnice, zawdzięczała zarówno swoim cnotom, jak i po mistrzowsku opanowanej sztuce uzyskiwania kompromisów. Podczas tej ostatniej wizyty przełożona generalna sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej i zaczęła narzekać na swoje zdrowie.

- Życie traci już wobec mnie cierpliwość, Mario Ines - powiedziała.

- Bardzo mi przykro słyszeć, że źle się czujesz. Co mówią lekarze?

- Właściwie wcale ich nie obchodzę. Jestem już raczej pod jurysdykcją zarządcy cmentarza.

Poprosiła matkę przełożoną, żeby usiadła obok niej, i uważnie słuchała, jak siostra Maria Ines mówi o sprawach klasztoru. W pewnym momencie zadała jednak pytanie, które chciała postawić już od długiego czasu:

- Powiedz mi, masz jakiś problem ze swoimi zakonnicami?

Pytanie zaskoczyło siostrę Marię Ines.

- Nie, raczej nie, matko generalna.

Starsza zakonnica z wysiłkiem podeszła do swojego biurka, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej plik listów. Położyła listy na biurku i dotknęła sterty palcem wskazującym.

- Przeczytałam w nich, że jesteś niekompetentna - powiedziała.

Siostra Maria Ines popatrzyła na listy, nie wstając z krzesła.

- Sądzę, że znasz ich źródło - kontynuowała przełożona generalna. - Informuję cię, że na żaden z nich nie odpowiedziałam. Nie cierpię intryg. Przypomnij mi jeszcze raz, kto to taki, ta siostra Ana? - Kilka słów wystarczyło, żeby sobie skojarzyła. - Ach, tak. Zdaje się, że sprawiała kłopoty już wcześniej, prawda?

- Przybyła do nas z klasztoru Serca Jezusowego - powiedziała siostra Maria Ines. - Jej zdaniem była tam prześladowana.

- Znam sprawę. Informowano mnie swojego czasu, że siostra Ana ma wygórowane ambicje.

-To się nie zmieniło - potwierdziła siostra Maria Ines.

- Granica pomiędzy służeniem Bogu a próbą zajęcia jego miejsca jest dość cienka. Nie bierz sobie do serca zachowań siostry Any. Prawdopodobnie uważa, że modlitwa to zbyt mało. Pragnie zaoferować naszemu Panu praktyczne wsparcie. I wielce wierzy w swoje umiejętności oraz talenty - przełożona generalna westchnęła. - Innowatorka, Panie Boże, taka jak budowniczo wieży Babel.

- Trzeba przyznać, że włada kilkoma językami - powiedziała siostra Maria Ines.

- Chcesz, żebym coś do niej napisała?

- To mogłoby pogorszyć sytuację. Siostra Ana nie stanowi realnego problemu. Uważam, że jej postawa, jako osoby duchownej, jest bez zarzutu. Ach... no i nauczyła nas, jak wykopać studnię artezyjską.

Przełożona generalna schowała listy z powrotem do szuflady.

- Studnię artezyjską? Jak sobie chcesz. Ale na twoim miejscu byłabym bardzo ostrożna.

Kiedy siostra Maria Ines wróciła do klasztoru, nic nie powiedziała siostrze Anie o rozmowie z przełożoną generalną. Zaczęła natomiast uważnie ją obserwować, niepewna co do najbliższych zamiarów zakonnic, a za to przekonana, że nie zaprzestanie zachowań, oddalających ją ze ścieżki wiodącej do Boga.

Dziecko cicho spało na łóżku. Siostra Maria Ines musiała zyskać pewność, że nic złego nigdy mu się nie przytrafi. Wypięła zza paska różaniec i modliła się tak długo, aż się zorientowała, że przegapiła lunch. Wciąż była zła na dwie zakonnice, które nie posłuchały jej wyraźnych poleceń dotyczących dziecka. Nie była głodna i w tej chwili nie miała ochoty nikogo widzieć, nawet przy stole w refektarzu, gdzie

siostry w ogóle ze sobą nie rozmawiały. Przeprosiła Matkę Boską za przerwanie modlitwy i powróciła do niej z zamkniętymi oczyma. Każda kolejna *Zdrowaś Mario* i każde kolejne *Ojcze Nasz* przybliżało ją o kolejny krok do Nieba i dodawało sił. Jednak mimo wielkiego wysiłku, aby się nie zdekoncentrować, wkrótce znowu jej myśli odbiegły od modlitwy. Zaczęła rozmyślać o siostrze Anie i o tym, w jaki sposób ona, siostra Maria Ines, powinna zadziałać, aby raz na zawsze zdławić jej bunt.

Odkrycie zakrwawionego ubrania przekonało siostrę Anę, że klasztor został nawiedzony przez zło. Przerazona, lecz zdeterminowana, aby udaremnić plany Szatana, o swoim znalezisku nikomu nie powiedziała. Była przekonana, że nikomu nie może ufać. Zawsze istniała możliwość, że nie tylko matka przełożona, ale także niektóre spośród pozostałych sióstr, są nawiedzone przez diabła. Rozłożyła zakrwawiony materiał na podłodze i obejrzała go. Pierwotnie założyła, że ma do czynienia z całunem, teraz jednak zorientowała się, iż ma przed sobą zwykłe prześcieradło. Co do tego, że znajdują się na nim krwawe plamy, nie było wątpliwości. Przesunęła po plamach palcem, podejrzewając, że mają one coś wspólnego z rytualną ofiarą składaną ze zwierzęcia. Przeżegnała się i wielokrotnie powtórzyła:

- Boże wszechmogący, Ojczy Pana naszego, Jezusa Chrystusa...

Jej cela znajdowała się na górnym piętrze części mieszkalnej, na samym końcu loggi, z której widoczny był dziedziniec. Żeby się do niej dostać, należało minąć kilka innych cel, których od dawna nikt nie zajmował. Sama ją dla siebie wybrała, poszukując spokoju i ciszy w miejscu,

w którym trudno przecież o jeszcze większy spokój. Na sztaludze przy oknie stał mały obraz, przedstawiający Przemienienie, z niedokończonym Jezusem unoszącym się w powietrzu ponad figurami świętych Piotra, Jakuba i Jana. Na stoliku obok sztalugi leżała paleta oraz mnóstwo pędzli i szpachli do impastu\*; wszystkie były czyste i ułożone według wielkości. Siostra Ana zaczęła malować zaledwie przed kilkoma miesiącami i przygotowywała już swój drugi obraz. Miała nadzieję skończyć ten i dwa inne do końca roku. Tematami wszystkich miały być sceny z życia Jezusa. Najlepsi zamierzała sprezentować biskupowi. Zwinęła zakrwawiony materiał i wsunęła go pod materac, ale po chwili zastanowienia zmieniła zdanie i zamknęła go w pudełku, a to włożyła do szuflady. Poczowała, że jej pewność siebie powraca; przecież miała po swojej stronie Boga.

W ciągu kilku następnych dni przeszukała każdy zakamarek klasztoru, poszukując dowodów, że odbywają się tutaj szatańskie obrzędy. Bardzo przy tym uważała, żeby u nikogo nie wzbudzić podejrzeń. Nie opuściła ani jednej modlitwy, swoje codzienne obowiązki wykonywała ze starannością, jakiej oczekiwała od niej matka przełożona, i nie wypowiedziała już ani jednego słowa protestu w kwestii dziecka. W wolnym czasie brała łopatę i udawała, że wychodzi do ogrodu, ale gdy tylko zyskiwała pewność, że nikt jej nie widzi, wracała pod mury klasztoru i kopała w ziemi blisko miejsca, w którym znalazła zakrwawione

**\* Impast - z włoskiego *impasto* „ugniatam”. Technika stosowana w malarstwie olejnym lub akrylowym (czasami w temperowym). Polega ona na nakładaniu farby grubą, wypukłą warstwą przy pomocy pędzla lub szpachli (przyp. red.).**

prześcieradło. Nie natrafiła jednak na nic nowego i postanowiła przeszukać wszystkie opustoszałe budynki klasztorne.

Pewnego popołudnia pchnęła drzwi i weszła do szkoły dla nowicjuszek. Powietrze w budynku śmierdziało zgnilizną i unosił się w nim kurz, który odbijał światło słoneczne niczym kurtyna z gazy. Ściskając w dłoni różaniec, siostra Ana przeszukała puste pomieszczenia. Bardziej niż Szatana obawiała się przegniłych desek podłogowych, które w każdej chwili mogły się pod nią zapaść. Większość mebli ze szkoły dla nowicjuszek została wyniesiona - na sprzedaż albo w celu wykorzystania w innych pomieszczeniach klasztoru. Te, które jeszcze tu zostały, były zbyt zniszczone, żeby mogły się do czegokolwiek nadawać. Na parterze siostra Ana nie natrafiła na nic podejrzanego. Zapaliła lampę sztormową i przeszukała piwnicę, jednak również tam zupełnie nic nie wzbudziło jej zainteresowania. Wreszcie weszła po schodach do skryptorium, obszernego pokoju z wielkimi oknami, w którym w dawnych czasach zakonnice kopiowały manuskrypty, aby potem pieczołowicie je gromadzić w klasztornej bibliotece. To właśnie tam znalazła coś, co uznała za warte zainteresowania.

W rogu niemożliwie zapuszczonego i brudnego pokoju, pod stertą zrolowanych pergaminów pogryzionych przez szczury, natrafiła na fragment zupełnie niedawno wyczyszczonej podłogi. Zdyszana w wyniku wspinania się po schodach, siostra Ana uklękła i zaczęła w świetle padającym przez okna i bijącym od lampy przyglądać się deskom podłogowym. W wąskich szparach pomiędzy deskami, gdzie nie dotarło włosie szczotki do czyszczenia, zobaczyła ślady krwi. Zadrżała na myśl, że gdzieś pomiędzy pulpitemi a pergaminami porozrzucanymi po całym pomieszczeniu



wciąż może czaić się demon, przywołany w te mury po przeprowadzeniu diabelskiego obrzędu. Pocałowała krzyż na różańcu i pośpiesznie wyszła z budynku. Jesienne słońce unosiło się nad dachami klasztoru, a jego promienie docierały aż pod łukowe sklepienie krużganka, gdzie siostra Ana postanowiła usiąść. Przez chwilę czuła, że misja, której się podjęła, jest dla niej zbyt ciężka. Przecież była tylko zakonnicą w jakimś zapomnianym miejscu na świecie i, chociaż wierzyła, że - jeśli tylko zechce - potrafi osiągnąć w życiu bardzo wiele, zwątpiła, czy będzie w stanie podołać samotnej walce z Szatanem.

Niespodziewanie usłyszała, jak ktoś z bardzo bliska wypowiada jej imię. To była siostra Beatriz.

- Skąd się tutaj wzięłaś? - zapytała siostra Ana.

- Po lunchu opuściłaś nas w wielkim pośpiechu.

- Pracuję nad moim obrazem. Mam jeszcze przy nim wiele do zrobienia.

- Nadal martwisz się dzieckiem?

- Wiesz, co myślę. Czyżbym była jedyną spośród nas, która zachowała zdrowy rozsądek? Niemowlę należy oddać do sierocińca. Nasze śluby wymagają od każdej z nas życia w kontemplacji. Wreszcie, zgodnie z tym, co przysięgałyśmy, niektórym sprawom powinnyśmy się poświęcić bez reszty.

- Sierociniec to nie najlepsze miejsce dla dziecka, przecież wiesz - powiedziała siostra Beatriz. Druga zakonnica wzruszyła ramionami.

- Żyjemy w izolacji. Przypuśćmy, że któregoś dnia dziecko zachoruje. Co wtedy?

- Matka przełożona jest wykwalifikowaną pielęgniarką. Siostra Ana machnęła lekceważąco ręką.

- Zostaw mnie samą - poprosiła.

Nie zaprotestowała jednak, kiedy Beatriz usiadła obok niej. Obie kobiety wpatrzyły się w studnię na dziedzińcu, kaplicę za studnią i wieżę dzwonnicy, ze zwieńczającym ją gniazdem bocianów. Siostra Beatriz powiedziała ostrożnie:

- Widziałam cię wcześniej, jak chodziłaś wokół starych budynków.

- No i co z tego? Lubię spacerować. To mi pomaga przezwycięzać niestrawność.

- Dużo czasu spędziłaś w starej szkole. To dziwne...

- Ostatnio dzieje się tutaj wiele dziwnych rzeczy. Mówiłam o tym, ale żadna z was nie chciała mnie słuchać. - Siostra Ana rozejrzała się dookoła. Na krużganku nie było nikogo, poza nią samą i Beatriz. Pochyliła się ku niej i dodała: - Nie mam wątpliwości, że matkę przełożoną posiadał Szatan.

Rozległo się bicie dzwonu, obwieszczające godzinę dziewiątą. Dwie zakonnice dołączyły do pozostałych, które przechodziły przez dziedziniec w drodze na modlitwę. W kaplicy usiadły daleko od siebie. Dopiero po wielu godzinach, wczesnym wieczorem, siostra Beatriz poszła do celi siostry Any. Ta stała przed sztalugami, pracując nad obrazem, który miał przedstawiać Przemienienie. Beatriz podeszła bliżej.

- Masz talent, siostro. Powinnaś namalować coś na ścianie w refektarzu.

- Masz na myśli fresk? Matka przełożona twierdzi, że wyglądałoby tam wtedy jak na wiejskim odpuscie - odparła Ana.

Wzięła do ręki kolejny pędzel i wróciła do pracy. Malując, była bardzo skoncentrowana. Miała pewną rękę,

a nosem niemal dotykała płótna. Siostra Beatriz stała i patrzyła, tymczasem na dworze robiło się coraz ciemniej. Sowy na dachu zaczęły pohukiwać. Po długim czasie siostra Ana odłożyła paletę i terpentyną wyczyściła pędzle.

- Teraz - powiedziała - coś ci pokażę.

Wyjęła ze skrytki zakrwawione prześcieradło i rozwinęła je na podłodze.

- Matko Boska - wyszeptała siostra Beatriz i przeżegnała się.

- To było zakopane w trudno dostępnym miejscu. Znalazłam przez przypadek.

Siostra Beatriz wskazała palcem na plamy.

- Krew, oczywiście - druga zakonnica potwierdziła jej przypuszczenia. - Bez najmniejszej wątpliwości.

- Myślisz, że ktoś uległ wypadkowi?

- Wypadkowi? Bzdury pleciesz. Dlaczego by to wtedy zakopywał? I to w tak trudno dostępnym miejscu?

- Być może to było wiele lat temu?

- Materiał nie wygląda na stary. Przez lata deszcz i robaki bardzo by go zniszczyły. - Siostra Ana uklękła, żeby lepiej rozprostować prześcieradło na podłodze. - Poza tym, to nie jest jedyny dowód. - Włożyła prześcieradło z powrotem do pudełka i powiedziała Beatriz, na co natrafiła w skrytorium. - Na podłodze prawie w ogóle nie było kurzu. Na pewno wyczyszczono ją bardzo niedawno. Nie mam cienia wątpliwości. Ktoś bardzo dokładnie zeskrobał krew, jednak odrobinę jej zostało w szczelinach między klepkami podłogowymi.

Siostra Beatriz z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Ale dlaczego ktoś miałby to wszystko robić, siostro?

- To był z pewnością jakiś rytuał.

- Rytuał?

- Pewnie poświęcono jakieś zwierzę - powiedziała siostra Ana i dodała cichszym głosem: - uważam, że zginęło któreś z zabłąkanych zwierząt Carloty.

- Uważasz, że to ona za tym stoi?

- Kto, Carlota? Och nie, Carlota jest całkiem niegroźna. Nigdy nie można być pewnym, oczywiście... ale uważam, że jej związek z tym wszystkim jest mało prawdopodobny. Ale nie mogę tego samego powiedzieć o matce przełożonej. Jej zachowanie jest ostatnio wysoce dyskusyjne.

- Ponieważ chce zatrzymać dziecko? Myślisz, że dziecko ma z tym coś wspólnego?

- Naturalnie. Pojawienie się dziecka i przeprowadzenie tego rytuału miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie.

- Uważasz więc, siostrze, że to matka przełożona stoi za pojawieniem się dziecka w klasztorze?

- Zapewne. Nie pytaj mnie, gdzie je znalazła. Nie mam zielonego pojęcia. I nie wiem, co zamierza z nim zrobić. Może planuje wykorzystać je podczas kolejnego tajemniczego obrzędu? Oczywiście, istnieje też o wiele gorsza hipoteza. Może to nie ona sama sprowadziła do nas to dziecko? Może poprosiła o nie w trakcie tego rytuału?

- Kogo poprosiła?

- Szatana, oczywiście.

- Przecież to jest tylko dziecko, siostrze.

- Wygląda jak człowiek, owszem. Ale Szatan jest potężny i potrafi oszukiwać.

- Chyba sama w to nie wierzysz.

- Jeżeli wierzysz w Boga, nie powinnaś wątpić w istnienie zła.

- Chodzi mi o to, że podobne przypadki diabelskich wizyt na tym świecie są bardzo rzadkie - powiedziała siostra Beatriz.  
- A poza tym wątpię, by Szatan ośmielił się wejść do klasztoru. Przecież to jest miejsce, którego strzeże sam Bóg!

- W rzeczy samej - zgodziła się siostra Ana. - Ale czyż nie dlatego kościoły i klasztory są dla Szatana obiektami największego pożądania? Demoralizowanie ludzi, takich jak my, jest dla niego o wiele intratniejszym zajęciem i większym zwycięstwem niż zdemoralizowanie tych, którzy nie poświęcili ciała i dusz samemu Bogu.

- Boże, pomóż nam - westchnęła siostra Beatriz.

- Dookoła może być jeszcze więcej dowodów na obecność Szatana, ale nie zdołałam ich znaleźć - powiedziała siostra Ana. - W każdym razie - dodała i postukała palcem w pudełko, w którym znajdowało się zakrwawione płótno

- to z pewnością wystarczy dla biskupa.

- Dla biskupa?

- Biskupa. Ufam, że podejmie działania. Ale będę potrzebowała twojej pomocy, Beatriz.

- Cóż mogłabym zrobić, siostrze?

- Znowu zaczęłaś jeździć samochodem?

- Matka przełożona mówi, że mam jeździć na zmianę z Lucią.

- Dobrze. Zawieziesz mnie do miasta i obie spotkamy się z jego ekscelencją.

Propozycja nie spodobała się siostrze Beatriz.

- Może najpierw powinniśmy się z nim umówić?

- zauważyła.

- Nie mamy czasu do stracenia. Miejmy nadzieję, że kiedy do niego pojedziemy, będzie akurat w mieście.

- Ale biskup jest bardzo zajęтым człowiekiem. Mógłby nie znaleźć czasu, żeby nas przyjąć.

- Na pewno nas przyjmie - z przekonaniem powiedziała siostra Ana. - Jego ekscelencja jest moim bardzo dobrym przyjacielem.

Zanim się rozstały, chociaż było już bardzo późno, siostra Ana namówiła siostrę Beatriz, aby wspólnie z nią uklękła i pomodliła się do Boga i Maryi Dziewicy o odwagę dla nich obu. Następnie oliwą ze swojej lampki wotywniej posmarowała futryny i ramy okienne. Trochę oliwy dała siostrze Beatriz, usilnie nakłaniając ją, aby uczyniła to samo w swojej celi. Miało to ją chronić przed Szatanem.

Po tercji siostra Carlota i siostra Teresa poszły z wizytą do matki przełożonej i obie przyznały, że popełniły poważny błąd, naruszając jej instrukcje dotyczące opieki nad dzieckiem. Stały na środku pokoju ze zwieszonymi głowami i obie mówiły cichymi głosami, tylko od czasu do czasu zerkając spod welonów na matkę przełożoną. A ona, siedząc za biurkiem, słuchała ich z wyrazem twarzy, który nie dawał żadnej nadziei na łaskawość. Uznała, że pobłażliwość wobec siostry Any okazała się błędem i teraz była gotowa przykładnie ukarać obie siostry. Poprzez kary chciała ostrzec wszystkie siostry, że nie będzie tolerowała braku posłuszeństwa, którego konsekwencje mogłyby się dla niej okazać znacznie poważniejsze, niż którakolwiek z nich przewidywała: mogłaby zostać pozbawiona szansy odpokutowania swoich grzechów w Czyśćcu. Siostra Teresa zaprzeczyła, że uczyniła cokolwiek, co sprawiłoby ból dziecku. Jej jedyny błąd polegał na tym, że nie odgadła, iż chłopczyk płacze dlatego, że jest głodny. Pokajała się i wyraziła szczerą skruchę. Swoje przeprosiny powtarzała bez końca, a siostra Carlota tylko kiwała głową, potwierdzając jej słowa. Wreszcie matka przełożona uniosła rękę.

- Dość Wasz żal jest szczery. Fakty są jednak takie, że przebywałyście tam, gdzie być nie powinnyście, i robiłyście to o co was nikt nie poprosił. - Postukała palcami w blat biurka, intensywnie myśląc. Wreszcie rzuciła pytanie:

- Czy to ty, Tereso, przeszukiwałaś moją szafę?

- Szukałam czegoś, w co mogłabym owinać dziecko. Sądziłam, że płacze z zimna.

- Nie kłam.

- Niezaprzeczalną prawdą jest to, że niemowlęciu nic się nie stało - zauważyła siostra Carlota.

-*Deo gratias* - powiedziała szybko matka przełożona - Poprosiłam tutaj was obie, aby w przyszłości umknąć wszelkiego zła, które mogłoby się przydarzyć dziecku.

Obok jej łóżka, w kołysce, którą zupełnie niedawno wykończyła, leżało zawinięte w koc niemowlę. Siostra Mana Ines popatrzyła na nie wdzięcznym wzrokiem i jeszcze raz powtórzyła w myślach, że poświęci się temu dziecku i Bogu Stanie się kimś jeszcze innym, jeszcze skromniejszym i jeszcze bardziej skruszonym. Wychowa dziecko najlepiej, jak tylko podoła. I na samym końcu swej drogi będzie mogła powiedzieć Bogu, że nie powinien ciążyć na niej ciężar śmiertelnego grzechu młodości. Jednak Jego decyzja nie od niej będzie wtedy zależała.

Odchrząknęła i znów popatrzyła na dwie zakonnice, w milczeniu czekające na jej wyrok. Zagroziwszy im całonocnymi czuwaniem, dodatkowymi całodziennymi pracami, udręką pozbawienia wody do picia, a nawet wydaleniem z klasztoru - groźbami, które zaspokoily jej złość - postanowiła, że obie nie będą mogły przebywać w refektarzu z innymi siostrami w godzinach rekreacji, a natychmiast po zakończeniu wszystkich zajęć codziennie będą



się udawały do swoich cel, aby w samotności pokutować. I tak przez dwa tygodnie. Kobiety posłusznie skinęły głowami. Ale matka przełożona zmierzyła siostrę Teresę spojrzeniem, w którym nadal tkwiło wyraźne niezadowolenie, i dodała:

- Nas klasztor nie jest oberżą, w której się śpiewa popularne piosenki, kiedy tylko komuś przyjdzie na to ochota, lecz miejscem pracy i kontemplacji. Cokolwiek tutaj robimy, w dzień i w nocy, śpiąc czy czuwając, powinno mieć na celu wysławianie imienia Boga.

- Tak, matko - odparła kobieta.

- Jeżeli więc już musisz śpiewać, śpiewaj hymny albo psalmy, rozślawiające naszą wiarę. Nie musisz zaraz zawodzić jak pijani Cyganie.

Powiedziawszy zakonnicom wszystko, co uważała za stosowne, matka przełożona oddaliła je pogardliwym ruchem ręki. Kiedy ponownie została sama, zajęła się swoim codziennym rytuałem wspominania narzeczonego. Dołała oliwy do lampy, która wisiała obok jego portretu, wymieniła wypalony knot i zapaliła. Następnie uklękła i przeżegnała się z taką pobożnością, że ktoś, kto jej nie znał, mógłby uznać, iż wcale nie przywołuje w pamięci wspomnień po kadecie marynarki, ale że modli się do obrazów świętych, otaczających z obu stron jego portret. Przez te wszystkie lata dręczyła ją myśl, że jest odpowiedzialna za jego śmierć, bo to jej pomysłem było przedwczesne przerwanie ciąży. Zaproponowała to niepewnym głosem, drżąc ze strachu, ale też z nadzieją, że odpowie jej słowami, których brakowało jej podczas nocy bezsennych i pełnych gorzkich rozmyślań, z nadzieją, że jego słowa pozwolą im obojgu pokonać problem bez konieczności popełniania grzechu. Jednak jego

pełna ulgi reakcja, kiedy usłyszał jej propozycję, przekonała ją, że właśnie tak należy postąpić, iż jest to jednak jedyne rozwiązanie. Nie wiedziała, co by się stało, gdyby nie ta propozycja. Chociaż najprawdopodobniej wtedy on sam by ją o to poprosił, dzisiaj wołała wierzyć, że jednak nie zażądałby tego od niej i w konsekwencji uważała, że jej wina za to, co się stało, jest znacznie większa niż część przypadająca na niego. Tymczasem to właśnie on zapłacił za ten grzech własnym życiem. Była to zarazem bardzo wyszukana kara dla niej, bo w ten sposób ogromnie cierpiała zarówno z poczuciem winy z powodu własnej decyzji, jak i z powodu jego śmierci.

Zanim pojawiło się dziecko, wierzyła, że jeśli kiedykolwiek uzyska łaskę przebaczenia, stanie się to jedynie na tamtym świecie, pod warunkiem, że na ziemi do samego końca z pokorą będzie służyła Bogu. Nikt nie mógłby powiedzieć, że w swym sumieniu nie była szczerą. Pokutując, podróżowała aż za równik, gdzie wydarzyło się coś, co dało jej szansę odrzucenia dawnego życia i rozpoczęcia go na nowo, jednak z niej nie skorzystała.

Przebywała już w Afryce od dłuższego czasu, kiedy z Europy przyjechał nowy lekarz. Dyrektor szpitala misyjnego przedstawił go siostrze i poprosił, aby zapoznała go z pracą i pomogła w urządzeniu się na miejscu. Siostra Maria Ines, pamiętająca mętlik we własnej głowie, kiedy przybyła na misję, była zadowolona z roli przewodnika dla nowego lekarza. Jego praca w szpitalu była bezcenna, mimo że był zaledwie zwykłym chirurgiem, bez żadnego doświadczenia w medycynie tropikalnej. Siostra Maria Ines robiła wszystko, aby mu pomóc, była jednak tylko pielęgniarką z praktyczną, ogólną wiedzą medyczną.

Prawdziwym szkoleniem dla niego było uważne obserwowanie pracy dyrektora misji medycznej oraz pilne czytanie książek i żurnali, które przysyłano z zagranicy. Później więc to on zaczął nauczać zakonnicę. Była bardzo pojętną uczennicą, dzięki czemu wkrótce wiedziała i potrafiła znacznie więcej niż tego od niej oczekiwano. Ich wzorowa współpraca przynosiła owoce aż do dnia, w którym komar z bagien namorzynowych przyleciał do misji w jednym celu. Chciał tylko przelecieć przez małą dziurkę w moskitierze, pod którą spała siostra Maria Ines, i kobietę ugryźć.

Zachorowała na malarię, jednak nie chciała się do tego przyznać, jakby sama tylko odmowa uznania tego straszego faktu miała ją wyleczyć. Przez kilka dni wypełniała swoje obowiązki, mimo że źle się czuła, aż pewnego dnia zemdląła na oddziale, kiedy podawała pacjentowi lekarstwo. Kilka tygodni spędziła w łóżku, przez cały czas gorączkując. Zanim stan jej zdrowia się poprawił, miewała dreszcze i oblewały ją zimne poty. Dopiero podczas rekonwalescencji ona i lekarz stali się dobrymi przyjaciółmi i zaczęli rozmawiać na tematy inne niż medycyna. Każdego wieczoru po pracy doktor przychodził do siostry Marii Ines i mierzył jej temperaturę, przez stetoskop słuchał szmerów w płucach, badał wątrobę i śledzionę, gdy tymczasem ona siedziała spokojnie z rękami skrzyżowanymi na piersiach i mocno zaciśniętymi oczami. Wreszcie otrzymywała zastrzyk chininy. Po skończonym badaniu doktor z wielkim respektem pomagał jej założyć koszulę nocną, a potem siadał przy otwartym oknie, w dużej odległości od łóżka, i zapalał papierosa. Zakonnica pozostawała na łóżku, nieruchoma jak pień i milcząca. Doktor był zaskoczony jej zażenowaniem,

gdy musiała się przed nim rozbierać do naga, rozumiał jednak jej uczucia i nie czynił nic, aby po badaniu skłonić ją do mówienia albo reagowania na jego obecność w jakikolwiek inny sposób. Sam za to, wypaliwszy papierosa, siadał przy jej łóżku i spokojnie opowiadał, co wydarzyło się na misji przez cały dzień. Skończywszy, zabierał torbę lekarską, mówił „dobranoc” i wychodził, pozostawiając za sobą zapach dymu nikotynowego, który jeszcze przez długi czas unosił się w powietrzu.

Później siostra Maria Ines opowiadała, że to malaria skłoniła ją do powrotu do domu, nie była to jednak cała prawda. Pewnego wieczoru, kiedy czuła się już niemal zupełnie dobrze, przemogła swoje zażenowanie i otworzyła oczy zaraz po skończeniu badania, gdy doktor pomagał jej z powrotem założyć koszulę nocną. Udał, że tego nie zauważa.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała.

- Nie ma za co - odparł i zdjął stetoskop. - Bardzo mi zależy na twoim szybkim wyzdrowieniu, siostró. Bo dopóki ty musisz leżeć w łóżku, ja wykonuję i swoją, i twoją pracę.

- Mimo wszystko dziękuję. Chociaż zapewne byłoby lepiej w ogóle nie ingerować w tę chorobę.

Lekarz roześmiał się.

- Cóż za głupiutka brawura! Przecież wiesz, że gdybym cię nie leczył, mogłabyś umrzeć.

Wiedziała doskonale. Widziała rozwój tej choroby mnóstwo razy, chociażby u pacjentów, którzy zdołali dotrzeć z nią do szpitala. Ale dopiero kiedy sama leżała przykuta do łóżka, miała czas, aby rozważyć, czym naprawdę jest udreka tropikalnej gorączki, i doszła do wniosku, że to jest właśnie

długo oczekiwana przez nią kara za śmiertelny grzech. Próbowała namówić lekarza, żeby jej nie kurował, żeby Bogu pozostawił decyzję o jej dalszym losie. Machała ręką, żeby sobie poszedł, wrywała mu z ręki strzykawkę, owijała się szczelnie prześcieradłami, nie miała jednak siły powiedzieć, dlaczego tak bardzo pragnie się poddać wyłącznie boskiemu wyrokowi. Lekarz interpretował jej zachowanie jako objawy delirium i wciąż ją zapewniał, że nie umrze, nawet jeśli jej samej się zdaje z powodu ogromu cierpienia, że stoi u progu śmierci. Tego wieczoru, kiedy jej życie nie było już zagrożone i gdy odzyskała nawet trochę sił, głośno i wyraźnie powiedziała mu, że chce umrzeć. Doktor wreszcie jej uwierzył.

- Cóż, siostrze, rozumiem - powiedział, mocno wstrząśnięty. - Ale dlaczego pragniesz swej śmierci?

- Mam swoje powody, doktorze.

- Pomyśl o pracy w szpitalu. Czynisz wiele dobrego, przecież wiesz.

- Och, szpital jest bardzo ważny, oczywiście. Ale ja osobiście wcale nie. Zastąpi mnie kolejna siostra i będzie równie dobra, o ile nie lepsza.

- Czy to nie jest grzech? - zapytał lekarz. - Czyż nie jest grzechem pragnienie własnej śmierci?

- Nie jest, jeśli tego samego chce Bóg.

- Bóg? Z tego, co wiem, Bóg nigdy nie chce niczyjej śmierci - lekarz podrapał się po głowie. - A może oboje wierzymy w różnych bogów?

Zakonnica zmarszczyła czoło.

- A w jakiego Boga pan wierzy, doktorze?

- W Hipokratesa. Tego, który ocalił twoje życie.

-Wybaczam panu brak wiary - powiedziała siostra Maria Ines - tak długo, jak długo nie zamieni się on w cynizm. A teraz jestem gotowa wrócić do moich obowiązków.

Wstała z łóżka, w białej koszuli nocnej zakrywającej ciało od szyi po kostki, i podeszła do szafy, w której wisiał jej habit. Lekarz podążył za nią spojrzeniem i po chwili odezwał się poważnym głosem:

- Nie zakładaj tego.

- Niech pan się nie martwi, doktorze. Czuję się już doskonale.

- Wiem. Ale mimo wszystko nie zakładaj habitu.

- Uważa pan, że moje życie wciąż jest zagrożone? - zapytała zakonnica.

- Ani trochę. Po prostu wątpię, czy powinnaś wypełniać swoje obowiązki w tym stroju.

- W moim habicie? Chce pan powiedzieć, że powinnam przestać służyć Bogu?

- Jest wiele innych sposobów służenia mu.

- Naturalnie... Ale ja już jeden z nich wybrałam.

- Jeśli ubierzesz prosty fartuch pielęgniarstwa, Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Niech się panu ani przez chwilę nie zdaje, że Go rozumie.

Lekarz zrobił krok w jej kierunku.

- Chodzi mi o małżeństwo - powiedział.

- Cóż, to nie jest możliwe.

- Dlaczego nie? Instytucja małżeństwa ma błogosławieństwo Kościoła, prawda?

- Niech pan o tym zapomni. Mój habit oznacza, że już jestem zaślubiona. Bogu.

Lekarz ujął jej dłoń w swoją.

- Och, zatem rozwiedź się ze staruszką. Wyrwała dłoń z jego uścisku i uderzyła go w twarz

z całą siłą, jaka pozostała w niej po długiej chorobie. Doktor potarł policzek.

- Cóż - powiedział. - Przynajmniej mamy teraz pewność, że jesteś zdrowa. W rzeczy samej, siostrze, jesteś w lepszej kondycji niż się spodziewałem. Chyba powinienem był ci się oświadczyć, kiedy tkwiłaś w delirium. Wtedy prawie nie byłaś w stanie podnieść ręki.

- Moje usta udzieliłyby panu tej samej odpowiedzi.

- Kto wie? Czasami malaria wpływa na umysł.

Z uporem, który pokonał jego pewność siebie, dowiodła mu, że nie mogą już dłużej żyć w przyjaźni, ani nawet nie mogą razem pracować, ponieważ nie potrafiła już więcej patrzeć na niego, mając świadomość, że kiedy ją badał, myślał o innych rzeczach niż stan jej zdrowia. W takim stanie rzeczy z ciężkim sercem postanowiła opuścić misję, chociaż doktor zaproponował, że to on wyjedzie. Po miesiącu była już z powrotem w Europie. Wstąpiła do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej i pograżyła się w bezustannej żałobie, która trwała do dnia, kiedy wzięła w ręce niemowlę-sierotę.

Wieczorami, kiedy to zamykała się w pokoju, jej umysł zawsze wędrował ku przeszłości. A gdy zdmuchnęła świeczkę, płonąca na nocnym stoliku, jej pokój zaczynały wypełniać armie demonów, o których czytała w średniowiecznych księgach w bibliotece: demony przeznaczenia, gobliny, inkuby, znajome duchy, które oferowały jej pomoc, zmiennokształtni, wkradający się do pokoju przez szpary w drzwiach i pragnący ją osiąść. Kilkakrotnie w ciągu roku dostawała drgawek, następnie wysokiej gorączki, aż wreszcie oblewały ją poty, które zbijały temperaturę i osłabiały

do granic utraty świadomości. Można to było uznać za objawy malarii, jednak siostra Maria Ines nie wierzyła, że wciąż cierpi na chorobę, na którą zapadła bardzo dawno temu. Uznała, że uczestniczy w kolejnej bitwie w nigdy niekończącej się wojnie o jej ludzką duszę, jaką toczą anioły i demony.

Teorie siostry Any zaniepokoiły siostrę Beatriz. Opuściła jej celę cała roztrzęsiona opowieściami o satanistycznych obrzędach i ofiarach z krwi. Słuchała tych wynurzeń z przerażeniem, a gdy chciała już powiedzieć, że w ogóle jej nie wierzy, siostra Ana popatrzyła na nią z wielką podejrzliwością. Dlatego siostra Beatriz szybko zapewniła ją, że w walce z matką przełożoną jest absolutnie po jej stronie. Wyszła od Any późno i od razu pogrążyła się w absolutnej ciemności. Posuwała się wzdłuż ściany i liczyła kolejne drzwi wzdłuż logii, dopóki nie trafiła do swojej celi. Zamknęła za sobą drzwi na klucz i, nawet nie ściągnąwszy habitu, rzuciła się na łóżko. Zupełnie niedawno, pewnego popołudnia zobaczyła, jak siostra Ana szuka czegoś na dziedzińcu i jakieś przeczucie nakazało jej ukradkiem pójść za nią poza klasztorne mury. Przeczucie nie zawiodło jej. Zobaczyła, jak wydobywa z ziemi zakrwawiony materiał, który pod murem zaczął wykopywać pies. Śledziła ją także kilka dni później; wstrzymując oddech, ukryta za jedną z kolumn na krużganku, obserwowała, jak siostra Ana wchodzi do zdewastowanej szkoły dla nowicjuszek. Bardzo chciała się dowiedzieć, na co natrafiła tam starsza zakonnica, jednak



była zupełnie nieprzygotowana na niewiarygodne teorie, które od niej usłyszała.

Pozostała w łóżku przez całą noc, jednak ani na moment nie zdołała zasnąć. Nie potrafiła usunąć z umysłu myśli o tym, co przed chwilą usłyszała. Cisza zamieniała każdy odgłos w złowrogi hałas: skrzypienie desek podłogowych, uderzenie wiatru o szyby, pohukiwania sów. Złowieszcza myśl sprawiła, że zadrżała całym ciałem - *może Szatan naprawdę przebywa już na terenie klasztoru i nie odejdzie, dopóki nie zniszczy wszystkich jego mieszkańców? Może nie zjawił się tutaj przywołany mrocznymi obrzędami, jak wyobrażała sobie siostra Ana, ale pojawieniem się niewinnego dziecka?* Powoli zaczynała rozumieć, w jaki sposób wszystko mogło się wydarzyć. Zawsze uważała matkę przełożoną za wrażliwą kobietę i szlachetną przywódczynię, jednak nie potrafiła wyjaśnić sobie motywów, które nią kierowały od chwili odnalezienia niemowlęcia. Matka przełożona nie chciała po prostu go zatrzymać, posunęła się o wiele dalej: zachowywała się tak, jakby to było jej własne dziecko i kwestionowała lojalność tych zakonnic, które - poza siostrą Aną - usiłowały jej pomagać.

Kiedy w środku nocy zabrzmiał dzwon, siostra Beatriz zapaliła lampkę i pobiegła na nokturny. Matka przełożona poprowadziła modlitwę z dzieckiem na ramionach, ponieważ nikomu nie ufała, z nikim nie chciała zostawiać chłopca. Podobnie zachowała się także o świcie i w czasie prymy, dlatego siostra Beatriz postanowiła porozmawiać z nią i skłonić do zmiany postępowania. Poszła do niej do pokoju. Siostra Maria Ines siedziała przy oknie i wystawiała twarz na działanie słońca. Po nocy, w czasie której próbowała jednocześnie wykonywać obowiązki religijne

i opiekować się dzieckiem, była zmęczona i melancholijna. Wykonała nieznaczny zapraszający gest, dlatego młoda zakonnica podeszła do niej i skłoniła głowę.

- Przyszłam, aby ci zaoferować moją pomoc, matko przełożona - powiedziała.

Matka przełożona popatrzyła na nią, jakby jeszcze nie do końca wyrwana z sennego letargu.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała. - Ale panuję nad sytuacją.

Kołyska stała w rogu pokoju. Siostra Beatriz podeszła do niej i popatrzyła na śpiące dziecko. Matka przełożona zamknęła oczy i oparła czoło o szybę. Kiedy młoda zakonnica odwróciła się i na nią spojrzała, odezwała się:

- Matko, sprawiasz wrażenie bardzo zmęczonej. Matka przełożona znowu otworzyła oczy.

- Czuję się doskonale.

- Pozwól, że pomogę ci przy dziecku.

- Nie. Sama będę się nim opiekowała.

Zakonnica popatrzyła przełożonej prosto w oczy. Biały habit siostry Marii Ines lśnił w słońcu, jednak czarny welon cieniem przesłaniał jej twarz.

- Ale, matko...

- Bądź cicho. Dziecko śpi.

Przez chwilę obie kobiety milczały. Niespodziewanie ciszę przerwała matka przełożona:

- Pewnie myślisz, że zwariowałam, Beatriz... Ale ja to wszystko starannie przemyślałam. Matka Boska nie poczęła Jezusa Chrystusa w normalny sposób. A przecież jest jego matką, prawda? Bóg powierzył jej swojego syna. W taki sam sposób przyjął odpowiedzialność za tę sierotkę, z wielką pokorą. - Przeżegnała się i dodała: - pojawienie się tego

dziecka jest aktem boskiej opatrności, Beatriz. Nie zamierzam ci wyjaśniać, dlaczego tak uważam, bo jest to sprawa pomiędzy Bogiem a mną. Ale zawierz moim słowom, nie mam co do tego cienia wątpliwości.

Siostra Maria Ines umilkła i zaczęła nasłuchiwać oddechu dziecka. Spało, owinięte w koc, a dookoła niego wisiały amulety, które zakonnice zawiesiły, aby go chronić przed wszelką krzywdą. Żaden amulet nie mógł jednak ochronić matki przełożonej przed halucynacjami, kiedy lodowaty wiatr potrząsający koronami sosen, które rosły na wzgórzu, otworzył okna w jej pokoju i oznajmił koniec świata. Podczas krótkiego snu ostatniej nocy siostra Maria Ines doświadczyła jednego z tak dobrze sobie znanych koszmarów. Słyszała docierające z bardzo daleka zawrozczenie złych duchów, lamentsy pustelników, nad którymi zwyciężył grzech, monotonne pieśni z sabatu czarownic, na którym słudzy Szatana tańczyli nago, deptając krzyż, jedząc mięso małych dzieci i przyjmując w czasie obrzędu imię Lucyfera. Leżąc pod cienkim kocem i drżąc ze strachu oraz zimna, siostra Maria Ines rozpoczęła odmawiać ze łzami w oczach długą modlitwę do Maryi Dziewicy. Skończyła ją dopiero wtedy, gdy nadejście świtu uwolniło ją od niewyobrażalnej męki.

- Wielebna matko, muszę z tobą porozmawiać o bardzo ważnej sprawie - powiedziała siostra Beatriz.

Dla nikogo nie była tajemnicą wiara matki przełożonej w to, że młoda Beatriz przejmie odpowiedzialność za klasztor po jej odejściu. Obie często odbywały wspólne, długie spacerunki i dyskutowały nie o teologii, ale o praktycznych aspektach zarządzania klasztorem. Z biegiem czasu siostra Maria Ines coraz bardziej podziwiała zdrowy rozsądek

młodej kobiety i jej bezpretensjonalny sposób bycia, w którym nie sposób było zauważyć ani śladu zarozumialstwa. Nigdy nie pytała Beatriz o jej życie zanim wstąpiła do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, na przykład gdzie się urodziła ani jak się nazywała; poprosiła ją tylko, aby wybrała dla siebie imię, pod którym chce być znana jako zakonnica. Młoda kobieta wzruszyła wtedy ramionami i to siostra Maria Ines dokonała za nią wyboru.

- Musisz być ostrożna, matko.

- Masz na myśli, oczywiście, siostrę Anę?

- Uważa, że posiadał cię Szatan.

- Ach tak, Szatan. Nie zwracaj na nią uwagi, Beatriz. Jej postawę kształtują nie złość, lecz niespełnione ambicje. Chyba powinnam zasugerować, żeby przeniesiono ją do innego klasztoru.

Młoda zakonnica usiadła obok przełożonej, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale nagle straciła całą odwagę.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to - odezwała się matka przełożona.

Siostra Beatriz opowiedziała matce przełożonej, że siostra Ana chce poprosić biskupa o interwencję. Nie powiedziała jej jednak nic o zakrwawionym prześcieradle ani o dowodach na dziwne praktyki, które odbywały się w szkole dla nowicjuszek.

- Jej celem jest podważenie zaufania jego ekscelencji do ciebie i doprowadzenie do oddania dziecka do sierocińca - powiedziała. - Uważam, że powinnaś ją ukarać, matko. W przeciwnym wypadku żadna z nas nie przewidzi, jakie z tego wszystkiego będą konsekwencje dla dziecka.

Matka przełożona okazała swoją pogardę dla siostry Any prostym uśmiechem.

- Nie mogę jej ukarać - powiedziała. - Nie mieszkamy w więzieniu. Wszystkim zakonnicom wolno robić to, na co mają ochotę, jeśli tylko nie łamią reguł zakonu. - Urwała na chwilę i popatrzyła na kołyskę, żeby sprawdzić, czy dziecko przypadkiem się nie obudziło. Zaraz jednak kontynuowała: - Nie wątpię, że jego ekscelencja przejrzy to szaleństwo, ale Ana wcześniej zdoła wywołać skandal, który w konsekwencji zagroziłby nam wszystkim. A na to pozwolić nie mogę. Nie chcę, żebyście z Lucią wozili ją do miasta. Powiedz jej, że takie wam wydałam instrukcje.

Siostra Beatriz skinęła głową.

- Było moim obowiązkiem poinformowanie cię o wszystkim, wielebna matko.

- Postąpiłaś właściwie, Beatriz. Doceniam twoje oddanie.

- Problem można by rozwiązać raz na zawsze, odsyłając stąd siostrę Anę.

- Aby to uczynić, musiałabym przeprowadzić formalne dochodzenie. Musiałabym napisać do przełożonej generalnej, która zaprosiłaby wówczas Anę i mnie do stolicy, abyśmy w jej obecności zaprezentowały swe stanowiska. Ty i inne siostry pewnie także musiałybyście złożyć świadectwo. Byłoby to bardzo nieprzyjemne. Wolę mieć nadzieję, że prędzej czy później Ana odejdzie stąd dobrowolnie.

- Zagrożone może być życie dziecka.

Siostra Maria Ines posłała młodej zakonnicy surowe spojrzenie.

- Skąd to przypuszczenie?

- Ona może być opętana, mimo że nie zdaje sobie z tego sprawy - powiedziała siostra Beatriz. - Chodzi po klasztorze i opowiada o demonach.

Dodała, że jej zdaniem siostra Ana nie zawaha się absolutnie przed niczym, jeśli będzie uważała, że taka jest wola Boga. Przecież wątpi, czy dziecko jest ludzkiego pochodzenia, a zatem mogłaby zrobić coś, żeby uwolnić klasztor od złego.

Siostra Maria Ines słuchała jej słów, wydymając wargi.

- Może ona chce porwać to dziecko? Wiesz»coś więcej?

- Tylko zgaduję. Takie wrażenia odniosłam po rozmowie z nią.

- Więc nadal staraj się rozmawiać z siostrą Aną. Przekazuj mi wszystko, co tylko ona powie.

Beatriz obiecała, że tak będzie postępować. Ale po chwili zapytała:

- Pozwolisz mi razem z tobą opiekować się dzieckiem?

Obie zakonnice wyglądały bardzo podobnie w białych

habitach i czarnych welonach, z czarnymi różańcami przypiętymi do pasków. Dziecko drgnęło we śnie i kołyska nieznacznie się poruszyła. Siostra Maria Ines popatrzyła na nie z troską. Całe życie poświęciła miłości, jednak o wiele łatwiej jest kochać cały świat niż jedną ludzką istotę. Ta druga miłość w gruncie rzeczy była zakonnicom zabroniona. Śluby czystości wykluczały nawet miłość platoniczną.

- Dobrze - powiedziała. - Będiesz odpowiadała za przygotowywanie mu mleka. Pokażę ci, jak to robić. Będziesz musiała bardzo starannie trzymać się moich instrukcji. Wszystkie naczynia muszą być czyste. Higiena jest bardzo ważna. Bakterie, które nie mają wpływu na funkcjonowanie żołądków osób dorosłych, bardzo poważnie mogą zagrozić zdrowiu niemowlaka.

- Ile razy dziennie trzeba go karmić?

- Na razie tylko ja będę karmiła dziecko. Ty będziesz mi jedynie pomagać. Będziesz mogła też prać jego ubranka i pościel. Sama będę je przebierała i myła, chyba że w czasie na to przeznaczonym będę musiała wykonywać inne obowiązki.

- Pozwól mi chodzić z nim na spacer. Niemowlę potrzebuje słońca. Poza tym, w klasztorze czuć pleśnią, a to nie wpłynie dobrze na jego płuca.

- Ale zawsze starannie okrywaj chłopca kocem. Musisz być bardzo ostrożna, żeby się nie przeziębził.

W tym momencie dziecko obudziło się i matka przełożona podeszła, żeby je podnieść z kołyski. Wróciła z nim przed okno, tuląc w ramionach. Młoda zakonnica dotknęła opuszkami palców jego czoła.

- To jest mój prywatny cud, Beatriz - powiedziała matka przełożona. - Jeśli można tak powiedzieć. Nigdy nie należy wątpić w boską dobroć.

Dzwon zaczął zwoływać na drugą modlitwę poranną, ale zajęte dzieckiem dwie kobiety przez chwilę nawet się nie ruszyły. Młodsza zareagowała pierwsza i zwróciła na dzwon uwagę matki przełożonej, która, wciąż trzymając dziecko w ramionach, niechętnie poszła za nią do kaplicy.

Kara dla dwóch zakonnice prawdopodobnie nie była aż tak sroga, jak być mogła, jeśli wziąć pod uwagę furję siostry Marii Ines. Tym niemniej sama w sobie była niesprawiedliwa i bolesna. To wystarczyło, by nastrój w klasztorze uległ zmianie. Wszystkie zakonnice nadal pilnie wykonywały swoje obowiązki. Co trzy godziny przerywały prace, żeby pomodlić się w kaplicy. Jadały w refektarzu, jednak nad wszystkimi ich zachowaniami zaległ jakby cień i straciły tę radosną energię, która jeszcze niedawno towarzyszyła ich poczynaniom. Matka przełożona zauważyła to i pomyślała, że potraktowała dwie zakonnice trochę za surowo, jednak przed nimi nie ujawniła swoich wątpliwości. No i ani nie zmniejszyła kary, ani jej nie złagodziła. Miała tylko nadzieję, że incydent zostanie wkrótce zapomniany. Po kilku dniach sprawy rzeczywiście zaczynały znowu się toczyć normalnie, ale wtedy wydarzyło się coś, co zniszczyło wszelką nadzieję na pokój pomiędzy nią a siostrami.

Pozostawiła dziecko pod opieką Beatriz i poszła na południową modlitwę. Kiedy wróciła do swojego pokoju, z zadowoleniem zobaczyła, że młoda zakonnica także klęczy i modli się, z dzieckiem na ramieniu i z opuszczoną



głową. Siostra Maria Ines nalegała, by jej asystentka nie rezygnowała ze swych powinności religijnych, kiedy opiekuje się dzieckiem, i nakazała, aby modliła się głośno wszędzie tam, gdzie potrafi się skupić na modlitwie równie mocno jak w kaplicy. Teraz stanęła w drzwiach i czekała do czasu, aż młoda zakonnica dokończy modlitwę. Kiedy siostra Beatriz przeżegnała się i wstała, z dzieckiem na rękach, matka przełożona zamknęła drzwi. Młoda kobieta drgnęła.

- Jestem bardzo z ciebie zadowolona, Beatriz - powiedziała matka przełożona. - Twoja pomoc przy dziecku jest dla mnie bardzo ważna, ale cieszę się, że twoja nieobecność na modlitwach w kaplicy nie zamieniła cię w poganę.

- Cieszę się, że jestem pomocna, wielbna matko.

- Wierzę, że pewnego dnia zapłacę ci za twoją dobroć i rozum.

Matka przełożona wyciągnęła ręce po dziecko i młoda zakonnica posłusznie je oddała. Siostra Maria Ines powiedziała jej, na którą godzinę przygotować dla niego posiłek. Zakonnica przytaknęła i wyszła z pokoju. W ostatnich dniach matka przełożona bardzo odczuwała spadki temperatury. Zbliżała się jesień i wkrótce pogoda miała się bardzo zmienić. Należało pomyśleć o ociepleniu pomieszczenia. Zimy w klasztorze były bardzo chłodne. W przeszłości zakonnice witały je ze skruchą pokutnic, teraz jednak siostra Maria Ines musiała myśleć mniej o swojej duszy, a więcej o dziecku. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej pudełko, w którym trzymała oszczędności. Policzyła pieniądze i postanowiła poprosić siostrę Beatriz, aby przy okazji następnej wyprawy do miasta kupiła dla niej mały piecyk.

Szczelniej okryła chłopca kocem i wyszła z nim na krótki spacer przed zbliżającą się porą karmienia. Na zewnątrz nie było nikogo; siostry zgromadziły się w refektarzu i cięły opłatki na sprzedaż. Siostra Maria Ines przeszła przez dziedziniec, tak uważnie się rozglądając, jakby znalazła się tutaj pierwszy raz w życiu. Fascynowała ją dzwonnica, kominy, gargulce na dachach zabudowań, gniazda bocianów, twarze świętych na posągach zdobiących krużganek, nawet mech na kamieniach i farba odpadająca ze starych drzwi. Dla niej widoczne znaki popadania klasztoru w ruinę nie były prostymi dowodami przemijania, ale baśniowymi objawami nieskończonych wyrzutów sumienia, których początków należałoby szukać w upadku pierwszego człowieka.

Jej spojrzenie powędrowało ku bocianowi unoszącemu się znad gniazda; obserwowała, jak odlatuje w siną dal. Potrzebował do tego zaledwie kilku machnięć skrzydłami. Bociany wkrótce odlecą do Afryki. W średniowiecznym bestiariuszu, który znalazła w bibliotece klasztornej, przeczytała, że jeśli gniazdo bociana zacznie się palić, ptak raczej w nim spłonie, niż pozostawi je swojemu losowi. Nie wątpiła, że to prawda, i często zastanawiała się, czy ona sama miałaby dość odwagi, by w krytycznej sytuacji zachować się tak samo, jak ten bocian. Pragnęła rozwiać tę wątpliwość jednoznacznym stwierdzeniem, że tak, że wystarczyłoby jej tej odwagi. Jednak wybór, jakiego dokonała za młodu i który od tego czasu jak cień tkwił w jej świadomości, nie pozwalał jej mieć pewności, że jest zdolna do tak wielkiego osobistego poświęcenia.

Podeszła do drzwi refektarza. Uchyliła je tylko troszeczkę i patrzyła na pracujące zakonnice. Nie mogła usłyszeć, o czym rozmawiają. Zamknęła drzwi i ruszyła dalej. Nagle

wpadła na pewien pomysł. Weszła po schodach i loggią skierowała się ku dormitorium. W drzwiach do celi zakonnice nie było zamków - tradycja ta sięgała samych początków klasztoru, kiedy to surowa matka przełożona zwykła składać im niezapowiedziane wizyty w środku nocy, aby się przekonać, że jej podopieczne w żaden sposób nie sprzeniewierzają się swoim ślubom. Przekonana, że teraz siostry są zajęte w refektarzu i że drewniana podłoga loggii ostrzeże ją skrzypieniem, gdyby ktoś niespodziewanie nadchodził, siostra Maria Ines weszła do celi siostry Any.

Nigdy nie szpiegowała sióstr, teraz jednak była przekonana, że musi złamać tę zasadę, ponieważ prawda może być kwestią życia i śmierci. Z dzieckiem w ramionach zaczęła chodzić po celi. W pomieszczeniu unosił się silny zapach terpentyny i odniosła wrażenie, że od bardzo dawna nie otwierano tu okien. Zobaczyła rozwieszony na sztaludze niedokończony obraz. Na stole pośrodku pokoju dostrzegła pędzle i szpachelki, wielką paletę malarską, kilka słoików z barwnikami, tłuczek oraz moździerz. Nie miała pojęcia, co właściwie chce znaleźć - może jakiś pamiętnik, w którym siostra Ana zapisywałaby swe wspomnienia i przebiegłe plany? Taki pamiętnik wystarczyłby do wyrzucenia jej z klasztoru, ale nie miała wątpliwości, że jej oponentka jest zbyt inteligentna, żeby pozostawiać po sobie takie ślady. W końcu jedynym przedmiotem, który wzbudził uwagę siostry Marii Ines, okazał się gramofon. Zajrzała do tuby, lekko pchnęła talerz i szybko przejrzała płyty z lekcjami języków obcych. Na jednej z okładek przeczytała: *...najbardziej naturalna droga nauczania się języka, podobna do nauki języka twojej matki, którą przechodziłaś jako dziecko.* Było to bardzo stanowcze stwierdzenie, wydrukowane grubymi,

czarnymi literami. Czytała dalej: *Rezultaty uczenia się tą metodą są zaskakujące. Przy pomocy tego nieustrudzonego nauczyciela, szybko i łatwo dojdiesz do mistrzostwa...* Siostra Maria Ines pamiętała z dziecięcych lat swego ojca, jak przy pomocy fonografu Edisona odsłuchiwał głosy z woskowych cylindrów. Płaskie płyty stały się popularne dopiero wtedy, gdy ona już od wielu lat była zakonnicą. Odłożyła teraz płyty na miejsce i wróciła na loggię.

Nie znalazła żadnej odpowiedzi na nurtujące ją pytanie, jakie plany ma siostra Ana. *vi może, rozmyślała, pomimo poważnych obaw siostry Beatryz, siostra Ana niczego złego nie planuje? Może tylko nosi w sobie nienawiść, która pewnego dnia i tak się wypali?* Siostra Maria Ines znowu przysięgła sobie, że zrobi wszystko, aby chronić dziecko. Po niebie płynęły postrzępione chmury, czyniąc powietrze chłodnym i blokując nieliczne tylko promienie słoneczne. Zakonnica poczuła, że powinna poprosić Boga o przebaczenie za tak surowe potraktowanie siostry Carloty i siostry Teresy. Weszła do kaplicy, do której wpadało teraz bardzo niewiele światła dziennego. W jej wnętrzu wyłowiła spojrzeniem tylko kilka przedmiotów: krucyfiks, duże świeczniki i skromny ołtarz. Siostry celebrowały mszę świętą w każdą niedzielę wbrew regule, w myśl której jedynie wyświęcony kapłan może udzielać sakramentów. Biskup, który był w stanie odwiedzać klasztor tylko w jedną niedzielę każdego miesiąca, przymykał oko na oczywisty fakt, że pod jego nieobecność to matka przełożona konsekrowała hostię. Przyrzekła mu, że nie będzie tego robić, jednak za każdym razem, gdy msza odbywała się pod jego nieobecność, łamała to przyrzeczenie, przekonana że o wiele ważniejsze jest to, by zakonnice przyjmowały ciało Chrystusa niż przestrzeganie zasady,

co do której nie była pewna, czy ma w ogóle jakieś podstawy w Piśmie Świętym. Pod ścianą ustawiono konfesjonał. Omiotła go tylko przelotnym spojrzeniem, uzmysławiając sobie jednocześnie, że będzie musiała bardzo starannie dobierać słowa, kiedy pod koniec miesiąca, w czasie odwiedzin biskupa, zacznie eminenncji opowiadać o dziecku. Następnie uklękła przed tabernakulum i skłoniła głowę w cichej modlitwie, wciąż z chłopcem na rękach i z zamkniętymi oczyma.

- Boże - zaczęła. - Postąpiłam źle. Byłam okrutna wobec Carloty i Teresy. Proszę, wybacz mi. Pragnę jedynie realizować twoją wolę i ocalić dziecko, które poza mną nie ma nikogo na tym świecie. Tylko ty wiesz, jak ono jest dla mnie ważne... Bardzo chciałabym wyjaśnić to wszystkim siostrom, jednak nie wolno mi i dlatego potrzebuję twojej pomocy. Gdyby wydalono mnie z zakonu, byłoby to bardzo trudne także dla dziecka.

Poczuła, jak rośnie w niej determinacja, otworzyła oczy. Delikatnie położyła niemowlę na podłodze i kontynuowała:

- Muszę być silna dla tego dziecka i ocalić je przed złem. Są ludzie, którzy mogliby je zranić, nawet nie wiedząc, co czynią. - Chłopiec wpatrywał się teraz w Marię Ines. - Obiecuję ci, że od teraz będę sprawiedliwa i uczciwa. Ale muszę pozostać silna. Och Boże, dodaj mi siły i mądrości...

Modliła się jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym przeżegnała się, podniosła dziecko z podłogi i wstała.

Kiedy wyszła z kaplicy, na klasztorным dziedzińcu nie było nikogo. Popatrzyła na zegar na wieży. Miała jeszcze trochę czasu, zanim siostra Beatriz przyniesie do jej pokoju mleko dla chłopca. Modlitwa sprawiła, że poczuła w sobie więcej nadziei i szczęścia. Ostrożnie, z dzieckiem na rękach,

zaczęła schodzić po schodach wiodących z kaplicy na dziedziniec. W cieniu krużganka wylegiwał się jeden z zabłąkanych psów siostry Carloty. Kiedy Maria Ines zeszła ze schodów, pies wstał i zaczął biec w jej kierunku. Popatrzyła na niego, potem na dziecko. Pośpiesznie, jeszcze mocniej otuliła je kocem i z miłością przytuliła do siebie. Kiedy pies się zbliżył, zaczął warczeć.

- Odejdź - powiedziała do niego. - Odejdź stąd

Pies jednak nadal na nią warczał. Siostra Maria Ines mocniej przycisnęła do siebie dziecko i spróbowała kopnąć psa. Nie trafiła, pies głośno zaszczekał.

- Odejdź! - krzyknęła i wymierzyła kilka kopniaków w jego kierunku. Pies uniknął kopniaków i na moment chwycił ją zębami za kostkę. Zdołała cofnąć nogę, jednak pies urwał fragment jej habitu.

Utkwiła spojrzenie w zwierzęciu i wolną ręką zdjęła pasek. Jej różaniec spadł na ziemię, jednak nie zamierzała go podnosić; jedynym obiektem jej troski było dziecko. Zapragnęła wrócić do kaplicy, jednak pies odciął jej drogę, dlatego skierowała się ku studni na środku dziedzińca, powoli wymachując paskiem nad głową. Pies warczał i obnażył kły. Nagle zakonnica wyprowadziła cios paskiem w jego kierunku, jednak pies zdołał go uniknąć i skoczył ku niej. Błyskawicznie powtórzyła cios. Tym razem sprzączka trafiła zwierzę w pysk. Natychmiast wycofało się z piskiem. Siostra Maria Ines wiedziała jednak, że pies wróci, że nie zrezygnuje z powodu jednego ciosu. Popatrzyła za siebie, żeby zobaczyć, jak daleko od niej znajduje się studnia. Idąc bardzo powoli, tyłem, dotarła do jej ścian. Przez długi czas trzymała dziecko w jednej ręce i teraz czuła w mięśniach bolesny ucisk. Jednak ani na chwilę nie poluzniła uchwytu.

Nagle chłopczyk zaczął płakać. Oparła się o studnię, ciężko oddychając, nie odwracając wzroku od psa i zaczęła kołysać dziecko, żeby się uspokoiło.

- Boże, pomóż mi - powiedziała. - O, Boże... Zwierzę znowu ruszyło w jej kierunku, ostrożnie,

obawiając się paska, jednak nie zamierzając rezygnować z ataku. Kątem oka zakonnica zobaczyła, że otwierają się drzwi refektarza. Jedna po drugiej zaczęły przez nie wychodzić zakonnice, jednak zamiast ruszyć jej na pomoc, z przerażeniem obserwowały całą scenę, przystanawszy pod sklepieniem krużganka. Poczula, że dziecko wysuwa się z jej objęć i rękę, w której trzymała pasek, instynktownie skierowała ku maleństwu, żeby przenieść na nią trochę jego ciężaru. Wtedy pies skoczył i ugryzł Marię Ines w kostkę. Poczula jego kły na swojej kości. Dopadłszy celu, pies od razu odskoczył, pozostawiając na skórze kobiety mokrą ślinę. Stał przed nią na czterech łapach, w tej chwili już bardzo rozzuchwalony. Usłyszała krzyk którejś z zakonnice:

- Matko Boska! On zabije ich oboje!

Zgadła, że to krzyczy siostra Beatriz. Miała rację. Beatriz chciała pobiec do matki przełożonej, jednak inne zakonnice ją powstrzymywały. Tymczasem siostra Maria Ines zdołała kilkakrotnie uderzyć paskiem agresywnego psa. Kiedy obity pies w końcu wycofał się z podkulonym ogonem, usłyszała wołanie:

- Carlota, szybko!

Stara zakonnica, która właśnie wyszła z kuchni, z niewiarygodną u niej szybkością przebiegła przez prawie cały dziedziniec i złapała psa za futro na karku.

Na środku dziedzińca siostra Maria Ines stała z płaczącym dzieckiem. Jej ręce drżały, kostka krwawiła, jednak ona

jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. Kiedy zakonnice zaczęły się do niej zbliżać, pogroziła im paskiem i wszystkie pośpiesznie się wycofały. Obserwowały, jak kulejąc schodzi z dziedzińca - z dzieckiem w ramionach, ciężko oddychając. W jednej chwili zrozumiały, że od teraz nie ma już ani na ziemi, ani w niebie żadnej siły, która z powrotem wlałaby dobroć do jej serca.



Przez wszystkie te lata siostra Carlota dała w klasztorze schronienie wielu psom. Niemal za każdym razem, kiedy podróżowała do miasta - a miało to miejsce trzy lub cztery razy w roku - wracała z jakimś zagłodzonym kundlem, na którego natrafiała, gdy bez celu wałęsał się po ulicach. Poruszona jej dobrocią, matka przełożona pozwalała Carlocie opiekować się psami, byle tylko ta opieka nie przeszkadzała starej zakonnicy w wypełnianiu obowiązków. Każde nowo przybyłe do klasztoru zwierzę kąpała w wodzie z mydłem, leczyła jego rany chromkiem rtęci, a świerzb i parchy - wapnem zmieszonym z siarką. Rytuał „przyjęcia” do klasztoru kończyła, zawieszając na szyi psa mały drewniany krzyżyk z wygrawerowanym imieniem. Imiona dla swoich psów zawsze wybierała z Biblii. Traktowane w ten sposób psy były jej bezgranicznie oddane. W jej obecności nigdy nie warczały. Każdy podbiegał do niej, kiedy tylko usłyszał z jej ust swoje imię. Wszystkie chodziły za nią krok w krok, kiedy tylko mogły, nigdy jednak nie wchodziły do kaplicy, bo tego im zakazywała. Sypiały gdzie popadnie na terenie klasztoru - na krużganku, na schodach do kaplicy albo w opuszczonych budynkach; miejsca zależały wyłącznie od pogody.

Siostra Carlota karmiła je wszystkim, co tylko mogła dla nich przeznaczyć z mizernych zapasów klasztoru. Czasami dawała im kości i resztki, które za darmo otrzymywała w mieście. To wszystko im nie wystarczało i każdego poranka wypuszczała je do lasów otaczających klasztor, żeby mogły same zapolować, niczym dzikie zwierzęta.

Przed wielu laty, podczas krótkich wakacji, na które rzadko się decydowała, odwiedziła słynne Cimetière des Chiens niedaleko Paryża, gdzie pomnik psa świętego Bernarda natchnął ją pomysłem, by szkolić psy w taki sposób, aby mogły ratować ludzi zaginionych w dzikich ostępach sierry. Kiedy wróciła do klasztoru, odbyła rozmowę na ten temat z matką przełożoną. Siostra Maria Inès wątpiła, czy bezpańskie psy siostry Carloty zdołają osiągnąć takie same umiejętności, jak szlachetne psy rasy szwajcarskiej. Nie chciała jednak zakonniczki rozczarować i udzieliła jej swojego przyzwolenia na taką działalność. Jak podejrzewała, wysiłki Carloty okazały się daremne. Psy były za stare na naukę i nic nie mogło zmusić ich do rezygnacji z wolności, do której były przyzwyczajone. Siostra Carlota próbowała je dyscyplinować, lecz mimo że bardzo chciały ją zadowolić, nie były w stanie pojąć jej komend, a na próby uczenia ich czegokolwiek reagowały jedynie bezustannym wpatrywaniem się w oczy zakonniczki. Udawała, że będzie je bić, jednak one wyczuwały, że nigdy do czegoś takiego nie dojdzie. Chowiała różne przedmioty i pokazywała im, jak je znajdować, jednak nie miały w sobie instynktu poszukiwaczy i nie zabierały się do szukania, chyba że chodziło o żywność. Wreszcie, wielce rozczarowana, siostra Carlota poddała się i pozwoliła, aby psy beztrąsko robiły wszystko to, co spodoba się Bogu.

W nocy zakonnice często budziło wycie psa, do którego po chwili dołączał kolejny, i jeszcze jeden, i tak dalej, aż w końcu cały klasztor rozbrzmiewał ich zawodzeniem. Wtedy siostra Carlota musiała wstawać z łóżka w ciemnościach i po kolei uciszać każdego psa. Nie było to jej jedynym problemem. Walczyła także z bezustannie pojawiającymi się gdzie popadnie produktami ich jelit. Wypróżniały się w najmniej spodziewanych miejscach. Sprzątała po nich, zdziwiona, jakim cudem produkują tyle kału, skoro przecież tak mało jedzą. I, co gorsza, okazywały wielkie upodobanie do rozmnażania się, gorsząc starą siostrę i każąc jej wątpić w mądrość Noego, który zabrał psy na Arkę. Tym niemniej, mimo ich przywar i okropnych zwyczajów, aż dotąd żaden z nich nie okazał się agresywny wobec człowieka.

Po psim ataku siostra Maria Ines wróciła do swojego pokoju i usiadła z dzieckiem na kolanach, aby je uspokoić. Po chwili dołączyła do niej siostra Beatriz z miską mleka i za nic nie chciała wyjść. W końcu jednak posłuchała polecenia matki przełożonej:

- Idź sobie. I nie martw się. Dziecku nic się nie stało. Jest jedynie przestraszone. To wszystko nie było w końcu aż tak straszne, jak mogło się wydawać.

Jednak kiedy karmiła chłopca, układała w kołysce i kołysała do snu, wciąż drżała ze strachu. W końcu sama usiadła na skraju łóżka i dopiero wtedy zaczęła się uspokajać. Kilka kropel krwi na podłodze znaczyło jej trasę od drzwi, kiedy weszła z dworu. Wzięła do ręki pasek i zapięła go na habicie; dopiero wtedy zauważyła, że brakuje różańca. Nie miała pojęcia, gdzie go zgubiła. Przez chwilę zastanawiała się, czy cały incydent nie świadczył o tym, iż utraciła

wsparcie Boga, jednak obawę tę odrzuciła. Uznała, że Bóg powinien być zadowolony z ocalenia niewinnego życia.

Uniosła rąbek habitu i wprawnym okiem pielęgniarki oceniła rany. Palcami dotknęła schnącej już krwi na skórze. Pies głęboko wbił kły w jej ciało, jednak skaleczenia nie wymagały szycia. Nie martwiła się tym, że prawdopodobnie pozostaną po nich blizny. Przemyśla rany wodą, później zdezynfekowała spirytusem i w końcu owinęła czystym płótnem. Wszystko to uczyniła z kompetencją i absolutnym spokojem kogoś, kto widział już w życiu większe tragedie. Następnie położyła się na łóżku i wypoczywała, dopóki nie usłyszała bicia dzwonu. Była jednak zbyt zmęczona, żeby wyjść z pokoju i po raz pierwszy, odkąd przybyła do tego klasztoru, nie poszła na modlitwę do kaplicy, lecz uknęła i odmówiła *Anioł Pański* przy łóżku. Wieczorem siostra Beatriz, która przyniosła dla niej zupę, zastała ją znowu klęczącą przy łóżku. Matka przełożona dokończyła modlitwę i wstała.

- Dziękuję, ale nie jestem głodna - powiedziała. Siostra Beatriz postawiła talerz na biurku.

- Musisz jeść, matko. Kto wie, co stałoby się dzisiaj z dzieckiem, gdybyś nie była dość silna?

Młoda zakonnica stanęła przy kołysce i spojrzała na śpiące dziecko. Matka przełożona usiadła przy biurku, żeby jednak zjeść zupę.

- Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonana, że beze mnie by zginął - powiedziała.

- Odtąd zawsze będziesz żyła dla niego - odparła siostra Beatriz.

Po chwili wsunęła dłoń w kieszeń i wyciągnęła z niej zakurzony różaniec. Wytarła go o habit i podała przełożonej.

Ta odebrała różaniec obiema rękami, z wielką ulgą przyłożyła go na chwilę do ust i zawiesiła tam, gdzie było jego miejsce, za paskiem. Otrzymała go, kiedy jeszcze była po-stulantką i miała nadzieję, iż zostanie złożona do trumny razem z tym różańcem owiniętym wokół dłoni. Na przestrzeni lat uczestniczyła w kilku pogrzebach, czasami z wysokości ołtarza przewodnicząc ceremonii pogrzebowej, nie odczuwając strachu, za to ze świadomością, że z podniesionym czołem należy oczekiwać początku życia wiecznego. Otwarta trumna na katafalku, martwa zakonnica ubrana w wykrochmalony habit, leżąca z dłońmi ułożonymi na piersiach jak do modlitwy, spopieliała twarz, która jeszcze niedawno emanowała przynajmniej resztkami życia - taki widok wydawał się jej zawsze dowodem na spokój, którym wreszcie może się cieszyć człowiek po zdjęciu z niego ogromnego ciężaru, jakim jest życie doczesne. Teraz, siedząc przy biurku, poczuła zapach płonących świec i przypomniały się jej słowa mszy pogrzebowej: *Requiem aeternam eis, Domine, et luxperpetua luceat eis* - Wieczny odpoczynek racz im dać panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci...

- Co z twoją kostką, wielbna matko? - zapytała Beatriz.

- Pomóż mi zmienić opatrunek.

Matka przełożona pozostawiła na biurku prawie nie-tkniętą zupę i położyła się na łóżku, ruchem ręki wskazując na spirytus, wate i płótno ułożone na stoliku. Młoda siostra zaczęła rozwijać płótno, którym owinięta była kostka matki przełożonej.

- Jedynie przemyj ranę alkoholem. Jeśli okaże się, że potrzebuję leczenia, niezbędna będzie szczepionka. Ale raczej wątpię, czy ten pies miał wściekliznę - powiedziała siostra Maria Ines.

Siostra Beatriz zamoczyła watę w spirytusie i zaczęła przemywać ranę.

- Nic takiego dotąd się tutaj nie wydarzyło - powiedziała. Oczyszczyła ranę dwukrotnie i zaczęła zakładać opatrunek na opuchniętą kostkę. - Siostrze Carlocie jest bardzo przykro. Chce osobiście przyjść do ciebie i cię przeprosić.

-Ale ja nikogo nie chcę widzieć.

Siostra Beatriz skończyła opatrywanie rany i zebrała zużytą watę oraz brudne płótno, aby je wyrzucić. Matka przełożona z powrotem zakryła kostki habitem i ze swojego miejsca na łóżku zerknęła na śpiące dziecko.

- Chciałabym, żebyś jutro z nim została, Beatriz - powiedziała. - Będziesz musiała opuścić poranną modlitwę.

Młoda zakonnica w milczeniu skinęła głową i wyszła, po raz ostatni spojrzawszy na niemowlę. Później przez wiele godzin siostra Maria Ines nie mogła zasnąć. Incydent z psem wzmocnił jej determinację, by chronić dziecko przed wszelkim złem. Kiedy w końcu zapadła w sen - do ostatniej chwili powtarzając uroczyste postanowienie, że nie okaże cienia litości nikomu, człowiekowi czy zwierzęciu, które zechce uczynić mu krzywdę - zaczęła śnić, że nastąpił czas modlitwy i właśnie zmierza do kaplicy. Ale kiedy weszła po schodach i zanurzyła palce w marmurowej kropielnicy tuż przy drzwiach, okazało się, że kropielnica jest pusta. Szybko pobiegła do studni, aby wypełnić wodą wiadro, studnia jednak także okazała się pusta. Kiedy wróciła do kaplicy, tuż za drzwiami natknęła się na Maryję Dziewicę. Siostra Maria Ines przeżegnała się i zapragnęła coś powiedzieć, jednak Matka Boska powstrzymała ją.

- Najpierw musisz oczyścić się ze swoich grzechów - powiedziała.

Zakonnica nie wiedziała, jak zareagować. Nagle Maryja Dziewica zamknęła drzwi do kaplicy i rozpoczęła się modlitwa. Siostra Maria Ines po chwili wyszła...

Obudziła się, kiedy dzwon oznajmiał świt. Wciąż była wstrząśnięta swym snem, jednak od razu podeszła sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko jest w porządku. Następnie umyła twarz i usiadła przy biurku - tak jak zawsze, kiedy miała podjąć trudną decyzję. Przez chwilę wahała się, ale zaraz przypomniał się jej incydent z psem, przerażające chwile, które przeżyła, i od razu pozbyła się wątpliwości, co powinna zrobić. Ktoś zapukał do drzwi. Spodziewała się siostry Beatriz, jednak w drzwiach stanęła siostra Carlota. Matka przełożona popatrzyła na nią zimnym wzrokiem.

- Chciałam z tobą porozmawiać, wielebna matko - odezwała się stara zakonnica. - Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Każę wysterylizować wszystkie psy. To je uspokoi.

- To nie będzie konieczne.

Po raz kolejny rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła siostra Beatriz z mlekiem dla dziecka i laską, ułatwiającą chodzenie, dla matki przełożonej.

- Było moim błędem udostępnienie sanktuarium tym zwierzętom - powiedziała siostra Maria Ines. - Ale nie winię cię za to, sostro. Opiekowałaś się nimi z dobroci serca.

Kiedy tylko stara zakonnica wyszła, matka przełożona usiadła na skraju łóżka i sama zmieniła sobie opatrunek. Rana goiła się dobrze. Gdy skończyła, otworzyła kluczem drzwiczki kredensu, za którymi trzymała truciznę na szczury. Siostra Beatriz obserwowała ją.

- Nakarm dziecko - powiedziała matka przełożona. Zabrała truciznę i laskę. - Niedługo wrócę.

Młoda zakonnica patrzyła za przełożoną, dopóki ta nie znikła za drzwiami.

Pomysł przyszedł Marii Ines do głowy w nocy, a kiedy podjęła decyzję, nikt już nie mógł powstrzymać zakonnicy przed jej realizacją. Opierając się o laskę, zeszła po schodach na dół. Nikt jej nie widział, siostry były zgromadzone w kaplicy. Przeszła krużganek z torebką trucizny pod pachą. Końcówka laski miarowo uderzała o kamienną posadzkę. Resztki dla psów trzymano w spiżarni. Wzięła trochę psiej żywności i zaczęła krążyć po klasztorze, nawołując zwierzęta. Pojawiły się bardzo szybko, przybiegały z różnych miejsc, machając ogonami. Siostra Maria Ines była gotowa w razie ataku użyć laski do obrony, ale psy były równie przyjazne jak zawsze. Nie miała pewności, który z nich wczoraj ją zaatakował, ale to było teraz bez znaczenia. Policzywszy je, aby mieć pewność, że zbiegły się wszystkie, posypała resztki mięsa arsenikiem, starannie uważając, aby nie dotknąć śmiertelnie proszku palcami. Psy wyczuły mięso i otoczyły ją bardzo ciasno.

- Cierpliwości - powiedziała. - Wystarczy dla wszystkich.

Zacząła im rzucać mięso na ziemię, a one wprost rzuciły się na jedzenie. Kiedy wyrzuciła wszystko, usiadła na ławce na krużganku i obserwowała je. Nie miała cienia wątpliwości, że to, co przed chwilą zrobiła, było konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa dziecku.

Trochę później, kiedy modlitwy się zakończyły i zakonnice wyszły z kaplicy, zobaczyły, że wszystkie psy znajdują się na dziedzińcu. Ale ponieważ w kaplicy było ciemno,



a na zewnątrz świeciło ostre słońce, musiało minąć trochę czasu, zanim ich oczy przywykły do światła. Wówczas to kobiety zorientowały się, że psy wcale nie leżą leniwie, korzystając z ostatnich ciepłych promieni - jak początkowo przypuszczały - lecz powoli umierają, w kremowych kałużach swoich własnych wymiocin.

Krzesło stało pod jednym z wysokich okien, a aksamitne zasłony rozsunięto, żeby wpuścić do środka promienie południowego słońca. Fryzjer kilkakrotnie strzepnął biały fartuch i zawiązał jego rzemyki wokół szyi biskupa Estrady. Następnie wyjął z kieszeni na piersi nożyczki, grzebień i powrócił do pracy. Zegar w pomieszczeniu powoli, niespiesznie, niemal melodyjnie, wybił godzinę dwunastą. Biskup popatrzył przez okno i westchnął.

- Czy nie jest przypadkiem ekscelencji za gorąco? - zagadnął fryzjer.

- Nie, jest doskonale, Alfredo. Dziękuję.

- Może podam ekscelencji szklanę wody?

Fryzjer nalał wody z dzbanka, który stał na stoliku, i ukłoniwszy się z szacunkiem, wręczył szklanę swojemu klientowi. Biskup Estrada jedynie z grzeczności wypił łyk i zaraz oddał szklanę.

- Kontynuujmy, Alfredo. Obawiam się, że mam jeszcze dzisiaj bardzo dużo pracy.

W ogromnym pokoju echem zaczęły odbijać się odgłosy pracujących nożyczek. Na marmurową podłogę spadały kolejne kłęby włosów biskupa.

- Włosy ekscelencji mają cudowny kolor - powiedział fryzjer. - Są wprost doskonale srebrne.

- Niepotrzebny eufemizm, Alfredo - odparł biskup. - One są po prostu siwe.

- Za pozwoleniem ekscelencji, nie zgadzam się. I włosy ekscelencji mają bardzo mocne korzenie. Założę się, że od urodzenia ekscelencja nie stracił ani jednego włosa.

- Nie wiem - odparł biskup obojętnym tonem. - Nigdy ich nie liczyłem.

- Och, przecież sprawa jest ewidentna. Bywa, że mężczyźni znacznie młodszy od eminencji cierpią z powodu postępującej łysiny.

- Mówisz o tej przypadłości tak poważnie, jakby chodziło o suchoty, Alfredo.

- Bo to jest zagrożenie dla mojego zawodu, ekscelencjo.

- A więc wszyscy fryzjerzy powinni zacząć funkcjonować tak, jak w dawnych czasach, kiedy byli zarazem chirurgami - stwierdził biskup.

Było jednak prawdą, że jego włosy, mocne i grube jak włosy nastolatka, rzymskie czoło, piękne niebieskie oczy i smukła sylwetka były jedynie drobnym pocieszeniem wobec okropności, jakie przynosi ze sobą starość, a jakie zaczął u siebie zauważać, kiedy skończył pięćdziesiąt lat.

Fryzjer wreszcie pracował w milczeniu, a biskup tymczasem rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu. Jego wielkość i wspaniałość przypominała o absolutnej władzy, sprawowanej przez duchowieństwo dawno temu, w innej epoce. Na ścianach wisiały portrety jego poprzedników, sięgające kilku wieków wstecz, a ponad podwójnymi drzwiami, przez które do ogromnego salonu wpuszczano gości, wisiała jego biskupia tarcza herbowa. Kilka mniejszych drzwi

wiodło do biur jego sekretarzy i pomieszczeń prywatnych, gdzie chronił się przed swoim personelem i chcącymi z nim rozmawiać ludźmi, kiedy miał ochotę być sam. Na środku pomieszczenia, dokładnie naprzeciwko podwójnych drzwi, stało duże lakierowane biurko z drewna dębowego. Leżało na nim mnóstwo papierów, które bezustannie przeszkadzały biskupowi Estradzie w prawdziwym wypełnianiu obowiązków duchowych.

Fryzjer lekko przychylił głowę biskupa, zamierzając przystrzyc bokobrody i odezwał się:

- Zdaje się, że mamy bardzo pogodną jesień, ekscelencjo.

- Też to zauważyłem.

- Przybyła w samą porę. Jutro mamy dzień świętego Michała. Dlaczego tak jest, że rok po roku tego samego dnia zawsze pada deszcz? Uważam to za bardzo ciekawe zjawisko meteorologiczne.

Biskup nie oparł się pokusie poprawienia fryzjera.

- W ubiegłym roku padało tylko w dniu świętego Marcina. Jedenastego listopada.

- Ekscelencja ma nadzwyczajną pamięć.

Biskup usłyszał, jak otwierają się podwójne drzwi i rozpoznał odgłos kroków swego diakona.

- Co się stało, Ignacio? - zapytał, nie odwracając głowy. Diakon, bardzo młody człowiek w czarnym habicie, klasnął dłońmi i odezwał się z nieskazitelną dykcją:

- Ktoś chce się zobaczyć z waszą eminencją.

- Kto taki?

- Ona nie jest umówiona. Mówiłem jej, że spotkanie z ekscelencją bez wczesnego umówienia nie jest możliwe, ale ona nalega. Twierdzi, że przyszła z bardzo ważną sprawą.

- Kobieta?

- Siostra zakonna, ekscelencjo. Z klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej.

Biskup przez chwilę milczał.

- Cóż - mruknął po chwili. - Powiedz jej, żeby poczekała.

Diakon w milczeniu skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Skończyliśmy, Alfredo? - biskup zapytał fryzjera. - Chyba nie budujesz na mojej głowie Wielkiego Muru Chińskiego?

Fryzjer szybko i już bez zbędnych słów dokończył pracę, po czym podał biskupowi lusterko, żeby ten mógł wydać werdykt. Biskup Estrada tylko przelotnie popatrzył na świeżą fryzurę i swoje odbicie.

- Bardzo dobrze, Alfredo. Dziękuję.

Fryzjer skinął głową, ściągnął z biskupa fartuch fryzjerski, po czym strzepnął z czarnej sutanny resztki włosów. Jakby chcąc przeprosić, że go poganiał, biskup zapłacił mu więcej niż zazwyczaj. Fryzjer głęboko się uklonił, zamiótł podłogę i wyszedł, zabierając ze sobą wszystkie narzędzia oraz zmiotkę.

Przez dłuższą chwilę biskup chodził po pokoju, co rusz przypatrując się swojemu niewyraźnemu odbiciu w marmurowej podłodze, dopóki przypadkowa orbita jego przechadzki nie zaprowadziła go pod okno, gdzie przystanął, z rękami założonymi z tyłu. W szesnastym wieku miasto przeżyło okres gospodarczego rozkwitu, dzięki przemysłowi tekstylnemu, skórzanemu i jubilerom. Jednak potem, pod rządami Bourbonów, popadło w ruinę. Na początku dziewiętnastego wieku okupacja francuska i spory ze

zwolennikami Karola, a następnie wojna o niepodległość jeszcze bardziej zubożyły jego gospodarkę. Biskup przyjechał tutaj ze świadomością, że kieruje się do biednego miasta, jednak w ostatnich latach stały wzrost dobrobytu mieszkańców zamienił je w silne centrum handlu z chłonnym rynkiem, ściągającym tłumy także spoza granic diecezji. Stare powozy konne, snujące się powoli po kocich łbach, jakimi były wyłożone ulice, musiały teraz ustępować samochodom napędzanym benzyną, które przejeżdżały i znikwały poza zasięgiem wzroku, zanim zdołało się rzucić za nimi przekleństwo.

Pytanie, dlaczego tak błyskotliwy człowiek, jak biskup Ezequiel Estrada, z rysującą się przed nim wspaniałą przyszłością, wybrał pracę w prowincjonalnej diecezji, pozostawało zagadką dla wszystkich ludzi, którzy go spotykali. Pod wrażeniem jego inteligencji i kompetencji mogli jedynie interpretować wybór tego wspaniałego człowieka w kategoriach pobożności i skromności, rzucającej się w oczy pomimo wspaniałego i drogiego biskupiego pierścienia na jego palcu, mimo pektorału na piersiach i eleganckiej sutanny. Diecezja, na której czele stał, liczyła kilkaset tysięcy wiernych i setki księży, funkcjonowało w niej bardzo dobrze odbierane seminarium oraz wiele monastyrów i klasztorów. Zarządzanie tym wszystkim wymagało od biskupa Estrady mnóstwa czasu i siły. A jednak biskup i tak uważał, że jego najważniejszym obowiązkiem jest modlitwa, przez co pilnował, aby każdą parafię odwiedzić przynajmniej raz na pięć lat. Wizytował nawet te najmniejsze, położone tak wysoko w górach, że nie mógł do nich dojechać jego samochód i trzeba było docierać do nich konno. Nie był wielkim zwolennikiem budowania nowych kościołów ani

restaurowania starych, starał się natomiast wydawać pozostające w jego gestii fundusze przede wszystkim na potrzeby biednych. Zreformował program nauczania w seminarium, dodając więcej przedmiotów związanych ze współczesną nauką oraz zajęcia z wychowania fizycznego, których sylabusy opierały się na systemie gimnastyki szwedzkiej - było dla niego jasne, że kapłan, aby móc szerzyć Słowo Boże, zawsze powinien być w dobrej kondycji.

Były to reformy przeprowadzane przez zapaleńca, który od najwcześniejszych lat życia świadomy był swojego powołania. Tym niemniej jego ojciec - markiz, potomek jednej spośród najstarszych i najbardziej znamienitych rodzin w kraju - nalegał, aby Ezequiel został prawnikiem. I syn go posłuchał. Kiedy w wieku dwudziestu trzech lat uzyskał doktorat z prawa, poprosił ojca o zgodę na kontynuowanie nauki i przystąpienie do stanu kapłańskiego. Markiz niechętnie się na to zgodził, pod warunkiem, że syn odbędzie studia teologiczne nie w kraju lecz w Rzymie, dzięki czemu przynajmniej nie skończy jako wioskowy ksiądz albo prowincjonalny monsignor. W następnym roku Ezequiel wstąpił do Collegio Capranica. Studia kontynuował po uzyskaniu święceń kapłańskich, specjalizując się w dyplomacji kościelnej, w której - trzeba powiedzieć - radził sobie doskonale. Jednym z warunków uzyskania dyplomu było przeprowadzenie przez studentów zajęć seminaryjnych z kardynałami i innymi wysokimi przedstawicielami kurii rzymskiej. Właśnie w czasie tych zajęć Ezequieła zauważył wpływowy kardynał, który zaoferował mu poważne stanowisko w służbie dyplomatycznej Watykanu. Pełniąc tę funkcję, koordynował pomoc w zwalczaniu epidemii żółtej febry w Zachodniej Afryce. To właśnie podczas jednej

z wizyt w Afryce poznał siostrę Marię Ines. Kilka lat później, kiedy został biskupem, odnowił tę znajomość, która z biegiem czasu przerodziła się w dobrą przyjaźń.

Podniósł z biurka srebrny ręczny dzwoneczek i zadzwonił. Chwilę później otworzyły się drzwi, a do salonu weszła siostra Ana. Akurat jej biskup Estrada się nie spodziewał. Była jedną z osób, które go obchodziły najmniej, mimo że już dawno temu wyczuł, jak wielką estymą darzy go Ana. Teraz podeszła do biskupa z jakąś paczką pod pachą i uklękła przed nim z przesadną rewerencją. Biskup trochę się zdenerwował.

- Proszę, sostro - powiedział. - Wstań. Przecież nie jesteś na audiencji u Jego Świątobliwości.

Wskazał jej krzesło przy oknie, z którego korzystał w czasie pracy fryzjera, a drugie przyniósł sobie spod przeciwnej ściany i ustawił obok. Zakonnica obserwowała jego ruchy z podziwem, który budził w nim odrazę.

- Bardzo dziękuję, że ekscelencja zechciał mnie przyjąć - powiedziała. - Wiem, że ekscelencja jest bardzo zajętą osobą.

- Zawsze się cieszę, kiedy cię spotykam, sostro - odparł biskup ze starannie wyważoną uprzejmością. - Mimo że rzeczywiście jestem zajęty - dodał i wskazał na stertę dokumentów na biurku.

- Och, rozumiem. Praca papierkowa to bardzo ciężki krzyż do dźwigania.

Ta przesadzona ocena sprawiła, że biskup poczuł się nieswojo.

- To jest tylko krzyż z papieru - powiedział. - Nie powinienem narzekać.

Popatrzył na zakonnicę, nie mrugając oczami pomimo jaskrawego światła wpadającego do pomieszczenia przez okno, i spróbował odgadnąć cel jej wizyty. Nigdy dotąd nie przychodziła do jego kancelarii. Spotykali się w klasztorze i chociaż zawsze okazywała mu szacunek, zdawała się nie znajdować wielkiej przyjemności we wspólnych lunchach biskupa z siostrami, spożywanych w dość luźnej atmosferze. Nagle przypomniał sobie, że jeden jedyny raz rozmawiał z nią sam na sam przy konfesjonale. Tematem rozmowy były żale, jakie siostra Ana miała w stosunku do matki przełożonej. Uznał jej zgorzknienie za niewłaściwe u zakonnicy, jednak nic nie powiedział. Teraz, siedząc przy oknie w swoim salonie, zaczął się utwierdzać w przekonaniu, że będzie kontynuowała ten temat. Jednak siostra Ana niespodziewanie wręczyła mu paczkę.

- Miałam to dać waszej ekscelencji dopiero na Boże Narodzenie - powiedziała. - Przyznam jednak, że nie jestem w stanie tak długo czekać.

Biskup był zdziwiony, mimo że często otrzymywał prezenty.

- Sostro Ano, chyba nie zauważyłaś, abym był osobą, która aprobeje tego typu praktyki - powiedział. Nie chcąc jednak wyjść na niewdzięcznika, szybko zdjął sznurki i pod czujnym okiem zakonnicy rozwinął szary papier, w który zawinięto prezent. - Tym niemniej, dziękuję... Ach! - wykrzyknął. - Przemienienie. Cóż, to jest prześliczne, sostro. - Popatrzył na obraz w lepszym oświetleniu, podziwiając szczegóły.

- Naprawdę podoba się ekscelencji?

Biskup Estrada postarał się o beztroskie porównanie:



- Obraz jest równie piękny, jak watykańskie dzieło Rafaela.

- Wiedziała, że ekscelencja zauważy podobieństwo

- powiedziała zakonnica, rozpromieniona z zadowolenia.

- Bo to jest właściwie moja dokładna kopia. Oczywiście, moje kolory nie są aż tak żywe, ale wszystko inne jest mniej lub bardziej identyczne.

- Mniej lub bardziej - mruknął biskup. - Owszem. Górna część obrazu przedstawiała Przemienienie na

Górze Tabor. Chrystus, Mojżesz i Eliasz unosili się w powietrzu przed dużą jasną chmurą, a poniżej kilka postaci oddawało im pokłony. W dolnej części Apostołowie próbowali uwolnić od demona opętanego chłopca, jednak nie byli w stanie tego zrobić bez pomocy Chrystusa. Biskup Estrada przez długą chwilę wpatrywał się w obraz.

- Te cienie... w załamaniach szat... ten krajobraz w tle... to wszystko jest prześliczne - powiedział. - Ile czasu zabrało siostrze namalowanie tego obrazu?

- Och, jakieś kilka tygodni, ekscelencjo.

W gruncie rzeczy pracowała nad tym przez trzy miesiące, z oddaniem, które było równie mocne i twarde jak jej poświęcenie Bogu. W dni powszednie wstawała bardzo wcześnie, nawet nie nastawiając budzika, aby jak najwięcej pracy wykonać, zanim dzwon wybił godzinę porannej modlitwy. Trzęsąc się z zimna w nieogrzewanym pokoju, zakładała czarną pelerynę i parę rękawic wykonanych na drutach, po czym zaczynała przygotowywać farby, postępując zgodnie z instrukcjami, które znalazła w renesansowych podręcznikach: *terre verte* dla osiągnięcia barwy ciała, *azurite* dla namalowania całunu Chrystusa i brązowa ochra do malowania ziemi. Potem musiała iść na modlitwę.

W ciągu dnia zawsze udawało się jej ukraść kilka minut. Wracając ukradkiem do celi i wykonywała dosłownie kilka pociągnięć pędzlem na płótnie, jednak zasadniczą pracę wykonywała wieczorami. Wówczas to stawała przed sztalugą w świetle lampy i pracowała aż do ciszy nocnej. Gdy nastawała cisza, czyściła pędzle i, lekko oszołomiona od zapachu terpentyny, z łzawiącymi oczyma, sztywnymi palcami, klękała, żeby podziękować Bogu za podarowany jej talent. Dopiero wtedy szła spać. W niedziele malowała przez cały dzień, przerywając pracę tylko na modlitwy albo na wspólny lunch z siostrami. Potem pośpiesznie wracała do celi, gdzie jej obraz zaczynał schnąć. Aby uniknąć wszelkich zakłóceń koncentracji, pracowała przy zamkniętych oknach, dopóki zapach barwników nie doprowadzał jej na skraj omdlenia. Wtedy niechętnie otwierała okna i wracała do pracy. Dobiegające z dołu głosy przekomarzających się sióstr sprawiały, że czuła się wtedy jak na wygnaniu z Ogrodu Edenu.

- Bardzo chciałam - odezwała się - żeby ekscelencja pozował mi jako jeden z Apostołów. Ale obawiałam się odmowy.

- Byłbym zaszczycony, siostrze. Ale obawiam się, że skromność kazałaby mi się nie zgodzić - odparł biskup.

Nadal z życzliwym wyrazem twarzy oglądał obraz, od czasu do czasu wskazując na jakiś detal i zadając pytania. Zakonnica odpowiadała większą liczbą słów niż to było konieczne, a on uprzejmie słuchał, potakując głową, bezustannie błędząc wzrokiem po płótnie. Wreszcie odstawił obraz i powiedział:

- Cóż, dziękuję ci za to, siostrze. Naprawdę sprawiłaś mi przyjemną niespodziankę.

- Cieszę się, że mój obraz spodobał się ekscelencji. Niestety, nie przybyłam tutaj jedynie z nim.

- Och, naprawdę? - twarz biskupa natychmiast pociemniała. - Sprowadza cię do mnie coś jeszcze?

- Uważam za swój obowiązek poinformowanie waszej ekscelencji o bardzo poważnej sytuacji, jak zaistniała w klasztorze.

- Czy znowu chodzi o twój spór z matką przełożoną?

- Nie, ekscelencjo. Tym razem jest to coś znacznie bardziej poważnego. Chodzi o sierotę.

Biskup zmarszczył czoło.

- Jaką sierotę?

- Przysłał ją do nas Szatan. Jestem o tym przekonana, nawet jeśli dziecko niczemu nie jest winne.

Biskup Estrada zaczął tracić cierpliwość.

- Bardzo proszę, powiedz mi, z czym do mnie przyjechałaś.

Zakonnica zaczerwieniła się i szybko opowiedziała biskupowi o ostatnich wydarzeniach w klasztorze. Kiedy mówiła, biskup niespokojnie przemierzał salon od ściany do ściany, ani razu jej nie przerywając. Wreszcie opowieść Any dobiegła końca.

- Mam nadzieję, że zgodzi się ekscelencja, iż takie dziecko nie powinno zamieszkiwać w klasztorze.

Biskup nie zgadzał się z jej bezlitosną postawą, jednak nie chciał tego powiedzieć.

- Tak, to jest z pewnością niezwykle - odezwał się. - Intencje matki przełożonej są godne pochwały. Jednak masz rację, sostro. Takiej poważnej decyzji nie powinna była podejmować sama.

Następnie z kwaśnym uśmiechem na ustach odrzucił sugestie zakonnicy o zaangażowaniu się we wszystko Szatana.

- W żadnym wypadku nie wierzę, że biedak został spłodzony przez Szatana. Demon zawsze tkwi w ludziach, którzy decydują się na porzucenie własnych dzieci. Dziękuję, że mnie o wszystkim poinformowałaś. Postąpiłaś właściwie.

Zakonnica ukloniła się.

- Przybyłabym do waszej ekscelencji wcześniej, ale jestem dosłownie więźniem w klasztorze.

- Więźniem? Co masz na myśli, siostrzo?

- Matka przełożona zarządziła, żeby mnie nie wożono do miasta. Ja jednak zdołałam ukryć się w furgonetce piekarza, który odbiera od nas opłatki.

- Czy to oszustwo było naprawdę konieczne?

- Och, ekscelencja musiałby ją widzieć. Od dnia, w którym pojawiło się dziecko, bardzo się zmieniła.

- Mówisz o siostrze Marii Ines?

- Otruła psy, którymi opiekowała się siostra Carlota. To było straszne - powiedziała kobieta i opisała biskupowi dzień, w którym zakonnice znalazły psy, zdychające na klasztornym dziedzińcu.

Biskup był zszokowany, jednak postarał się, aby tego nie okazać.

- Zawsze uważałem, że te psy to wielka uciążliwość. Nie wspomnę już o kwestiach higieny - powiedział. - Może to właśnie konieczność utrzymania higieny w klasztorze była powodem ich eksterminacji?

- Nie, wasza ekscelencjo. Przełożona wierzyła, że psy są zagrożeniem dla dziecka. Siostra Carlota jest teraz głęboko nieszczęśliwa.

- Dlaczego siostra Maria Ines uważała, że psy mogłyby zaatakować dziecko?

- Ostatnio miał miejsce incydent... Jako jego świadek uważam, że jego znaczenie zostało rozdmuchane ponad wszelkie możliwe proporcje. Matka przełożona straciła rozum. Nikt nie wie, co przyjdzie jej jeszcze do głowy.

Biskup odwrócił wzrok i zacytował Terencjusza: *-Jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.*

- Błagam ekscelencję, proszę interweniować zanim wydarzy się coś znacznie gorszego - powiedziała zakonnica.

Biskup Estrada stanął przed oknem z rękami złożonymi na plecach i przez chwilę rozmyślał.

- Dobrze - powiedział. - W ciągu następnych kilku dni będę bardzo zajęty. Ale obiecuję, że przed końcem tygodnia pojawię się w klasztorze.

Tym razem wyciągnął do zakonnicy rękę, nie kępując się skromnością. Kobieta skłoniła głowę i ucałowała pierścień. Biskup już nic nie powiedział, ale patrzył za nią nerwowo, kiedy szła w kierunku drzwi. Sunęła płynnie po marmurowej posadzce, niczym jeden z duchów, które czasami przewijały się w jego snach podczas leniwej drzemki w środku sjesty.

Biskup Estrada zaskoczył wszystkich, kiedy ogłosił, że sam zostanie spowiednikiem zakonnic z klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, zamiast obarczyć tym zadaniem któregoś z kapłanów swej diecezji. Stanowisko to zwolniło się, gdy starszy ksiądz, który raz w tygodniu przyjeżdżał do zakonnic, zmarł z wyczerpania w trakcie pielgrzymki do katedry w Santiago de Compostela. Mijały miesiące, a tymczasem zakonnice ani nie uczestniczyły w mszach świętych, ani nie spowiadały się ze swoich grzechów. Siostra Maria Ines pisała w tej sprawie do biskupa kilka razy, jednak na próżno czekała na odpowiedź. Wreszcie, wyczerpana kościelną biurokracją, sama zaczęła odprawiać mszę w każdą niedzielę, wbrew prawu kanonicznemu.

Ze swojej strony biskup był zbyt zajęty innymi sprawami i prośby, kierowane z klasztoru w głębi sierry, po prostu umknęły jego uwadze. Przedłożywszy mu kilka pierwszych pilnych listów od matki przełożonej, jego sekretarz zrezygnował ze zwracania jego uwagi na problem, będąc w głębokim przekonaniu, że biskup już sprawę doskonale zna i podejmie decyzję we właściwym czasie. Diakon odkładał więc korespondencję siostry Marii Ines do przepastnych

szuflad, do których później nikt nie zaglądał - taki zresztą był los bardzo wielu innych listów, ponieważ z wszelkich zakątków diecezji nadchodziły ich po prostu sterty: z zaproszeniami, prośbami, informacjami o nagrodach, groźbami, prośbami o kanonizację i apelami o hojność dla potrzebujących. Na każdy z nich po prostu nikt nie był w stanie odpisywać. Kiedy po wielu miesiącach listy od matki przełożonej nadal przybywały, diakon pozwolił sobie w końcu na zuchwałość i przypomniał o nich swojemu przełożonemu. Biskup Estrada przyznał się do błędu, skrytykował sekretarza za nadmierną uniżoność i zarządził, aby natychmiast znaleziono księdza, który jeździłby do klasztoru. Tymczasem sam znalazł czas, żeby odwiedzić klasztor i osobiście przeprosić zakonnice za zwłokę.

Była niedziela, kiedy przyjechał do klasztoru Fordem model T, tym samym, którego później sprezentował zakonnicom. Do tej pory odwiedził klasztor tylko raz, w czasie swych regularnych, ale pobieżnych pielgrzymek po diecezji. Zatrzymał samochód przed bramą, strzepał pył z sutanny, zdjął rękawiczki, gogle i skórzany hełm, który bardziej nadawał mu wygląd lotnika niż osoby duchownej, i, przemierzywszy dziedziniec, powoli zaczął wchodzić po schodach wiodących do kaplicy. Miał właśnie zapukać do drzwi, kiedy z wnętrza świątyni dobiegły go śpiewy. Odgadłszy, że zjawił się w porze modłów, postanowił nie przeszkadzać zakonnicom. Pchnął natomiast nieznacznie ciężkie drzwi i ukradkiem wszedł do środka. Postanowił, że zaczeka, nie przeszkadzając i nie ujawniając swojej obecności, dopóki siostry nie skończą.

W czasie swojej poprzedniej, bardzo krótkiej wizyty, prawie nic nie zapamiętał. Teraz zrozumiał, że znalazł się

w nadzwyczajnym miejscu. Czas i wilgoć zniszczyły posągi świętych i wnęki w kaplicy tak mocno, że trudno je było rozpoznać. Przetarte kamienie posadzki świeciły tysiącami stóp, które kroczyły po nich na przestrzeni wieków. Drewniane schody skrzypiały pod ciężarem człowieka. Gnieźdzące się na wysokich kominach bociany uważnie obserwowały klasztor i okolice. Biskup wyszedł z kaplicy, jednak nie odważył się wkroczyć do opuszczonych budynków, które wydawały się mu w tak złym stanie, że w każdej chwili mogły runąć. Zaglądał tylko do środka przez powybijane okna i czuł chłód opuszczonych pomieszczeń oraz wiatr hulający w środku, unoszący z podłogi kurz i miejscami układający go w najbardziej dziwaczne kształty. W ogrodzie natrafił na kwietniki, pachnące powietrze i latające insekty, które co chwilę z impetem uderzały o jego smaganą przez wiatr sutannę. Wszystko, nawet ruiny, odpowiadały jego własnemu wizerunkowi klasztoru. Powinno to być miejsce nie związane ani z ziemią, ani z niebem, ale umiejscowione gdzieś dokładnie pośrodku. Z tą myślą zaczął wracać w kierunku klasztoru i przeszedł przez dziedziniec, żeby napić się wody ze studni. I kiedy pił, posługując się jedynie złączonymi dłońmi, zwrócił uwagę na głosy dobiegające z kaplicy. Rozpoznał wówczas słowa nie porannej modlitwy, jak początkowo przypuszczał, lecz właściwej mszy niedzielnej: *Gloria in excelsis Deo, et in terra pax hominibus bonae voluntatis...* Biskup Estrada wytarł ręce i wszedł do kaplicy. Stał w szeroko otwartych drzwiach, a jego smukła sylwetka rzuciła na posadzkę długi cień. Matka przełożona rozpoznała go natychmiast i zamilkła w połowie hymnu.

- Proszę, siostry - powiedział. - Nie przerywajcie.



Wszystkie zakonnice skierowały spojrzenie na niego. Matka przełożona dokończyła hymn niepewnym głosem i z sercem drżącym ze strachu:

- *Tu solus Altissimus, Jesu Christe, cum Sancto Spiritu, in gloria Dei Patris. Amen.*

Kiedy hymn przebrzmiał, biskup ściągnął w dłoni dół swojej sutanny i usiadł w ławce kilka rzędów za zakonnicami, aby uczestniczyć w pozostałej części mszy. Matka przełożona zakończyła kanon mszalny i przystąpiła do rozdawania komunii. Biskup wpatrywał się w nią gniewnym spojrzeniem, ale nie przerywał. Pozostał na swoim miejscu z tyłu kaplicy, z dłońmi na kolanach i zaciśniętymi ustami, obserwując, jak zakonnice klękają na stopniach ołtarza, aby przyjąć komunię. *Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aeternam.*

Gdy zakonnice wróciły do ławek, matka przełożona czekała na biskupa, aby i on wystąpił i przyjął komunię. Ten jednak nawet się nie ruszył. Maria Ines wróciła zatem do ołtarza i dokończyła mszę.

Biskup poczekał na nią w drzwiach kaplicy. Siostra Maria Ines ucałowała jego pierścień i powitała jako przełożona klasztoru.

- Gdybyśmy wiedziały, że wasza ekscelencja przyjedzie, poczekałybyśmy, aby to ekscelencja poprowadził mszę - powiedziała.

Biskup posłał jej dwuznaczny uśmiech.

- Tak - odezwał się. - Ale ja zamierzałem was zaskoczyć. A tymczasem to wy zaskoczyłyście mnie.

Zrozumiała.

- Przyznaję, że złamałam reguły, wasza eminencjo, jednak eminencja nie pozostawił nam wyboru.

- Masz pełne prawo być poirytowana. W tych okolicznościach nie mam nic przeciwko temu, że odprawiałaś mszę świętą. Zresztą, poprowadziłaś ją bardzo dobrze.

- Obiecuję, że to się nie powtórzy - odparła kobieta. - Ale eminencja powinien dać nam także swoje słowo, że wyznaczy kapłana do naszego klasztoru.

Biskup powiedział wtedy to, co chodziło mu po głowie od chwili wędrówki po klasztorze.

- Już to uczyniłem, siostrze. Ten kapłan stoi przed tobą.

- Wasza ekscelencja? Czy dobrze słyszę?

- Niestety, prawdopodobnie będę mógł odprawić tylko jedną mszę w miesiącu. No, mniej więcej.

- W takim razie, czy pozostałe msze niedzielne będziemy mogły sprawować same?

Biskup przez chwilę zastanawiał się.

- Nie powinienem tego akceptować - powiedział. - Ale jeśli obiecasz mi, że nie będziesz więcej konsekrować hostii, dojdziemy do porozumienia.

I w ten sposób zaczął regularnie odwiedzać klasztor. Zawsze ze zniecierpliwieniem czekał na ostatnią niedzielę miesiąca, mimo że musiał wyjeżdżać z miasta bardzo wcześnie rano i aby dotrzeć do celu, za każdym razem przemierzać samochodem uciążliwą trasę, po wyboistej drodze, prowadzącej stromo pod górę, z wieloma ostrymi zakrętami, wśród gęstego lasu sosnowego. Jednak kiedy tylko do uszu Marii Ines docierał odgłos silnika jego Forda, wybiegała przed bramę klasztoru, aby na niego poczekać i wymienić obowiązkowe pozdrowienia. Następnie prowadziła biskupa do jego pokoju. Tam bardzo dokładnie się mył, po czym w sutannie kładł się na moment na łóżko i zamykał oczy. Dziesięć minut takiego odpoczynku wystarczało mu, aby

odzyskać siły i biskupi autorytet. Kiedy słyszał bicie dzwonu, wstawał, przebierał się w szaty liturgiczne i szedł do kaplicy, gdzie czekały już na niego zakonnice.

Przed mszą słuchał spowiedzi. Za każdym razem, kiedy siadał w konfesjonale, wykonanym jeszcze w średniowieczu, kiedy ludzie byli znacznie gorzej zbudowani, odczuwał makabryczne wrażenia, ponieważ wielkość konfesjonału i zapach starego dębu przywodziły mu na myśl trumnę. Mimo wszystko odważnie korzystał z niego, nikomu się nie skarżąc ze wstydu - ponieważ ci, którzy prawdziwie wierzą w Boga, nie mają powodu, aby bać się śmierci.

Poza tym, korzystanie z konfesjonału nie było tylko symbolem. Nigdy nie mógł stwierdzić po brzmieniu głosu z całą pewnością, kto znajduje się po drugiej stronie kraty.

Mimo że grzechy zakonnic były drobne i niegroźne, często zastanawiał się, czy świat, wraz z upływającym czasem, staje się coraz gorszy - a takie właśnie odnosił wrażenie. Prawdopodobnie wynikało to z faktu, że wraz z rosnącym wiekiem zmniejszała się jego zdolność do tolerowania okrucieństwa. Kilka lat wcześniej, w czasie wojny marokańskiej, pewien porucznik odwiedził go z niezwykle prośbą: żołnierz Legionu Hiszpańskiego zdezerterował i wrócił do domu, gdzie został aresztowany, a potem skazany na śmierć. Jego ostatnim życzeniem było wyspowiadanie się, jednak nie pierwszemu lepszemu księdzu, ale samemu biskupowi.

- Oczywiście, wasza ekscelencja nie musi do niego iść, jeśli jest to dla ekscelencji pod jakimkolwiek względem niewygodne - powiedział oficer. - Jednak zrealizowanie ostatniego życzenia człowieka, którego skazano na śmierć,

jest tradycją godną podtrzymywania. Armia wygląda przez to na trochę bardziej miłosierną, nawet wobec tych, którzy na miłosierdzie nie zasługują.

- Czy to człowiek religijny?

- Wątpię, wasza ekscelencjo. Czy człowiek, który zdradził własny kraj, może być dobrym chrześcijaninem?

- *Oddajcie cesarzowi to, co cesarskie* - powiedział biskup.

-Jednak nikt nie powinien niczego uniemożliwiać drugiemu człowiekowi. Także nawrócenia się.

- Być może nawrócił się już w więzieniu - zgodził się oficer. - Ktoś o jego perspektywie powinien to zrobić. To by było nawet mądre z jego strony.

Mężczyznę zatrzymano w sąsiednim mieście, wielokrotnie odwiedzanym przez biskupa Estradę w przeszłości, ale po raz pierwszy biskup pojechał do koszar. Budynki, pobudowane na planie koła wokół dziedzińca wybrukowanego kocimi łbami, pochodziły z minionego wieku i mocno przypominały biskupowi męski klasztor. Panował tu identyczny jak w klasztorze porządek, identyczna surowość i identyczna cisza. Podobnie zachowywali się ludzie. Jedyną zupełnie inną rzeczą był tutaj wysoki mur, otaczający zabudowania, z kroksztynowymi wieżyczkami, na których zawsze stali uzbrojeni strażnicy. Porucznik powitał biskupa i zaprowadził do więzienia. Zapach wilgoci, ciemność, ten sam strach przed małymi pomieszczeniami, którego biskup miał później doświadczyć w konfesjonale w klasztorze Matki Boskiej Miłosiernej sprawiły, że poczuł nudności i słabość w nogach. Po długim marszu oficer przystanął przed drzwiami jednej z cel, wsunął klucz do zamka, jednak nie przekręcił go. Powiedział za to:

- Wasza ekscelencja może pozostać w celi jak długo zechce. Albo wyciągniemy stąd skazańca od razu i niech go piekło pochłonie.

Biskup, zawstydzony i z twarzą koloru popiołu - z powodu swej klaustrofobii - odrzekł ochrypłym głosem:

- Nie my o tym zadecydujemy. Proszę otworzyć drzwi. Wnętrze celi oświetlał jedynie wąski promień słońca, docierający przez okratowany otwór okienny. Mężczyzna leżący na łóżku, zdecydowanie dla niego za małym, odezwał się:

- A więc przyszedłeś.

Biskup postąpił niepewnie jeden krok w głąb celi. Natychmiast zamknęły się za nim drzwi i usłyszał szcęk klucza w zamku. Poczul się niepewnie.

- Jak się miewasz, synu? - zapytał. Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Och, doskonale.

W celi znajdowało się jeszcze jedno łóżko i biskup na nim usiadł.

- Dlaczego poprosiłeś specjalnie o mnie?

- Księża z parafii nie są zdolni do prowadzenia normalnych rozmów. Po prostu recytują fragment z Biblii. Gdyby w Rzymie kiedykolwiek zabrakło księży, mogłyby ich zastąpić wytresowane papugi.

- Ja jednak nie jestem papugą - zauważył biskup Estrada. - O czym chcesz ze mną rozmawiać?

Został w tej celi dłużej niż przewidywał, rozmawiając o religii ze skazańcem, który miał na temat wiary ogromną wiedzę. Kiedy nadszedł czas wyjścia, było mu przykro przerwać rozmowę i obiecał, że jeszcze wróci. Zaczął odwiedzać legionistę każdego popołudnia, poświęcając na

rozmowy z nim w cieniu śmierci czas, który zwykle przeznaczał na sjęstę. Rozmawiał z pasją, jakiej nie czuł od czasów studenckich: o zagadnieniach doktrynalnych, świętości ludzkiego życia, procesie Galileusza, teorii Darwina i wielu innych sprawach, które dzieliły Kościół. Biskup był pełen uznania dla inteligencji swojego rozmówcy. Pojął, że legionista jest człowiekiem wykształconym, jednak zdołał wydobyć od młodego człowieka informację na ten temat dopiero wtedy, gdy zagroził, że już do niego nie wróci.

- Kiedyś byłem księdzem, wasza ekscelencjo - wyznał mężczyzna.

Wtedy biskup Estrada zobaczył go takim, jakim naprawdę był - nie tylko inteligentnym rozmówcą, otwierającym się w czasie ich popołudniowych debat lub bezimiennym żołnierzem, który opuścił swoje stanowisko w czasie wojny kolonialnej, lecz młodym człowiekiem, pełnym życia, który miał wkrótce umrzeć. Od tego momentu biskup próbował dosłownie wszystkich możliwości, żeby cofnąć ciężący na nim wyrok śmierci i ocalić mu życie. Dotarł do wszystkich ważnych ludzi, jakich znał, rozmawiał z prawnikami i sędziami sądu wojennego, jednak żadna spośród tych osób nie mogła pomóc młodemu człowiekowi. Podróżował do stolicy i poprosił o audiencję nawet u króla Alfonsa, który kilka lat później miał uciec z kraju i spędzić resztę swych dni w hotelu w Rzymie, jednak zbywano go niczym, mimo jego koneksji rodzinnych. W desperacji napisał nawet list do Ojca Świętego i jakiś czas później otrzymał odręczną odpowiedź godną Cezara, w której zawarty był ostateczny wyrok na skazanego mężczyznę: *Drogi Ezequielu, wprawiasz nas w zakłopotanie sentymentalizmem, który nie przystoi czołowemu przedstawicielowi naszego Kościoła.*

Na dzień przed egzekucją biskup Estrada przybył do więzienia po południu, jak zwykle, i spotkał się z legionistą ostatni raz. Kiedy mężczyzna zapytał go, o czym powinni podyskutować tego dnia, biskup, zaskoczony opanowaniem człowieka, którego skazano na śmierć, machnął ręką:

- Nie dzisiaj.

O świcie, kiedy zapał czarny kogucik, żyjący beztrudnie w pułku, biskup powrócił, aby drżącą ręką udzielić więźniowi rozgrzeszenia i wiatyku. Mimo że porucznik go zniechęcał, uparł się, aby uczestniczyć w egzekucji i siedł u boku więźnia, odmawiając *Credo*, dopóki oficer nie położył dłoni na jego ramieniu. Biskup Estrada wówczas zatrzymał się i zmierzył porucznika zirytowanym spojrzeniem:

- Czego chcesz?

- Wasza ekscelencja nie może iść dalej. Ekscelencja powinna pozostać poza linią ognia.

Znaleźli się na miejscu egzekucji. Stanąwszy z boku, biskup Estrada z przerażeniem w oczach kontynuował modlitwę. Modlił się tak długo, dopóki pluton egzekucyjny nie oddał salwy. Potem już nigdy więcej nie udzielał ostatniego błogosławieństwa żadnemu skazańcowi. O swoich doznaniach z tego epizodu z nikim nie rozmawiał, nigdy też nie ujawnił swego zgorzknienia, jakie ogarnęło go w związku ze stanowiskiem Watykanu. Utrzymywał pozory własnej władzy, próbował odzyskać dobry humor, z którego był znany w całej diecezji, a jakiś czas później znowu był w stanie korzystać ze sjest. Ale żadnego popołudnia w łóżku nie był spokojny. Wszystko go niepokoiło: tykanie budzika na nocnym stoliku, jęk sprężyn materaca na jego łóżku, wysoka temperatura w sypialni, gdy okna były zamknięte oraz chłód, kiedy były otwarte. Od czasu do czasu wydawało mu

się, że widzi w pokoju duchy, ale utrzymywał te wrażenia w sekrecie, wmawiając sobie, że to tylko łopoczą zasłony. I przez cały czas żył nadzieją, że znajdzie gdzieś, kiedyś sanktuarium wolne od okrucieństwa tego świata. Wreszcie po wielu latach przybył do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej. I uwierzył, że znalazł spokój, którego przez długi czas tak usilnie poszukiwał.

Wymordowanie psów pograżyło klasztor w przygnębieniu. Nawet siostra Teresa, która nie lubiła zwierząt i uważała, że są sprawcami rozprzestrzeniania się na świecie wszelkich chorób, była zaszokowana okrutnym aktem i zaczęła obawiać się o przyszłość. Nie miała wątpliwości, że to wydarzenie będzie miało dla klasztoru poważne reperkusje, jednak nie wiedziała jakie. Kiedy zakonnice wyszły z kaplicy, zobaczyły psy leżące na dziedzińcu, i z przerażeniem zdały sobie sprawę, że zwierzęta umierają, a one nie mogą już nic zrobić dla ich ocalenia. Po prostu stanęły przerażone, słuchając psiego wycia, dopóki siostra Carlota, która ze względu na podeszły wiek wychodziła z kaplicy zawsze ostatnia, nie pojawiła się za nimi. Wtedy kobiety jakby ocknęły się z letargu, jednak nie miały odwagi, żeby powiedzieć jej o tragedii. Rozstąpiły się i bez jednego słowa pozwoliły jej przejść, a ona, wciąż nieświadoma tragedii, podziękowała im za dobre maniere. Lekko uniosła habit, żeby się nie przewrócić i powoli zeszła po schodach na dziedziniec. Dopiero kiedy była na dole, słabo słyszące uszy zaalarmowały ją wreszcie, że dzieje się coś dziwnego. Kiedy tylko zrozumiała, co to takiego, wydała z siebie zatrważający



okrzyk i padła na ziemię. Siostry zaniósły ją zaraz do jej celi, położyły do łóżka i czuwały przy niej przez resztę dnia, nie pozostawiając samej nawet na czas modłów w kaplicy. Wszystkie modliły się obok jej łóżka.

Nad ranem przeraźliwe skowyty ustały i zakonnice wiedziały już, że wszystkie psy w końcu skonały. Wzięły taczkę i przewiozły je, po kilka na raz, na leśną polanę, daleko od strumyków, żeby nie zanieczyścić wody, i, pracując na zmianę, wykopały głęboką na kilka stóp dziurę. Następnie wrzuciły martwe psy i posypały zwłoki wapnem niegaszonym. Wróciwszy do klasztoru, zalały wodą zakurzony dziedziniec, teraz dodatkowo brudny od psich wymiotów i krwi, po czym miotłami usunęły wszystkie pozostałości po potwornym wydarzeniu.

Przez cały czas siostra Maria Ines obserwowała zakonnice przez okno swojej celi. Jedno spojrzenie na dziecko wystarczało, aby ją upewnić, że wykonała swój obowiązek. Takie spojrzenie nie uwalniało jej jednak od współczucia dla siostry Carloty. Siostra przełożona chciała się z nią zobaczyć i wyjaśnić powody swojego działania, ale odłożyła to w czasie; obawiała się, że taka wizyta może jeszcze pogorszyć stan Carloty. Wydała zakonnicom buteleczkę z tabletkami waleriany i poinstruowała, aby podawały chorej tabletki co kilka godzin. Pytała o jej zdrowie każdego ranka i każdego popołudnia, dopóki stara kobieta nie zaczęła odzyskiwać sił. Dopiero wtedy postanowiła ją odwiedzić.

Siostra Carlota leżała na łóżku, ubrana w habit. Spojrzenie utkwiała w ścianie. W rękach miała różaniec i była tak spokojna, że przez dłuższą chwilę siostra Maria Ines obawiała się, że staruszka jest martwa. W końcu jednak siostra Carlota poruszyła głowę i posłała jej spojrzenie, które

uspokoilo obawy matki przełożonej o jej życie i zarazem wzbudziło w niej żal do samej siebie, że tutaj przyszła.

- Carloto, jak się czujesz? - zapytała. Zakonnica patrzyła jej w oczy.

- Cieszę się, że czujesz się lepiej, Carloto. Martwiłam się o ciebie. Czy waleriana pomogła?

- Nie jesteś tu mile widziana - powiedziała staruszka.

- Powinnaś powrócić do codziennych wspólnych modlitw. Jeśli opuścisz swoją celę, poczujesz się lepiej.

- Nie będę się wspólnie modliła z czcicielem Szatana.

- Uważaj, Carloto. Nie pozwól, aby twoje uczucia wobec psów przesłoniły ci zdrowy rozsądek.

- Siostra Ana miała rację. Jesteś opętana. Teraz może nam pomóc jedynie Bóg.

Matka przełożona zaczerwieniła się.

- Tolerowałam twoją miłość do zwierząt, ponieważ wydawała mi się nieszkodliwa - powiedziała. - Okazuje się jednak, że źle czyniłam.

Usta siostry Carloty ułożyły się w szyderczy grymas i po chwili kobieta odwróciła się do matki przełożonej plecami. Patrząc w ścianę, powiedziała:

- Przez te wszystkie lata służyłam ci z miłością i posłuszeństwem. Ale to, co zrobiłaś, było straszne. Niech Bóg ma dla ciebie litość.

Siostra Maria Ines z trudem panowała nad złością.

- Możesz odpoczywać jeszcze jeden dzień - rzuciła. - A potem oczekuję ciebie w kaplicy.

Przez kolejne dni siostra Maria Ines unikała zakonnice. Prowadziła w kaplicy codzienne modlitwy, jednak nie odzywała się do sióstr poza momentami, w których udzielała instrukcji w kwestii ich obowiązków. Nie pozdrawiała ich,

kiedy się z nimi mijała i w ogóle nie reagowała na ich obecność nawet spojrzeniem. W refektarzu jadła bardzo szybko, po czym wracała do swojego pokoju, gdzie spędzała większość czasu, opiekując się dzieckiem i czytając książki, które przynosiła z biblioteki. Kilkakrotnie widziano ją w szopie, pracującą przy Fordzie. Przestała wierzyć komukolwiek, a jej podejrzliwość wzbudzał każdy dźwięk niewiadomego pochodzenia: chrobotanie szczurów w kącie, odgłos sowy na dachu lub czyichś kroków przed jej drzwiami, a nawet brzęk patelni w kuchni. Drżała na myśl, że ktoś mógłby odebrać jej dziecko. Nie był to strach nieuzasadniony. Siostra Beatriz powiedziała jej, że siostra Ana była w stolicy i rozmawiała z biskupem.

Przynajmniej siostra Beatriz wciąż była jej sprzymierzeńcem i pomagała przy dziecku, mimo szoku, w jaki wprowadziła ją - tak samo jak i pozostałe zakonnice - zabicie psów. W gruncie rzeczy siostra Beatriz pukała teraz do drzwi matki przełożonej znacznie częściej niż w przeszłości, aż ta zaczęła podejrzewać, że Beatriz nie ufa jej opiece nad dzieckiem. Aby udowodnić, że młoda siostra się myli, siostra Maria Ines zaczęła poświęcać mu jeszcze więcej uwagi. Im więcej spędzała z nim czasu, tym bardziej była przekonana, że powinna stać się jego wyłącznym strażnikiem. Nadal pozwalała siostrze Beatriz na przygotowywanie mleka, jednak przeważnie karmiła dziecko sama. Dawno zapomniawszy piosenki z dzieciństwa, wymyśliła własne kołysanki i rymowanki. Śpiewała je tylko wtedy, gdy była pewna, że nikt poza dzieckiem ich nie słyszy - nie tylko dlatego, że wiedziała, iż zaprzecza samej sobie po reprimendzie, jakiej udzieliła za śpiewanie siostrze Teresie (Marii Ines już nie obchodziło, czy siostry szanują

jej decyzje, byleby tylko były im posłuszne), lecz przede wszystkim dlatego, że doskonale wiedziała, jak kiepski ma głos. W jednym z opuszczonych budynków klasztornych znalazła spowitą grubą pajęczyną maszynę do szycia, na której w dniach chwały zakonu, kiedy klasztor był domem dla dziesiątek zakonnic, szwaczki szyły habity dla nowo przybywających kobiet. Poprosiła siostrę Teresę, żeby pomogła jej wnieść maszynę do pokoju. Dzięki maszynie mogła teraz szyć dla dziecka nowe ubranka, które potem barwiła na jaskrawe kolory i haftowała wizerunkami cherubinów, ptaków i złotych kwiatów.

Pewnego dnia, przerwawszy szycie, owinęła chłopczyka, w koc i poszła z nim na spacer. Po drodze nie spotkała nikogo. Kiedy wyszła z pokoju, stanęła u szczytu schodów i starała się przypomnieć sobie dzień znalezienia dziecka, przed kilkoma tygodniami. Wtedy wciąż było ciepło, a teraz - mimo jasnego, słonecznego dnia - drżała z zimna pod habitem. Zeszła ostrożnie po śliskich schodach; na kamieniach wciąż zalegała poranna wilgoć. W ogóle nie było wiatru, sosny nie poruszały się, a jedynymi dźwiękami, jakie do niej docierały, było ćwierkanie ptaków i odgłosy szurania jej butów na schodach. Przez jakiś czas szła drogą i dopiero później weszła do lasu w miejscu, gdzie drzewa rosły trochę rzadziej. Posuwała się pewnie po ściółce, złożonej z igieł sosnowych i suchych gałązek, które przyjemnie trzaskały pod jej butami. Poprzez baldachim z drzew na ziemię docierało niewiele światła słonecznego. W pewnej chwili zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Kiedy przyjechała do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, cisza przyprawiała ją o ból głowy, ponieważ dorastała w domu, w którym bez przerwy słyhać było ludzkie głosy, muzykę z fonografu

Edisona i trele ptaków w klatkach. W miarę upływających lat przywykła do klasztornej ciszy.

Znała lasy otaczające klasztor i teraz ruszyła głębiej w gęstwinię, nie zapominając jednak, że wkrótce będzie czas południowej modlitwy; w razie potrzeby potrafiła wrócić do klasztoru bardzo szybko. Dziecko nie spało. Patrząc na nie, nie była w stanie nie powtórzyć po raz kolejny, z takim samym głębokim uczuciem, jak za pierwszym razem i zawsze w czasie minionych tygodni, przysięgi, że zrobi dla niego wszystko. Teraz wiedziała, że była szczerą, kiedy przysięgała, iż będzie go bronić z poświęceniem własnego życia. Dotrzymała słowa. Nie miała cienia wątpliwości, że atak psów był testem przysięgi. Cicho, sama do siebie, powiedziała:

- Sprawdź mnie, Panie, i przekonaj się. Sprawdź mój umysł i serce.

Była matką, mimo że sama nie urodziła dziecka; jedynie Bóg potrafił sprawić taki cud.

Odniosła wrażenie, że coś słyszy - jakiś bardzo dziwny dźwięk, zupełnie nie na miejscu w gęstym lesie. Spędziła w lesie wiele czasu i jej uszy były w stanie zarejestrować nawet najcichszy dźwięk, którego źródłem nie była natura. Przystanąła i przez chwilę nasłuchiwała, jednak już się nie powtórzył. Trochę uspokojona, postąpiła ostrożnie kilka kroków, ale wtedy znowu to usłyszała. Nikt inny by tego nie usłyszał, jednak siostra Maria Ines nie miała już wątpliwości, że słyszy kogoś, kto stąpa po suchych igłach sosnowych. Ktoś lub coś bez wątpienia podążało za nią. Po tak wielu rozmowach o diable, zobaczyła w myśli jego oblicze i zadrżała. Ujrzała jego rozdwojone kopyta, wykręczone rogi i skrzydła jak u nietoperza. Mocniej ścisnęła dziecko

w ramionach i odmówiła krótką modlitwę. Doszła do bardzo starego drzewa i skryła się za nim. Czekwała, kołysząc dziecko w ramionach, żeby się teraz nie rozplakało.

Jej prześladowca nadchodził. Przemierzał powoli kilka kroków, a potem zatrzymywał się. Po chwili ruszał znowu. Siostra Maria Ines kontynuowała cichą modlitwę:

- *Satanam aliosque spiritus malignos, qui ad perditionem animarumpervagantur in mundo...*

Odgłosy kroków były coraz bliższe. Ktokolwiek ją śledził, znajdował się teraz w odległości zaledwie kilku gęsto rosnących drzew. Siostra Maria Ines popatrzyła na dziecko. Pod wpływem kołysania zasnęło. Po chwili, w odległości kilku kroków, minął ją cień. Matka przełożona popatrzyła na sylwetkę i zapytała mocnym głosem:

- Co ty właściwie tutaj robisz? Siostra Beatriz pisnęła i odwróciła się.

- Ależ mnie przestraszyłaś, wielbna matko. Pomyślałam, że może będziesz pragnęła towarzystwa.

Dziecko wciąż spało, dlatego matka przełożona ściszyła głos.

- Przestań za mną chodzić - powiedziała. - Czy ty także jesteś przeciwko mnie, Beatriz?

- Nie, ja jestem z tobą, matko.

- Czy chcesz, żeby one zabrały to dziecko i oddały je do sierocińca?

- Nie, matko.

- Bo i tak nikt mi go nie odbierze. Bóg przyniósł go do mnie nie bez powodu.

Zakonnica stała posłusznie, nie ośmielając się już powiedzieć ani słowa. Tymczasem matka przełożona powoli się uspokajała.

- Czy ty nie wierzysz w cuda, Beatriz? - zapytała. - Nieważne jak rzadko, ale one wciąż się dzieją. Widzisz...

Siostra María Inés zamilkła jednak, ponieważ poczuła, że to, co chce powiedzieć o Bogu i boskiej opatrności jest zbyt ważne, aby zostało wyartykułowane w środku lasu. *Dlaczego tylko ja widzę prawdę?* - pomyślała. Było tak prawdopodobnie dlatego, że tylko ona w całym klasztorze naprawdę wierzyła w Boga. Wszystkie zakonnice, oczywiście, podporządkowywały się regułom swojego zakonu i spełniały dobre uczynki, jednak prawdziwa wiara czasami bywa czymś zupełnie innym. Gdyby María Inés mogła tylko wyjaśnić to wszystko młodej zakonnicy...

Ruszyły w drogę powrotną do klasztoru, ponieważ był już prawie czas modlitwy. Szły przez las, a ich stopy tonęły w głębokim dywanie igieł sosnowych. Strach odszedł i siostra María Inés znowu rozmyślała o swoim cudownym macierzyństwie. Z każdym krokiem bezustannie poruszała się dookoła niej jakaś forma życia - na drzewach, w powietrzu, pod ziemią. Poczuła miłość nie tylko do dziecka, które niosła w ramionach, lecz także do młodej kobiety, która podążała za nią krok w krok. Jak to dobrze mieć towarzystwo. Obiecała sobie, że od tej chwili będzie dobra dla Beatriz. Powietrze pachniało sosną, a siostra María Inés poczuła, że ma mokre buty, ponieważ poranna rosa jeszcze nie wyschła w cieniu drzew. Zakonnice dotarły niemal na skraj drzew, kiedy siostra María Inés ocknęła się z ekstazy, bowiem rozpoznała, z drżeniem serca, odgłos samochodu biskupa, zmierzającego pod górę leśną drogą.

Biskup trzasnął drzwiczkami samochodu i zdjął z głowy skórzany kask. Jego twarz pokryta kurzem była tak blada, jak oblicze martwego człowieka. Podróżowanie to najmniej wdzięczny fragment jego obowiązków, było jednak nieuniknione. Tym niemniej, jego cierpienie po godzinie spędzonej za kierownicą samochodu to całkiem niezły sposób na przypomnienie sobie, że w oczach Boga nie jest wcale tak ważny, jak to sugerowała ludziom jego ranga. Strzepnął kurz z płaszcza i natychmiast znalazł się w szarej chmurze, która sprawiła, że zaczął kaszleć.

- *W mądrości Tyś uczynił je wszystkie* - mruknął. - No ale po co zaraz tyle kurzu? - dodał.

Wyciągnął z kieszeni buteleczkę wody kolońskiej, spryskał chusteczkę i wymył nią twarz. Po chwili znowu można było w niej zobaczyć wspaniałość i nieustępliwość rzymskiego władcy. Kiedy podeszła do niego matka przełożona, żeby ucałować biskupi pierścień, Estrada odezwał się, jakby odpowiadał na zadane mu pytanie:

- Obawiam się, że nie zostanę na noc. W kurii czeka na mnie dużo pracy.



- Cieszymy się, że znów widzimy waszą ekscelencję - powiedziała matka przełożona.

-Ja również się cieszę, że znowu cię widzę, siostro. Chociaż wolałbym tu nie przyjeżdżać... Och, chodzi mi tylko o dziś. Wiesz, jak bardzo radują mnie wizyty w tym miejscu. Szkoda, że nie mamy dzisiaj jednej z naszych błogosławionych niedziel. Niestety, powód mojej dzisiejszej wizyty nie jest radosny.

- Skoro wasza ekscelencja już się u nas zjawił, liczę, że będzie tak uprzejmy i odprawi dla nas wieczorną mszę.

Biskup przez chwilę się wahał, po czym odparł:

- Cóż, siostro, na to zawsze znajdę czas.

Przed klasztor wybiegły pozostałe zakonnice, aby ucałować jego pierścień, a on je błogosławił, w ciszy obserwując każdą z kobiet, które mu się kłaniały. Nawet siostra Carlota wyszła ze swojej celi - po raz pierwszy od dnia, w którym otruto jej psy. Po pobłogosławieniu wszystkich sióstr biskup znowu skierował uwagę na matkę przełożoną. Odezwał się do niej cichym głosem:

- Musisz wiedzieć, że bardzo nie lubię takich rzeczy. Wniesiono przeciwko tobie skargę i jestem zmuszony rozpoznać sprawę, ponieważ to miejsce znajduje się pod moją osobistą opieką. Poza tym nie chcielibyśmy, aby sprawa dosięgła uszu, które znajdują się znacznie wyżej ponad powierzchnią ziemi niż nasze.

Matka przełożona skinęła głową.

- Jesteśmy wdzięczni za dyskrecję, wasza ekscelencjo.

- Nie uważam bynajmniej problemu za poważny. Jednak, muszę przyznać, jest niezwykle - powiedział biskup. Całe zgromadzenie stało przed bramą klasztoru. Instynkt dyplomatyczny nakazał biskupowi pozostać w tym miejscu

chwilę dłużej niż zazwyczaj. Po chwili zapytał matkę przełożoną trochę głośniejszym, tonem, w którym nie pobrzmiwała już wcześniejsza sztywność. - No i jak się miewasz, siostrze?

- Matka Boska opiekuje się nami, wasza ekscelencjo.

- Opiekuje się także samochodem?

- Tak, wasza ekscelencjo. Od czasu do czasu auto wymaga jedynie drobnej naprawy, ale to nic takiego.

- Żałuję, że nie mogłem dać wam lepszego prezentu, siostrze.

- Och, ten samochód wprowadził do naszego życia wielkie zmiany, wasza ekscelencjo. To bardzo szczodry i pożyteczny prezent.

Biskup i matka przełożona weszli na teren klasztoru. Za nimi postępowały pozostałe siostry. Siostra Maria Ines skierowała się do domu gościnnego, jednak biskup ją powstrzymał.

- Nie, siostrze. Dziękuję. Przejdźmy od razu do twojego biura.

- Czy wasza ekscelencja w ogóle nie potrzebuje odpoczynku?

- Później, jeśli czas pozwoli. Chciałbym jak najszybciej mieć z głowy tę najważniejszą sprawę.

Zawrócili i skierowali się po schodach do celi matki przełożonej. Przy łóżku, tuż poza zasięgiem promieni słonecznych, wpadających do środka przez wąskie okna, ustawiono kołyskę, w której spało dziecko. Matka przełożona weszła do pokoju za biskupem. Pozostałe zakonnice tłoczyły się za ich plecami. Biskup bez pośpiechu zdjął płaszcz, powiesił na haku w ścianie i powoli skierował się ku kołysce. Matka przełożona zatrzymała go jednak grzecznie:

- Buty, wasza ekscelencjo. Skrzypią. A biedaczek właśnie zasnął.

Biskup Estrada popatrzył na swoje stopy i zmarszczył czoło. Starając się robić na drewnianej podłodze jak najmniej hałasu, podszedł do kołyski.

- A więc to jest twój najnowszy rekrut - wyszeptał, wykonując nad dzieckiem znak krzyża. - Pojawienie się nowego życia zawsze jest radosnym wydarzeniem, niezależnie od okoliczności.

- Też tak uważam, wasza ekscelencjo - powiedziała matka przełożona.

Pozostałe zakonnice przyjęły słowa biskupa w milczeniu. A ten szybko zrozumiał, że nie tego po nim oczekiwały. Po chwili dodał z westchnieniem:

- Ktokolwiek porzucił to dziecko, popełnił grzech śmiertelny. A my teraz musimy się zmierzyć z jego konsekwencjami.

Okna były zamknięte, aby z pokoju nie uciekało potrzebne dziecku ciepło. W powietrzu unosił się odór zwróconego mleka. Biskup rozpoznał ten zapach, który zapamiętał ze styczniowej wizyty w miejskim sierocińcu, gdzie rozdawał dzieciom prezenty, ubrany w pozłacaną szatę i z twarzą umazaną węglem, żeby wyglądać jak wschodni mag, Baltazar. Jeszcze raz spojrzął na niemowlę i pomyślał o starotestamentowej przypowieści o Salomonie i dziecku z dwiema matkami. Następnie powiódł spojrzeniem po zakonnicach i powiedział, że chciałby porozmawiać ze wszystkimi.

- Proszę, poczekajcie na zewnątrz. Będę każdą z was wzywał osobno.

- Czy wasza ekscelencja życzy sobie, abym była obecna przy tych rozmowach? - zapytała matka przełożona.

Nie, nie życzył sobie, ponieważ nie powinno się uważać, że faworyzuje ją ponad inne zakonnice. Siostra Maria Ines zrozumiała.

- Niech mi więc ekscelencja pozwoli zabrać dziecko do innego pomieszczenia - powiedziała.

- Tak, znajdź dla niego jakieś spokojne miejsce.

Kiedy biskup został sam, zaznał znajomego skrepowania, które ostatnio prześladowało go za każdym razem, gdy odwiedzał ten klasztor. Kiedyś lubił siadać w tej celi razem z matką przełożoną i dyskutować o sprawach klasztoru. Lubiał okna o lukrowatych framugach, które zdawały się wpuszczać do środka zawsze tyle samo światła, niezależnie od tego, jak jasny lub ciemny był dzień. Lubiał skromne meble celi, zapach kadzidła, odgłos swoich własnych butów na drewnianej podłodze, a nawet chłód fortecznych murów, które oparły się kilku atakom Hayreddina Barbarossy i jego korsarzy. Dzisiaj jednak cela wydawała mu się duszna i pogrążona w żałobie.

Od jakiegoś czasu lękał się wizyt w klasztorze, pomimo spokojnej okolicy, pięknego ogrodu i długich lunchów pod pnąciami winorośli, w towarzystwie zakonnice, które go uwielbiały. W gruncie rzeczy pragnął wyznaczyć im innego spowiednika. Decyzja taka byłaby bez wątpienia słuszna. Nie wspomniał o tym zamiarze ani matce przełożonej, ani w ogóle nikomu i nie zamierzał wspominać, dopóki nie znajdzie odpowiedniego kapłana, który mógłby go zastąpić.

Podszedł do drzwi i poprosił o wejście do środka zakonnice, która znalazła dziecko na schodach. Do pokoju

weszła siostra Lucia. Biskup Estrada odezwał się do niej spokojnym głosem:

- Niczego się nie obawiaj. Nie przybyłem tutaj, aby kogokolwiek o coś oskarżać. Chciałbym tylko poznać fakty.

Zdawał sobie sprawę, że jego postawa i długa czarna sutanna przepasana purpurową szarfą sprawiają, iż ludzie czują przed nim respekt. Gdy czasami zdarzało się, że nie czynił nic dla ich ośmielenia, lubił myśleć, że nie postępuje tak z próżności, ale dlatego, iż jest akurat koniecznym wywołanie wśród trzódki, którą się opiekuje, większej karności. Teraz jednak było dla niego jasne, że taka postawa zaszkodziłaby jego dochodzeniu. Dlatego uśmiechnął się.

- Powinnaś być dumna z powodu tego, co zrobiłaś, siostrze - powiedział. - Ocaliłaś ludzkie życie. Opowiedz mi o tym.

Kiedy tylko zakonnica zaczęła mówić, powstrzymał ją, unosząc rękę.

- Rozpocznij od chwili, w której tego poranka otworzyłaś oczy - powiedział do niej.

Siostra Lucia spróbowała sobie przypomnieć, co robiła tego brzemiennego w skutki dnia, od momentu kiedy o świcie wstała z łóżka na modlitwę, aż do czasu, kiedy chciała pójść do samochodu.

- Samochodu, który wasza ekscelencja tak wspaniało-myślnie nam podarował - dodała.

- Gdzie trzymacie samochód? - zapytał biskup.

- W dawnej szopie dla osłów, za kaplicą. Aby się do niego dostać, trzeba wyjść z klasztoru.

- Czy to nie siostra Beatriz jest odpowiedzialna za zakupy i zaopatrzenie?

- Wielebna matka ostatnio posyła mnie do miasta w jej zastępstwie, wasza ekscelencjo.

Powiedziała, że dopóki nie wyszła z klasztoru, nie słyszała niczego podejrzanego, nie zauważyła niczego dziwnego i, jak każdego dnia, wykonywała swoje obowiązki. Następnie opisała moment, w którym zobaczyła przy schodach walizkę, zajrzała do środka przez wycięte w niej dziury i ujrzała w środku niemowlę.

- To było niewiarygodne. W pierwszej chwili pomyślałam, że to lalka.

Biskup Estrada zapytał, gdzie teraz znajduje się walizka.

- W szafie wielebnej matki, wasza ekscelencjo.

- Podaj mi ją, bardzo proszę.

Obejrzał starą walizkę z zewnątrz i od wewnątrz, jednak nie znalazł żadnego klucza do tajemnicy. Poprosił zakonnice, żeby schowała ją z powrotem. Ponieważ nie miał już więcej pytań do siostry Lucii, podziękował jej za pomoc i polecił, aby przysłała do niego kolejną kobietę. Krótko porozmawiał z siostrą Teresą, a potem do pokoju weszła siostra Carlota, która pozostała z nim dłuższy czas, opowiadając o otruciu psów i utrzymując, że matka przełożona została opętana przez Szatana. Doskonale rozumiejąc rozgoryczenie starej kobiety, biskup Estrada nie zaprzeczał jej. Kiedy podparta na jego ramieniu wychodziła z pokoju, uniosła głowę, wytarła dłonią łzy i wskazała na matkę przełożoną:

- To wszystko przez nią - powiedziała. - Boże, pomóż nam.

Biskup Estrada ze zrozumieniem uśmiechnął się do matki przełożonej i skinął głową na siostrę Beatriz.

- Rozumiem, że już nie prowadzisz samochodu - powiedział, kiedy zostali sami w pokoju.

- Wkrótce zacznę znowu. Poprosiłam o czasowe zwolnienie z tego obowiązku, wasza ekscelencjo.

Poprosił, żeby usiadła i przez chwilę patrzył na nią, bawiąc się biskupim pierścieniem. Cela matki przełożonej nadal go przygnębiała. Problem z dzieckiem nie wydawał mu się poważny i zaczynał żałować, że w ogóle przyjechał. Z powodzeniem mógł przysłać kogoś innego. Ale zaraz sobie przypomniał obietnicę, jaką złożył siostrze Anie.

- Co sądzisz o matce przełożonej? - zapytał.

- Jest bardzo miła. Uważam, że podjęła właściwą decyzję, zatrzymując sierotę. Postąpiła po chrześcijańsku.

- Pomagasz jej przy dziecku?

- Tylko trochę. Kiedy matka przełożona musi akurat być gdzieś indziej. Cieszę się, że mogę to robić. Matka przełożona jest bardzo kompetentna. Czy wasza ekscelencja wie, że była kiedyś pielęgniarką?

- Tak. Jak sądzisz, co powinienem postanowić?

- Dziecko nikomu nie czyni żadnej szkody, wasza ekscelencjo.

-Ale z jego powodu matka przełożona popełniła straszliwy czyn.

- Te psy? To było dopiero po tym, jak jeden z nich prawie ją zabił. Wasza ekscelencja powinien był to widzieć.

- Pomimo tego siostra Carlota jest bardzo przybita. Młoda zakonnica miała inne zdanie.

- Wymordowanie psów było okrucieństwem, wiem. Ale gdyby eminencja widział, jak gwałtownie jeden z nich zaatakował matkę przełożoną i dziecko, zrozumiałby.

- Powiedziano mi, że byłaś jedyną, która starała się pomóc, kiedy matka przełożona znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Ach tak... Chyba nie miałam jednak dość odwagi.

- Najwidoczniej miałaś. To pozostałe siostry odwiodły cię od interwencji.

- Biedne dziecko odniosłoby rany, ale matka wielebna je uratowała.

Po zadaniu kilku dodatkowych pytań biskup Estrada odesłał siostrę Beatriz ze smutnym uśmiechem i kilkoma słowami, które brzmiały jak pożegnanie:

- Uważaj na siebie. I przyjdź do mnie, jeżeli będę mógł coś dla ciebie zrobić.

Siostra Beatriz uniosła głowę i po raz pierwszy od początku rozmowy popatrzyła wprost na biskupa. Biskup zdał sobie sprawę, że niemal wyjawił jej swój zamiar zrezygnowania z bezpośredniej odpowiedzialności za zakonnice, dlatego szybko dodał:

- Zobaczymy się w niedzielę, jak zwykle.

Skinąwszy głowę, zakonnica w milczeniu wyszła z pokoju. Patrząc za nią, żałując swoich ostatnich słów. Było już niemal południe i rosnąca temperatura sprawiła, że pod ciężką sutanną zaczął się pocić. Otworzył okno, wychylił się trochę i zaczerpnął świeżego powietrza. Popatrzył na swój samochód, stojący tuż przed klasztorem i cały pokryty kurzem. Myśl o drodze powrotnej do miasta napełniła go przerażeniem. Jak na mężczyznę w swoim wieku był w dobrej kondycji, jednak problemem był jego umysł. Ostatnio chodził mu po głowie pomysł, aby postarać się o stanowisko nuncjusza apostolskiego w jakimś spokojnym kraju. To nie byłoby niemożliwe. W końcu studiował dyplomację



i miał w Watykanie całkiem sporo wpływowych przyjaciół. Nagle zapragnął przez chwilę odpocząć. Położył się na wąskim łóżku w kącie pokoju, jednak natychmiast skrzywił się z bólu, tak twardy był materac.

*Boże, pomyślał, wszystko, wszędzie, ale nie tu... Dlaczego tutaj przyjechałem?.. Wybacz mi...*

Usłyszał pukanie do drzwi i zanim zdołał odpowiedzieć, w drzwiach stanęła siostra Ana z jakąś paczką.

- Przepraszam, wasza ekscelencjo - powiedziała. - Nie wiedziałam, że ekscelencja wypoczywa. Przyjdę trochę później.

Biskup machnął ręką i powoli wstał.

- Nic takiego, siostrze. Swoją pracę i tak muszę wykonać. Proszę, wejdz.

Dopiero w tej chwili zobaczył paczkę i ściągnął usta.

- Kolejny prezent? Siostrze, obawiam się, że nie mogę przyjąć od siostry już żadnego prezentu.

- Nie, wasza ekscelencjo. To ma związek ze śledztwem. I jest bardzo ważne.

Biskup Estrada usiadł przy biurku i obserwował, jak zakonnica powolnymi ruchami rozwija brązowy papier. Po chwili wyciągnęła z niego zabrudzone prześcieradło, rozłożyła je na biurku niczym obrus i cofnęła się o krok. Biskup popatrzył na dziwne plamy krwi, potem na zakonnice. Jego twarz opuściła wszelka łagodność.

- I co to jest, siostrze? - zapytał.

- Niezaprzeczalny dowód na to, że czci się tutaj Szatana, wasza ekscelencjo. Tutaj, w klasztorze.

Powiedziała biskupowi, gdzie znalazła prześcieradło, jak szukała dowodów czarnoksięstwa i jak wreszcie znalazła je w jednym z pomieszczeń starej szkoły dla nowicjuszek

- ślady krwi na świeżo wyczyszczonej podłodze. Wierzyła, że wszystko to było związane z pojawieniem się dziecka. Dodała też:

- Jeszcze zanim natrafiłam na ślady czarów, byłam przeciwna zamiarowi matki przełożonej, żeby zatrzymać sierotę w klasztorze. Próbowałam też ostrzegać inne siostry, ale one nie chciały mnie słuchać. Przyznaję, że nie pokazałam moich znalezisk matce przełożonej, ale to dlatego, że boję się o swoje życie. Jednak po otruciu psów musiałam zacząć działać i to właśnie dlatego pojechałam do waszej ekscelencji.

Biskup pochylił się nad płótnem i powiedział:

- Nie możemy być pewni, jak długo ten materiał tkwił w ziemi. Ślady krwi na nim mogą być bardzo stare.

- Być może, wasza ekscelencjo. Jednak ktokolwiek posprzątał podłogę w opuszczonym budynku, zrobił to bardzo niedawno.

- Ale co ma wspólnego z tym wszystkim dziecko? - zapytał biskup. Po chwili, przypomniawszy sobie rozmowę w swoim salonie, sam odpowiedział na to pytanie: - Ach tak, płód Szatana. Zapomniałem.

- Potrzebujemy egzorcysty, wasza ekscelencjo.

- Albo Sherlocka Holmesa - powiedział biskup z wiele mówiącym uśmiechem.

Poprosił zakonnice, żeby pokazała mu, gdzie znalazła prześcieradło. Kiedy wychodzili z pokoju, poprosił matkę przełożoną, aby na niego poczekała i podążył za siostrą Aną. Poszli w najodleglejszy zakątek klasztoru i tam zakonnica wskazała mu dokładnie miejsce, w którym pies wygrzebał z ziemi zakrwawioną szmatę. Następnie biskup nakazał jej, żeby zaprowadziła go do tego pokoju, w którym

natrafiła na ślady szatańskich ceremonii. Przeszli więc przez dziedziniec i weszli do szkoły dla nowicjuszek. Wiatr wdzierający się przez rozbite okna nawiał do środka mnóstwo ziemi i w mrocznym holu rosły teraz gdzieś, w najbardziej wilgotnych miejscach, szare rośliny bez kwiatów. Biskup Estrada ruszył za siostrą Aną po skrzypiących schodach. Róg pokoju, w którym siostra Ana natrafiła na ślady krwi, nie wydawał się w tej chwili ani trochę różnić od pozostałej części pomieszczenia. Od czasu jej odkrycia pył dokładnie pokrył całą podłogę i zmasał wszelkie ślady krwi i sprzątnięcia. Siostra Ana przyklęknęła i zaczęła odgarniać pył z podłogi. Na próżno. Po chwili jednak powiedziała:

- To było tutaj, wasza ekscelencjo. Jeśli ekscelencja popatrzy uważnie pomiędzy deski... O, proszę, widzi ekscelencja?

Biskup pochylił się, jednak niczego nie zobaczył.

- Tak, być może masz rację - powiedział i wyprostował się.

- Może jakieś ślady są jeszcze gdzieś indziej, w którymś z pozostałych pokojów? Obejrzałam je już wcześniej, lecz może ekscelencja ma lepszy wzrok?

Biskup Estrada widywał ten rodzaj zaciętrzewienia i irytacji już wiele razy: zaciętą, kamienną twarz i twardą walkę z całym światem, walkę nie do powstrzymania. Zagubiona dusza. Odwrócił się i popatrzył na poniszczone meble oraz na pokrywający podłogę tynk, który odpadł od wilgotnych ścian.

- Na razie chodźmy stąd, siostró - powiedział. - Widziałem już dosyć. Minęło wiele czasu, odkąd Bóg przebywał tutaj ostatni raz.

Zakonnica wstała i wytarła dłonie w habit.

- Czy to nie mógł być jeden z psów, siostrzo? - zapytał biskup.

- Pies, wasza ekscelencjo? Tutaj?

- Tak. Jeden spośród tych nieszczęśników, które niedawno zdechły. Przecież wszystkie biegały wolno po całym klasztorze.

- Owszem, wasza ekscelencjo. Ale wysprzątana podłoga i...

- Naprawdę ktoś tu sprzątał? Nikt o zdrowych zmysłach by tu nie przyszedł.

- Ale przecież także na prześcieradle jest krew.

- To prześcieradło mogło leżeć w ziemi od wielu lat. Poza tym, czego to dowodzi? Sądzisz, że popełniono tutaj przestępstwo?

- Wierzę, że odprawiano tutaj jakieś obrzędy, wasza ekscelencjo - powiedziała zakonnica. Po chwili dodała ze strachem w głosie - i poświęcono psa.

- Pytałaś siostrę Carlotę, czy któryś z jej psów zaginął? Odpowie ci prawdę, chyba że to ona stoi za tym wszystkim. Ale to raczej nieprawdopodobne, chyba się ze mną zgodzisz? Kochała psy jak swoją własną rodzinę.

- Nie oskarżam o nic Carloty. Biedna siostra jest niewinna, oczywiście. Tymczasem musi istnieć jakieś wyjaśnienie...

- Moim zdaniem trochę pochopnie wyciągałaś wnioski - powiedział biskup. Poklepał zakonnice po ramieniu, żeby odrobinę ją uspokoić, i odezwał się tonem, który miał oznaczać, że wygłasza w przekazanej mu sprawie swoje ostatnie słowo - demony lub nie demony, dobrze postąpiłaś, że opowiedziałaś mi o dziecku. Dziękuję ci. Teraz muszę postanowić co zrobimy z niemowlakiem.

Widział, że jest wielce rozczarowana. Ruszyli ostrożnie po niestabilnych deskach, starannie omijając dziury, przez które widzieli podłogę poniżej, i w końcu wyszli ze zrujnowanego budynku. Pozostałe siostry czekały na nich na dziedzińcu. Biskup Estrada nie skomentował poszukiwań. Podziękował siostram za pomoc i uczciwość, powiedział siostrze Marii Ines, że potrzebuje kilku dni, żeby rozważyć kwestię dziecka i odjechał, jeszcze za dnia. Kiedy zobaczył dachy zabudowań zbliżającego się miasta, zdał sobie sprawę, że zdezorientowany kwestiami, jakie napotkał - zjadliwymi oskarżeniami i własną desperacją - żeby się od nich jak najszybciej oderwać, zapomniał o przyrzeczeniu, które złożył matce przełożonej. Wieczorem miał przecież odprawić w klasztorze mszę.

Najpierw odleciały bociany, które urodziły się w klasztorze tego lata, jednak siostra Beatriz nie zdała sobie z tego sprawy, dopóki - kilka dni później - starsze ptaki nie zaczęły formować kluczy nad słonymi nadmorskimi moczarami, gotowe do odlotu w kierunku Afryki. Przez cały dzień podrywały się do lotu z dachów, od samego rana, gdy zakonnice po raz pierwszy zaczęły przemierzać dziedziniec w drodze do kaplicy, aż po zmierzch. Każda para odlatywała razem, zmierzając najprostszą drogą na południe. Pod koniec tygodnia wszystkie gniazda ziały pustką, o kilka dni wcześniej niż wiaty poprzednich. Zakonnice nie zastanawiały się nad tym faktem aż do niedzielnego ranka, kiedy biskup spóźnił się na mszę. Wtedy zaczęły podejrzewać, że odlot ptaków to zły znak i zgromadziły się przed klasztorem w oczekiwaniu, przerażone, że biskupowi mogło stać się coś złego. Jedyne matka przełożona pozostała w swojej celi.

Dochodziło południe, kiedy zakonnice dostrzegły, jak drogą zbliża się do klasztoru dosiadający muła mężczyzna. Zachęcał zwierzę do szybszego kroku, jednak najwyraźniej był kiepskim jeźdźcem i muł, nic sobie z niego nie robiąc, przez cały czas szedł powolnym, spacerowym krokiem.

Kiedy się zbliżył, zakonnice zobaczyły, że jeździec to w istocie młody ksiądz w okrągłym kapeluszu i sutannie zapiętej pod szyję. Jednak najdziwniejszym elementem w jego postaci była marchewka, którą trzymał na końcu kija tuż przed łbem muła. Zatrzymał się przed zakonnkami, zeskoczył z muła i pod czujnym wzrokiem kobiet odruchowo wygładził sutannę. Następnie dał zwierzęciu marchew, zdjął kapelusz, stanął przed zakonnkami i powiedział:

- Jego ekscelencja bardzo przeprasza. Nie mógł dzisiaj przyjechać.

Nazywał się ojciec Mateo i zakonnice z miejsca poczuły do niego antypatię, mimo jego skromności. Nie był ani tak ważny i władczy jak biskup - wywołujący szacunek i zaufanie - ani tak postawny i elegancki. Zakonnice wpatrywały się w jego dziobatą twarz, długi nos i wielkie uszy, których rozmiar dodatkowo podkreślały krótko ścięte włosy, i uznały jego pokorę nie za cnotliwy wybór, ale za nieuchronność losu mężczyzny brzydkiej urody. Bez słów powitania zaczęły pytać o biskupa. Ksiądz kilkakrotnie zapewnił je, że biskup jest w dobrym zdrowiu, że - o ile księdzu wiadomo - nie zepsuł mu się samochód, że nie ma do zakonnice żadnych pretensji lecz wręcz przeciwnie, kocha je i tęskni za nimi jak zawsze. Powiedział też, iż jego ekscelencja powierzył mu list skierowany do matki przełożonej; szukał jej wzrokiem pomiędzy otaczającymi go zakonnkami. Siostra Beatriz kazała mu poczekać i poszła po siostrę Marię Ines. Kiedy ta stanęła w bramie klasztoru, była niewiele bardziej przyjazna dla niego niż pozostałe siostry.

- Nie jesteś tym, na kogo czekamy, ojciec - powiedziała.

- Jego ekscelencja wysłał mnie tutaj w swoim imieniu, walebna matko.

- Ale zakładam, że nie polecił ci, żebyś się spóźnił. Młody mężczyzna łatwo się czerwienił.

- Podróż zabrała mi więcej czasu niż się spodziewałem - powiedział. - Nie byłem w stanie zmusić muła, żeby szedł szybciej. Kiedy sobie przypominałem sztuczkę z marchewką, było już za późno. - Ksiądz wsunął rękę do kieszeni i po chwili uroczyście wręczył matce przełożonej kopertę z tarczą herbową biskupa. - Jego ekscelencja nakazał mi przekazać jego osobiste wyrazy szacunku.

Siostra Maria Ines przyjęła kopertę bez słowa komentarza. Czekwała na ten list przez cały tydzień. Widziała go we śnie, rozmyślała o nim z drżeniem serca za każdym razem, kiedy trzymała dziecko w ramionach albo gdy prowadziła modlitwę w kaplicy. Starając się zachować spokój, otworzyła kopertę i w ciszy zaczęła czytać. Zakonnice uważnie ją obserwowały. Kiedy skończyła, mocno zacisnęła usta i przez chwilę stała w głębokim zamyśleniu.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie.

- Czy list dotyczy dziecka? - zapytała siostra Beatriz. Zamiast odpowiedzieć, matka przełożona pokrótce streściła zakonnicom treść listu.

- Jego ekscelencja żałuje, ale musi w trybie nagłym zrezygnować z funkcji naszego spowiednika. Jego napięty kalendarz nie pozwala... i tak dalej. Jest przekonany, że obecny tutaj wielebny ojciec okaże się jego godnym następcą... i jest wielce nam wdzięczny za naszą dobroć i gościnność.

Było to niespodziewane, ponieważ biskup zdawał się zawsze uwielbiać towarzystwo zakonnice z klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej. Spoglądając na młodego księdza, o którego umiejętnościach miały już z góry wyrobioną niezbyt dobrą opinię, siostry zastanawiały się, dlaczego jego



ekscelencja podjął decyzję, która złamała im serca. Doszły do wniosku, że ma to związek z dzieckiem.

- Chcemy same przeczytać ten list - zażądała siostra Ana.

Matka przełożona popatrzyła na nią z szyderstwem w oczach.

- Nie mam obowiązku wam go pokazywać - powiedziała, jednak podała jej list.

Na samym dole kartki, pod tekstem napisanym na maszynie, biskup Estrada dopisał kilka słów odręcznie. Siostra Ana odczytała je: „Jeśli chodzi o kwestię sieroty, zamierzam poinformować o mojej decyzji we właściwej chwili. Tymczasem jestem pewien, że siostry będą kontynuowały opiekę nad nim z równie chwalebłą dobrocią jak do tej pory”.

Ana oddała list i opuściła zgromadzenie z lodowatym wyrazem twarzy. Kiedy chwilę później odezwał się dzwon, zwyciężyła własną frustrację i dołączyła do sióstr w kaplicy, gdzie ojciec Mateo zaczął przygotowywać się do niedzielnej mszy. Był to pierwszy raz, gdy samodzielnie stawał przed wiernymi i jego strach był widoczny - w niepewnym głosie, drżących dłoniach i popełnianych pomyłkach, na które matka przełożona reagowała ciężkimi westchnieniami.

Został wyświęcony zaledwie miesiąc temu, dlatego biskup Estrada uznał, że jego osoba to dobry wybór na kapłana i spowiednika dla zakonnic, pomimo jego niedoświadczenia, albo może właśnie z tego powodu. Pierwsze stanowisko, w zapomnianym klasztorze, miało być też dla niego dobrym sprawdzianem przed wysłaniem go do dużej parafii. Ojciec Mateo przyjął nominację bez sprzeciwów. Miał odprawiać mszę i słuchać spowiedzi w klasztorze

w każdą niedzielę i w najważniejsze święta. Biskup Estrada zapewnił go, że nie napotka tam żadnych problemów.

- Zakonnice są bardzo pobożne - powiedział. - Lecz jeśli natrafisz na coś nadzwyczajnego, przypominam ci o tajemnicy spowiedzi.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo - odparł młody człowiek, zaskoczony. - Doskonale to rozumiem.

Biskup zmierzył go świdrującym spojrzeniem.

- Dobrze. Bo w przeciwnym wypadku nie będę się wahał, żeby cię ekskomunikować.

Włożył rękę do kieszeni i po chwili wyciągnął z portfela kilka banknotów. Dał je młodemu człowiekowi, nie tyle ze szczodrości, ale żeby uczynić lżejszym ton rozmowy, która po jego wyraźnym ostrzeżeniu mogła być zbyt przytłaczająca dla młodego księdza.

- Proszę, ojcze. Kup sobie muła. Takiego, który nie zdechnie przynajmniej w tym roku - powiedział i zakończył rozmowę błogosławieństwem oraz ostatnią dobrą radą:

- Zawsze pilnie wykonuj w klasztorze swoje obowiązki i zaraz stamtąd wracaj. Nie spędzaj w klasztorze nocy, nawet gdyby przyszło ci wyruszyć w drogę powrotną po zmroku.

Siostra Maria Ines zjawiała się na mszy z dzieckiem w ramionach. Ojciec Mateo nie był tym zaskoczony. Biskup omówił z nim tę kwestię; od razu stała się dla niego ciężarem. Kiedy ksiądz zakończył mszę i poszedł do zakrystii, żeby zdjąć z siebie szaty liturgiczne - zadowolony, że wreszcie skończyła się jego udreka - matka przełożona pośpieszyła za nim.

- Jedna chwila, ojcze - powiedziała. - Musi ksiądz jeszcze ochrzcić dziecko.

Młody kapłan nie był przygotowany na taką prośbę. W tej sprawie nie otrzymał od biskupa żadnej instrukcji.

- Myślę, że to nie jest możliwe, matko.

- On ma już ponad miesiąc. Powinien już zostać ochrzczony.

- Tak, ale muszę zapytać o zdanie jego ekscelencję.

- Odmawiasz temu dziecku sakramentu chrztu?

- Nie, nie to miałem na myśli... - młody ksiądz błagalnie popatrzył w kierunku pozostałych sióstr, te jednak milczały.

- Opóźnianie chrztu może poważnie narazić jego szanse na zbawienie, ojcze - powiedziała siostra Maria Ines. - Przecież mogłoby mu się przytrafić coś złego.

- Tak, oczywiście. Tym niemniej...

- Nie masz prawa odmawiać chrztu, ojcze.

- Nie, oczywiście, że nie mam prawa. Niczego nie odmawiam. Myślę jednak, że gdybyśmy poczekali kilka dni... Może do następnej mszy? Do tego czasu porozmawiam z jego ekscelencją.

- Nie, ojcze. Musisz to zrobić dzisiaj. W przeciwnym wypadku będziesz odpowiedzialny za wszelkie zło, które mogłoby się przytrafić nieochrzczoneму dziecku.

Ojciec Mateo pokiwał głową.

- No cóż, dobrze.

Było już popołudnie, a przez małe okna wpadały do kaplicy piękne promienie jesiennego słońca, kiedy siostra Maria Ines wyjęła dziecko z koca. Niemowlę miało na sobie biały fartuszek. Uszyła ten strój sama i ozdobiła jedwabnymi cherubinkami oraz metalowymi cekinami, które odpruła od jednej z wielu swoich starych sukien, które trzymała w cedrowej skrzyni, skropione rozmarynem i posypane

liśćmi mięty, żeby nie dobierały się do nich mole. Myślała o tej chwili od momentu, w którym postanowiła zatrzymać przy sobie dziecko, jednak potrzeba ochrzczenia go stała się nadzwyczaj pilna po ataku psa. Siostra Maria Ines bała się, że chłopcu przytrafi się coś złego przed chrztem i z powodu braku chrztu nie dostąpi zbawienia.

- Gdzie znajduje się chrzcielnica? - zapytał ksiądz. Nie było potrzeby przechowywania chrzcielnicy w klasztorze. Matka przełożona skinęła na siostrę Beatriz i powiedziała do niej:

- Przynieś z kuchni misę do wyrobu ciasta. Ksiądz zacisnął zęby i milczał.

- Rodzice chrzestni? - zapytał po chwili.

- Tylko jedno - odparła matka przełożona. - Siostra Beatriz.

Zakonnica wróciła z misą i bez słowa wzięła na ręce dziecko.

- Jego imię?

- Renato - odparła siostra Maria Ines. - Ten, który urodził się po raz drugi.

Ksiądz zwilżył wodą święconą główkę dziecka i powiedział:

- *Renato ego te baptizo in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.*

Siostra Ana wyszła z kaplicy na samym początku ceremonii, przekonana, że chrzest jest kolejną częścią diabelskiego planu matki przełożonej. Kiedy obrzędy się zakończyły, siostra Beatriz oddała dziecko matce przełożonej, która poprosiła ojca Mateo, aby został w klasztorze na lunch. Pamiętając o radzie biskupa, ksiądz odmówił, tłumacząc się długą drogą powrotną. Zdjął szaty liturgiczne

i starannie je złożył, poprosił o marchewkę, aby łatwiej mógł zmusić muła do ruchu i wyruszył w drogę powrotną do miasta.

Po lunchu siostra Beatriz poszła do pokoju matki przełożonej, aby podziękować jej za obdarzenie rolą matki chrzestnej. Martwiła się jednak o przyszłość dziecka.

- Matko, nie sądzisz, że wkrótce jego ekscelencja znowu przekaże nam wiadomość?

- Mam taką nadzieję.

- Bardzo mnie martwi jego zwłoka. Boję się, że zdecyduje, aby się pozbyć dziecka. Może w tej chwili czeka na odpowiedź z sierocińca?

- Kto wie? - mruknęła matka przełożona. - Zawsze uważałam go za mądrego człowieka.

- Wszystkie siostry tak mówią. Zawsze bardzo uważnie ich wysłuchiwał.

- Myślę, że powinien również uważnie słuchać mnie. Ale odnoszę wrażenie, iż nie dał się przynajmniej zwieść kłamstwom siostry Any.

Siedziały, przypatrując się dziecku ubranemu w biały fartuszek.

- Myślę, że jego ekscelencja niezbyt nas lubi - powiedziała siostra Beatriz. - Gdyby było inaczej, z pewnością by nas nie opuścił.

- Lubi nas wystarczająco mocno - odparła matka przełożona. - Był naszym spowiednikiem, nie rodzicem.

- Matko, nie pozwól mu umieścić dziecka w sierocińcu.

Matka przełożona popatrzyła na siostrę Beatriz. W gruncie rzeczy była równie mocno zmartwiona sytuacją jak młoda zakonnica.

- Dla Renato nie ma miejsca w sierocińcu - powiedziała. -  
Przysięgam ci to i przysięgam to Bogu.

Właściwie nie wiedziała, kiedy chłopiec stał się jej dzieckiem, naprawdę jej własnym dzieckiem, ale kiedy w dniu jego chrztu stała obok kapłana i siostry Beatriz przy ołtarzu, uwierzyła ponad wszelką wątpliwość, że sama je urodziła. Uwierzyła w to z absolutną pewnością, pomimo niedorzeczności tego przekonania, mimo że poza nią nie wierzył w to nikt inny na świecie. Żadne argumenty przeciwne tej wierze nie mogły już do niej dotrzeć. Wiedziała, oczywiście, że nie spała z nikim po to, żeby go począć. Wiedziała też, że narodzin chłopca nie poprzedziła dziewięciomiesięczna ciąża. Dziecko było cudowną nagrodą za wyrzuty sumienia, które gnębiły ją przez te wszystkie lata. Karmiła je, kiedy było głodne. Ogrzewała, kiedy było mu chłodno. Ocaliła, kiedy znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I będzie tak postępowała do końca swoich dni. Ułożyła niemowlę w kołysce i powiedziała, odwrócona tyłem, do siostry Beatriz:

- Jutro ty będziesz opiekować się Renato. Ja muszę pojechać do miasta.

Miasto zbudowano w czasach rzymskich wzdłuż brzegów rzeki, która wpada do oceanu jakieś sto mil dalej, za błotnistym estuarium<sup>1</sup>, gdzie każdej jesieni przed odlotem do Afryki gromadzą się bociany. Minarety i inne ruiny imperium, dawno zagubione w annałach historii, wyrastają tu ponad brukowanymi placami, wśród starych pałaców i cudownych ogrodów, którymi opiekują się godni potomkowie babilońskich ogrodników; bo ci przecież przysięgali, że swoje sekrety przekażą tylko uprawnionym następcom. W mieście przetrwał także meczet pamiętający początki trzynastego wieku, jednak już dawno zamieniono go w katedrę o gigantycznych sklepieniach, kolumnach z jaspisu i marmuru, popękanej błękitnej kopule i dziedzińcu, na którym rosły drzewka pomarańczowe. Jedyłą prawdziwą i wciąż żywą pamiątką po czasach Maurów była pachnąca para, wydobywająca się ze starych łaźni, które zamknięto bezpośrednio po tym, jak chrześcijanie odbili miasto, ale - za zgodą Kościoła - później otwarto je znowu.

**\* Estuarium - z lac. *aestuarium*, „droga morska”. - Poszerzone, lejkowate ujście rzeki. Powstaje w wyniku działania pływów morskich (przyp. red.).**

---

<sup>1</sup>Zuchetto - nakrycie głowy przykrywające tonsurę, noszone pod biretem. Zróżnicowane kolorystycznie: papieskie - białe; kardynalskie - czerwone; biskupie - purpurowe; zwykłe, dla księży - czarne.

Kiedy zaczął wiać wiatr, wąskie uliczki wciąż rozbrzmiewały echem nieśmiertelnych wywodów starożytnych filozofów, którzy dawno temu próbowali nadać temu światu jakiś sens, rozdzierających serca krzyków tych, którzy ginęli, płonąc żywcem w okrutnych samospaleniach, i oszalałej muzyki współczesnych Cyganów. Zimy rzadko przynosiły tutaj mróz, jednak zawsze padał deszcz, który gasił ogniska podtrzymywane dzięki węglowi z Sierra Morena. Latem często zdarzały się susze i nieprawdopodobne gorąco, które przypiekało ziemię i sprawiało, że tliły się nawet kamienie brukowe. W gorącym powietrzu unoszącym się znad ziemi, cud katedry widoczny był z odległości wielu mil. Ubrany w sutannę i zuchetto<sup>2</sup>, biskup skrywał się wtedy przed obłędem letniej gorączki przy ołtarzu i zaspokajał pragnienie, popijając garściami wodę święconą z kropielnic, zmieszaną z płatkami róży i z lodem.

Minęło wiele czasu, odkąd siostra Maria Ines była ostatni raz w mieście. Jeździła tu zaledwie dwa razy w roku: pierwszy raz, aby uczestniczyć w radzie diecezjalnej, a drugi, aby przesiąść się na pociąg do stolicy i udać z doroczną wizytą do przełożonej generalnej. Poza tym była szczęśliwa, że może stronić od tego świata i z zadaniem zdobywania zaopatrzenia dla klasztoru posyłała do miasta siostrę Beatriz.

Dzisiaj niebo było jasne i czyste, dlatego zwinęła dach Forda, obojętna na zimny górski wiatr, towarzyszący jej w podróży, dopóki nie wjechała w dolinę, w której leżało

---

<sup>2</sup>Zuchetto - nakrycie głowy przykrywające tonsurę, noszone pod biretem. Zróżnicowane kolorystycznie: papieskie - białe; kardynalskie - czerwone; biskupie - purpurowe; zwykłe, dla księży - czarne.



miasto. Przejazd do miasta zabrał jej dwie godziny - znacznie więcej, niż się spodziewała - ponieważ kilka razy musiała się zatrzymać, żeby uzupełniać wodę w chłodnicy. Kiedy zobaczyła pierwsze zabudowania miasta, przeżegnała się z westchnieniem ulgi. Zostawiła samochód w jakimś warsztacie, żeby naprawiono w nim chłodnicę, a sama ruszyła wśród zabudowań w kierunku kolumn otaczających statwę Archanioła Rafała, strażnika miasta.

Niedaleko Rafała stał pałac biskupa, oddzielony od zgiełku ulicy rzędem topól, które na przestrzeni lat utworzyły ścianę gęstego listowia. Kiedy tylko siostra Maria Ines przekroczyła próg pałacu, krzyki sprzedawców, hałas samochodów i odgłosy końskich kopyt na bruku ucichły. Pod łukowym sklepieniem weszła na dziedziniec, na którym jedynym dźwiękiem był szum wody w małej fontannie, po czym po schodach udała się do poczekalni, gdzie za biurkiem siedział młody diakon i coś pisał. Zapytał ją, czy ma umówione spotkanie.

- Nie, ale mogę poczekać.

- To może potrwać naprawdę długo - powiedział diakon słodkim głosem.

- Trudno - odparła siostra Maria Ines. - Czekałam przez całe życie.

Mężczyzna zrobił krzywą minę i zaczął udawać, że przegląda gruby dziennik korespondencji, rozłożony przed nim na biurku. Wreszcie, bez pośpiechu, wstał zza biurka, otworzył drzwi do gabinetu biskupa - na tyle tylko, żeby się wślizgnąć do środka - wszedł i po chwili wyszedł z niego przez cały czas z taką samą niechętną miną.

- Jego ekscelencja przyjmie siostrę teraz - powiedział.

Biskup był w lepszym nastroju niż jego sekretarz. Poprosił matkę przełożoną, aby usiadła na złoconej sofie i pozwolił sobie na beztroski komentarz:

- Obawiam się, że meble w tym pokoju są zbyt mocno zdobione, by mogły być wygodne - usiadł w fotelu i dodał z humorem:

- Podejrzewam, że specjalnie tak je wykonano, żeby wszelkie wizyty były krótkie... Ale siostry to nie ftotyczy, pozostanie tu siostra tak długo, jak długo będzie chciała.

Po chwili ciszy, która zdawała się przeciągać w nieskończoność, zapytał:

- Co siostra sądzi o ojcu Mateo?

- Nie spodziewałyśmy się go.

- Nie są siostry z niego zadowolone? Siostra Maria Ines odparła, że są zadowolone.

- Wiem, że nie jest doświadczony, ale jest bardzo zdyscyplinowany - powiedział biskup Estrada. - Proszę, pojdźcie do niego z cierpliwością. Było mi bardzo trudno znaleźć kogoś, kto gotów byłby pełnić posługę w miejscu tak bardzo oddalonym od wszystkich innych.

- Lubimy sobie przypominać, że z tego powodu znajdujemy się bliżej Boga, wasza ekscelencjo.

- W rzeczy samej - zgodził się biskup. - Ale żeby co niedzielę dostać się do nieba i z powrotem biedny ojciec musi spędzać dziesięć godzin na mule.

Matka przełożona nie chciała rozwijać tematu.

- Jest u nas bardzo mile widziany - stwierdziła. - Osobiście postaram się udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy.

Zapadła cisza. Widać było, że biskup intensywnie myśli. Dopiero po chwili odezwał się:

- Opowiedział mi między innymi o chrzcie.

- Mam nadzieję, że wasza ekscelencja nie uważa za nie-  
stosowną mojej prośby w tej kwestii, którą przedstawiłam ojcu  
Mateo?

Biskup uśmiechnął się.

- Ty go o nic nie prosiłaś, siostró. On twierdzi, że zmusiłaś  
go do udzielenia chrztu. No, ale tak czy inaczej, nie widzę w  
tym nic złego.

- Żałuję, że to nie wasza ekscelencja udzielił tego sakra-  
mentu. Ale to moja wina. Zagapiłam się i nie poprosiłam o  
ochrzczenie dziecka podczas ostatniej wizyty ekscelencji w  
klasztorze.

Biskup Estrada pamiętał, że ostatnio opuścił klasztor, nie  
odprawivszy mszy świętej, mimo złożonej obietnicy.

- Byłby to dla mnie zaszczyt - powiedział. - Musiałem  
jednak wyjechać. Był to jeden z tych przypadków, kiedy  
obowiązki zmuszają mnie do podróży, mimo że nie mam ku  
temu najmniejszej ochoty.

Siostra Maria Ines wzięła głęboki oddech i odezwała się:

- Przyjechałam, ponieważ ostatnio nie mieliśmy okazji,  
żeby porozmawiać w cztery oczy.

- W rzeczy samej, wiem, o czym chcesz rozmawiać, sio-  
stro. Ale cieszę się, że mnie odwiedziłaś. Nie chcę, żebyś  
myślała, że cię ignoruję, albo że jestem wobec ciebie nie-  
szczyry czy niesprawiedliwy.

- Nigdy w ten sposób nie myślałam, wasza ekscelencjo.

- To dobrze - powiedział biskup Estrada i wstał. Stał  
przy oknie, którego ciężkie zasłony były teraz odsunięte.  
Szyby osłaniały jedynie muślinowe firanki. Rozsunął je  
palcem i popatrzył na wysoką kolumnę oraz na posąg  
Archanioła na placu.

- Twoja prośba jest bardzo niezwykła - powiedział. -  
Bardzo niezwykła.

- Nie chodzi mi o nic więcej niż o spełnienie chrześcijańskiego obowiązku.

- Czyżby? Nie jestem o tym przekonany. Jak wiesz, w mieście funkcjonuje sierociniec.

- W tego typu instytucji... Oczywiście, to wielki dar od Boga, że taka placówka w ogóle istnieje. Wiem o współpracy ekscelencji z tą instytucją. Ale, zważywszy jak wiele dzieci tam się znajduje, jestem pewna, że Renato nie uzyskałby w sierocińcu takiej opieki i miłości, jakiej zazna w klasztorze.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która chce, żeby tam pozostał.

- Wierzę, że siostra Beatriz całkowicie zgadza się ze mną, wasza ekscelencjo. Darzy dziecko ogromnym uczuciem.

Biskup bez entuzjazmu pokiwał głową.

- Och tak, siostra Beatriz.

- Jestem gotowa zrobić dla tego chłopca dosłownie wszystko. Będę się nim opiekowała, przynajmniej do czasu, kiedy osiągnie wiek, w którym pójdzie do szkoły.

- Nie musiałaś truć psów, siostro.

- Nie żałuję tego. Obawiałam się, że zrobią mu krzywdę. Oczywiście, jest mi bardzo żal siostry Carloty.

W gruncie rzeczy biskupa wcale nie obchodziły psy.

- Dziecko należy zarejestrować - powiedział. - I zawsze istnieje możliwość, choćby nie wiadomo jak niewielka, że ujawni się jego prawdziwa matka.

- Och, nie ma żadnej matki, wasza ekscelencjo.

- Słucham?

Siostra Maria Ines zawahała się, czy powiedzieć biskupowi, że pojawienie się dziecka było cudem. Po krótkiej chwili uznała jednak, że nie powinna tego robić, powiedziała po prostu:

- Chodzi mi o to, że matka, która porzuca dziecko, nie zasługuje, żeby ją określać tym mianem.

- Mimo to w kategoriach prawa wciąż jest matką - zauważył biskup. - No i mamy jeszcze do czynienia w klasztorze z tajemnicą zakrwawionego prześcieradła.

Opowiedział siostrze szczerym i poważnym głosem o prześcieradle, które pokazała mu siostra Ana, a także o wspólnych z nią poszukiwaniach w klasztorze większej liczby dowodów na istnienie zła. Siostra Maria Ines nie okazała żadnych emocji, kiedy biskup powiedział, że Ana podejrzewa ją o obcowanie z Szatanem.

- Nie muszę ci mówić, oczywiście - dodał - że ani trochę nie wierzę w te wszystkie jej wynurzenia. - Tym niemniej oskarżenia przepelniały go niepokojem i przerażeniem, ponieważ mogły być wyłącznie produktami niezrównoważonego umysłu.

- Chciałbym jednak usłyszeć twoje zdanie na ten temat - zakończył.

- Nie widziałam tego prześcieradła - powiedziała siostra Maria Ines. - Jednak jest to niewątpliwie sfabrykowany dowód.

Biskup popatrzył na nią ostro.

- Ty też tak uważasz?

- Przecież do tego wystarczy odrobina farby.

- Wiem. Jednak należy przyznać, że siostra Ana jest autentycznie przerażona.

- Mam nadzieję, że wasza ekscelencja nie daje wiary oskarżeniom, iż jestem opętana.

- Nie, siostro. Po prostu wierzę, że prześcieradło mogło znajdować się w ziemi od wielu lat. Fakt, że ktoś je zakopał jest dziwny, oczywiście, jednak nie wierzę z kolei, że ma ono cokolwiek wspólnego z tobą lub z dzieckiem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał diakon.

- Tak, tak, już idę, Ignacio - powiedział biskup" Estrada.

- Dziękuję ci.

Młody człowiek wyszedł i biskup rozłożył ręce w geście bezsilności.

- Ciągłe jestem zajęty. W każdym razie, siostro, podziwiam twoje oddanie temu biednemu dziecku. Serce mi mówi, żeby pozwolić ci je zatrzymać.

Siostra Maria Ines wstała z sofy i ukloniła się, żeby pocałować pierścień na palcu biskupa.

- Dziękuję, wasza ekscelencjo. Na pewno ekscelencja tego nie pożałuje.

Biskup cofnął rękę.

- Wstrzymaj się z podziękowaniami. Jeszcze nie podjąłem decyzji, pamiętaj. Muszę sprawę starannie przemyśleć

- westchnął. - To wszystko jest trudniejsze niż umieszczenie koła w kwadracie. Siostra Ana to tylko jedna zmienna w równaniu. A co z pozostałymi siostrami? One także się z tobą nie zgadzają.

- Tylko z powodu Any. Gdyby wasza ekscelencja spowodował przeniesienie jej w inne miejsce, jestem pewna, że reszta sióstr przejrzałaby na oczy.

Na tym zakończyli rozmowę. Siostra Maria Ines znowu się ukloniła i tym razem biskup Estrada pozwolił jej ucałować pierścień, co miało być cichym potwierdzeniem,

że prawdopodobnie będzie działał na jej korzyść. Wyszła z jego gabinetu znacznie spokojniejsza niż wtedy, gdy tu wchodziła, po czym nieśpiesznie udała się ku wyjściu. Niechętna perspektywie opuszczenia tego rajku i kolejnego zmierzania się z szaleństwem miasta - które po wielu latach, jakie spędziła w samotności, przerażało ją - usiadła na ławce ustawionej na dziedzińcu i zaczęła podziwiać pogodne piękno ogrodu. Dookoła nie było nikogo. Zafascynowana wesoło spływającą wodą, w fontannie kąpała się para ptaków. Siostra María Inés była szczęśliwa. Po chwili na brzegu fontanny usiadło jeszcze więcej ptaków. Zakonnica wypięła zza paska różaniec, wzięła go do ręki i zaczęła:

— *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...*

Nie była nawet w połowie dziesiątki różańca, kiedy na dziedzińcu pojawił się diakon i zapytał, czy chce czegoś jeszcze. Wyczuwszy, że jest tutaj niemile widziana, szybko dokończyła modlitwę i sobie poszła.

Samochód, który zostawiła w warsztacie, nie był jeszcze gotowy i musiała poszukać miejsca na lunch. Kiedy wróciła z posiłku, warsztat był zamknięty. Zapomniała, że przecież jest czas sjeisty - sama nigdy popołudniami nie sypiała. Poszła na powolny spacer przez śpiące miasto i chodziła po nim tak długo, dopóki nie nadszedł czas ponownego otwarcia warsztatu. Podziwiała frontowe okna kamienic, które właściciele przyozdobili żelaznymi kratami ukwieconymi przepięknymi różami i jaśminem.

Sierociniec Świętego Rafała Uzdrowiciela stał na skraju miasta. Zbudowany został przy wsparciu biskupa Estrady, który był jego pomysłodawcą - stanowił dla niego priorytet od momentu, w którym objął urząd. Jego

wybudowanie było ważniejsze od wznoszenia w diecezji kolejnych kościołów. W imieniu Kościoła ofiarował ziemię pod budowę placówki, zapłacił za umeblowanie, opowiadał o nim w każdej parafii w diecezji i co roku organizował kiermasz dobroczynny, z którego dochód przeznaczano na jego utrzymanie. Początkowo decyzja o budowie placówki wywołała skandal wśród najbardziej pobożnych członków lokalnej społeczności, którzy interpretowali jego hojne wsparcie dla sierot jako otwartą zachętę do grzechu cudzołóstwa. Jednak Watykan stanął po jego stronie, a list poparcia, wystosowany przez samego papieża Piusa XI, odczytano w każdej parafii diecezjalnej, aby udobruchać przeciwników sierocińca. Tym niemniej wiele osób po prostu wątpiło jeszcze w autentyczność pieczęci papieskiej i wykonanego czerwonym atramentem podpisu papieża. Od tego czasu minęło kilka lat i do tej pory wszyscy zaakceptowali miłosierdzie i dalekowzroczność biskupa Estrady, jednak pieniądze na sierociniec, zbierane co roku na kiermaszu, nie wystarczały. Placówka cierpiała na chroniczny brak pieniędzy, a jej sytuacja pogarszała się w miarę, jak w mieście - i to w szybkim tempie - przybywało sierot.

Siostra Maria Ines przyszła tu po raz pierwszy. Od razu uderzyło ją symboliczne podobieństwo pomiędzy walizką znaną przy schodach w klasztorze a nocnym depozytariuszem dla niemowląt. W jednej ze ścian, obok zamykanej bramy wejściowej do sierocińca, znajdowała się niewielka wyłożona kocami wnęką. W tym miejscu w nocy można było zostawiać dzieci, w absolutnej tajemnicy i mając pewność, że z samego rana dziecko odbierze pielęgniarka.



Do głównych drzwi prowadziła szeroka brukowana aleja. Drzwi wejściowe były proste i surowe, znajdowały się na poziomie ścieżki. W budynku wyłożona kafelkami podłoga, zamknięte okna i nagie ściany odbijały głosy niewidocznych dzieci. W korytarzu zjawiała się pielęgniarka w niebieskim fartuchu, białym bezrękawniku i wykrochmalonej czapeczce. Zaskoczyła siostrę Marię Ines niezrozumiałym powitaniem:

- Miło znów siostrę widzieć.
- Nie znam pani - zauważyła Maria Ines.
- Spotkałyśmy się w zeszłym roku.
- Obawiam się, że to pomyłka.
- A ja ciągle pamiętam naszą dyskusję o instytucji i dzieciach.
- Rozmawiała pani z kimś innym. Nigdy wcześniej mnie tutaj nie było, proszę pani.

Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

- Przepraszam. Cóż, to całkiem możliwe. Chodzi o habit i welon siostry. Wszystkie jesteście do siebie bardzo podobne. Z nami, pielęgniarkami, jest ten sam problem.

- W zeszłym roku odwiedziła was zakonnica? - zapytała siostra Maria Ines. - Taka jak ja, w białym habicie?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Chyba tak, owszem. Ale nie powiedziała mi swojego imienia.

Siostra Maria Ines musiała się jeszcze nad tym zastanowić. W tej chwili chciała tylko obejrzeć sierociniec. Pielęgniarka z radością zgodziła się być jej przewodniczką. Poprowadziła ją korytarzem; z paska zwisał jej ciężki pęk kluczy, dzwoniących przy każdym kroku. Mimo gorącego lata, na ścianach i suficie widoczne były plamy wilgoci.

Wszędzie panował odór mydła fenolowego, a co krok można było zauważyć oznaki zaniedbania. W każdym pokoju ustawiono rzędy żelaznych łóżek, z których w kierunku siostry Marii Ines spoglądały młodziutkie twarze. Dzieci ogolono na zero, aby zapobiegać rozmnażaniu się wszy. Odgadując myśli siostry, pielęgniarka powiedziała:

- Robimy, co w naszej mocy.

Siostra Maria Ines pokiwała głową z sekretnej\* satysfakcją. To, co tutaj zobaczyła, jeszcze wzmocniło jej postanowienie, aby zatrzymać dziecko. W klasztorze przynajmniej nie będą mu grozić żadne choroby. Doskonale znała zagrożenia dla dzieci przebywających w dużych grupach. Pasożyty, choroby zakaźne, dyzenteria, zapalenie wątroby... Wszystko to widziała w Afryce. Pielęgniarka mówiła coś, jednak zakonnica nie zwracała na nią uwagi. Myślała już o tym, jak samodzielnie będzie nauczać Renato, przynajmniej tak długo, dopóki nie będzie go trzeba posłać do szkoły średniej. Wiedziała wszystko, czego należałoby nauczyć dziecko. A podręczniki mogła zamówić pocztą.

Wróciły do przedsionka i po chwili siostra Maria Ines z ulgą wyszła na powietrze. Pielęgniarka ciągle mówiła:

- ...które szczerze ofiarował nam jego ekscelencja. W następnym roku planujemy...

Matka przełożona pożegnała się uprzejmie i poszła w stronę warsztatu samochodowego. Teraz powróciło do niej pytanie: która z jej podopiecznych odwiedziła sierociniec? W ubiegłym roku każda z sióstr była w mieście przynajmniej raz. Być może ta wiadomość nie miała znaczenia, rozmyślała. Może była tutaj w wolnym czasie zakonnica z innej diecezji? A może jednak któraś z jej zakonnicek - z grzeczności albo po to, żeby złożyć jakiś datek,

o którym nie chciała, aby wiedziały inne siostry? Mimo wszystko należało się nad tym zastanowić. Teraz jednak musiała się śpieszyć. Bardzo tęskniła za Renato, przecież po raz pierwszy zostawiła go na dłuższy czas. Warsztat przy końcu ulicy był już otwarty po przerwie na sjęstę, a Ford czekał na nią, naprawiony.

Siostra Ana była bardzo zdenerwowana. Spodziewała się, że biskup do tego czasu dawno już nakaze matce przełożonej oddać dziecko odpowiednim władzom. Nie rozumiała, dlaczego niezbite dowody na satanistyczne praktyki, które mu okazała, nie zaalarmowały go. Kiedy tylko wyjechał z klasztoru, siostra Ana wróciła do swojej celi, rzuciła się na łóżko i wybuchła szlochem, ponieważ on, jedyna osoba na świecie, której ufała, nie uwierzył jej. Była pewna jego dobroci, podziwiała jego inteligencję, wierzyła że jest prawy i sprawiedliwy, a zatem o to, że jej nie zrozumiał, powinna winić wyłącznie siebie. Z głową wtuloną w poduszkę łkała, wielce sfrustrowana, ponieważ nie miała wątpliwości, że z dzieckiem z walizki związane jest jakieś zło. Niestety, do swoich racji nie potrafiła przekonać nikogo innego.

Łkając, zdała sobie sprawę, że nie kieruje już nią nieufność wobec matki przełożonej, ale głęboka wiara w Boga. Ganiła się za to, że nie spodziewała się próby, jakiej została poddana. Gdyby była bardziej przewidująca, uważnie obserwowałyby wszystkie wydarzenia, starannie przemyślałyby opcje własnego postępowania przed przystąpieniem

do ostatecznego rozwiązania zagadki i dopiero wtedy miałyby szansę na pokonanie demonów, które obiegiły klasztor. W pewnej chwili przestała płakać, wytarła łzy i rozpoczęła modlitwę:

- *Pan jest moim światłem i moim zbawieniem...*

Zawsze modliła się chętnie i długo. Wytarła nos w rękaw habitu. Wkrótce całkowicie już panowała nad sobą. Obiecała sobie, że odtąd nie uroni ani jednej łzy, dopóki nie zatriumfuje nad złem.

Na sztalugach rozwieszono było płótno, które zaczęła malować zaledwie przed kilkoma dniami. Przedstawiało świętego Jerzego, zabijającego smoka. Popatrzyła na niego, teraz jednak nie miała nastroju do malowania. Potrzebowała odpoczynku, zanim wznowi poszukiwania prawdy o dziecku. Położyła się pod koc, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Do celi weszła siostra Teresa.

- Czego chcesz? - zapytała siostra Ana.

- Chciałabym pożyczyć od ciebie gramofon. Posłuchałabym moich płyt.

- Matka mogłaby usłyszeć.

- Pojechała do miasta.

- Niewątpliwie na spotkanie z jego ekscelencją - westchnęła siostra Ana.

Od czasu incydentu z płaczącym dzieckiem, kiedy matka przełożona zbesztła ją za jej śpiewanie, siostra Teresa nie odtwarzała płyt w obawie, że jeśli matka przełożona złapie ją na tym jeszcze raz, to ją ekskomunikuje. Siostra Ana skinęła głową w kierunku stołu, na którym znajdował się gramofon, ale nagle zmieniła zdanie.

- Nie - powiedziała. - Przynieś swoje płyty do mnie.

Siostra Teresa poświęciła całe lata na skompletowanie dużej kolekcji. Na płyty wydawała niemal wszystkie pieniądze, jakie matka przełożona wypłacała co miesiąc każdej z sióstr; były to drobne zyski ze sprzedaży opłatków. Teraz pobiegła po kilka płyt, nakręciła gramofon i zdjęła but, aby założyć skarpetkę na tubę. Siostra Ana powstrzymała ją.

- Nie musisz tego robić. Nikt przecież nie powie matce przełożonej, że słuchałaś płyt.

Wśród gołych ścian muzyka rozbrzmiała głośno i melodyjnie. Siostra Teresa zaczęła przytupywać do rytmu, a potem zanuciła melodię.

- Śpiewaj, jeśli chcesz - powiedziała siostra Ana. - Nie mam nic przeciwko temu.

Zakonnica zaczęła śpiewać cichym głosem. Kiedy płyta skończyła się, poprosiła siostrę Anę o zgodę na ponowne jej odtworzenie. Później słuchała tej samej melodii jeszcze kilkakrotnie. Za każdym razem śpiewała coraz lepiej, jednak czerwieniła się z zakłopotania. Z zamkniętymi oczyma udawała swoich muzycznych idoli, których fotografie chowała pomiędzy kartami książek religijnych. Nigdy dotąd nie śpiewała przy nikim muzyki popularnej, jedynie psalmy w kaplicy, wkrótce jednak jej zakłopotanie minęło i była nawet zadowolona, że ma publiczność, chociażby jednoosobową. Poprosiła o odrobinę wody, zmieniła płytę i rozpoczęła kolejną piosenkę.

Wierzyła, że jej głos jest darem od Boga i niekorzystanie z niego byłoby grzechem, nawet jeśli teksty jej ulubionych utworów były - co przyznawała - zbyt śmiałe, aby mogła je powtarzać zakonnica. Wiedziała, że nigdy nie przekona matki przełożonej, aby pozwoliła jej śpiewać. Cieszyła się jednak, że przynajmniej siostra Ana jest po jej stronie.

Polubiła ją za to, mimo że starsza zakonnica nie miała poczucia humoru, bywała złośliwa no i z maniackim uporem czepiała się niewinnego dziecka, które przecież nie miało nikogo na świecie. Siostra Teresa zapomniała się w swoim śpiewie, śpiewała najlepiej jak potrafiła, bez trudu sięgając wysokich rejestrów i z wielką łatwością przechodząc od nastrojowych *bulerías* do uroczystych *malagueñas*.

Wkrótce po porannym wyjeździe matki przełożonej zaczął padać deszcz i aż do tej pory nie przestał. Woda przemoczyła puste gniazda na kominach, zamieniła dziedziniec w sadzawkę pełną błota i zaspokoila pragnienie umarłych, czekających na zbawienie pod obrośniętymi mchem nagrobkami na przyklasztornym cmentarzu. Siostra Ana słuchała śpiewu siostry Teresy. Mimo że piosenki się jej nie podobały, nic nie mówiła. Tymczasem Teresa skończyła kolejną piosenkę i zapytała:

- Chcesz jeszcze słuchać, siostrze?

-Tak, oczywiście.

Młoda zakonnica wzięła ze sterty kolejną jedną płytę, tymczasem siostra Ana podeszła do okna. Dziedziniec zalała powódź. Woda miała pozostać na nim przez większość zimy, a po opadach śniegu powinna zamienić się w cienki lód. Jedna z zakonnicek, kryjąc się pod parasolem, przeszła pod oknem, a potem przecięła dziedziniec, lawirując pomiędzy kałużami. Siostra Ana przyglądała się jej obojętnie. Poczowała, że coś uderzyło ją w policzek i popatrzyła w górę na przeciekający sufit. Ustawiła wiadro, żeby łapało deszczówkę i krople wody zaczęły z hałasem do niego kapać. Gramofon odtwarzał kolejne melodie, a siostra Teresa wciąż śpiewała. Siostra Ana skoncentrowała myśli na wydarzeniach ostatnich tygodni. Spróbowała sobie

przypomnieć wszystko od chwili, kiedy matka przełożona poinformowała o znalezieniu dziecka. Stara walizka, zakrwawione prześcieradło, wysprzątana podłoga w rogu dużej sali opuszczonej szkoły dla nowicjuszek. Bez końca powtarzała sobie w myślach konkretne wydarzenia i próbowała wyobrazić sobie jakieś szczególne incydenty, które miały miejsce dni, tygodnie, a nawet miesiące przed pojawieniem się niemowlęcia... Cokolwiek, co by tylko miało jakieś znaczenie. Ku jej zaskoczeniu nie było to trudne, ponieważ życie w klasztorze toczyło się zgodnie z ustaloną rutyną, z której łatwo było wyodrębnić nadzwyczajne zdarzenia. W miarę jak wspomnienia przebiegały w jej głowie, pogłębiały się zmarszczki na jej czole, w pewnej chwili nawet wstrzymała oddech. Nagle szeroko otworzyła oczy, a z jej płuc wydobyło się westchnienie tak głębokie, że siostra Teresa stanęła jak wryta w połowie piosenki.

Siostra Ana wreszcie rozwiązała zagadkę dziecka, znalezione w walizce.

Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki muzyki, kilka drzwi dalej siostra Beatriz przewijała chłopca. Rozpoznała flamenco, które zapamiętała z tych spokojnych niedziel, zanim jeszcze w klasztorze zaczęły się kłopoty. Siadywała wówczas przy stole i czytała, a wesołe nutki z lekko osłoniętej tuby gramofonu, znajdującego się za ścianą, wędrowały do jej celi i nie pozwalały jej uczyć się na pamięć słów ojców Kościoła. Kiedy usłyszała głos siostry Teresy, najpierw cichy i pełen wahania, była zadowolona: klasztor zaczął w końcu odzyskiwać pewien poziom normalności. Skończyła przewijanie Renato, przykryła go kocem i popatrzyła na niego



z podziwem i miłością. Matka przełożona nie poprosiła jej o opinię, jednak Beatriz polubiła imię, które mu nadano. Postanowiła, że zabierze dziecko, aby posłuchało muzyki. Naciągnęła mu koc na głowę i trzymając go w rękach, wyszła z celi. Przeszła kilka kroków w kierunku pomieszczenia, w którym spodziewała się posłuchać muzyki. Jednak po chwili zrozumiała, że dźwięki gramofonu nie dobiegają z celi siostry Teresy, lecz z celi siostry Any. Rozczarowana, ponieważ zdawała sobie sprawę, że nie ma możliwości, aby Ana wpuściła ją z chłopcem do swojej celi, zawróciła. Poszła do refektarza, zabrała parasolkę i postanowiła zrobić sobie z dzieckiem mały spacer dookoła klasztoru.

Wśród gęsto padającego deszczu przecięła dziedziniec. Buty od razu jej przemokły, a zimny wiatr zaczął wdzierać się pod habit, jednak nic nie było w stanie zburzyć jej dobrego nastroju. Po długiej przerwie znowu była szczęśliwa i przekonana, że matka przełożona przekona biskupa, aby pozwolił zatrzymać dziecko na terenie klasztoru. Renato kilkakrotnie zakaszał, mocniej owinęła go kocem. Zabrała sierotę do ogrodu, gdzie ostatnie kwiaty tego roku wyrastały prosto z błota. Po chwili minęła miejsce, w którym siostra Ana natrafiła na zakopane prześcieradło. Wracając ze spaceru, usłyszała dzwon, wzywający na popołudniową modlitwę.

Pora, by nakarmić dziecko. Tego dnia rano matka przełożona powiedziała Beatriz, żeby modliła się w swojej celi i nie zabierała dziecka do nieogrzewanej kaplicy, ponieważ mogłoby się tam przeziębienie. Byłaby zła, gdyby się dowiedziała, że poszła z nim na spacer w tak rzęsistym deszczu. Nie był to jednak pierwszy raz, kiedy to młoda zakonnica nie posłuchała przełożonej - gdy tylko miała taką możliwość,

nie karmiła go z miski. Dzisiaj nie musiała się martwić, że zostanie na tym złapana. Matka przełożona była daleko, a siostry za chwilę miały modlić się w kaplicy. Odczekała, aż zaczną modły, po czym skierowała kroki do swojej celi. Położyła dziecko w kołysce i zaczęła się rozbierać.

Przez cały ten czas siostra Ana nie próżnowała. Była przekonana, że znalazła rozwiązanie zagadki, jednak postanowiła to zachować dla siebie. Kończąc krótkie zawieszenie broni w swojej wojnie ze wszystkimi, odprawiła siostrę Teresę, mówiąc opryskliwie:

- Dosyć muzyki na dzisiaj. Mam poważniejsze sprawy.

Kiedy została sama, jeszcze raz popatrzyła na zakrwawione prześcieradło, aż nie wierząc, że prawda, która teraz wydawała się taka oczywista, nie przyszła jej do głowy wcześniej. Odłożyła prześcieradło i udała się do pokoju matki przełożonej. Weszła do środka, nie pukając. Nie było tu ani siostry Beatriz, ani dziecka. Zaczęła szukać w refektarzu, kuchni i kaplicy, ale nigdzie na nich nie natrafiła. Wyszła bez parasola na deszcz, ciągle poszukując młodej zakonnicy. W końcu, kiedy rozległ się dzwon na modlitwę, dostrzegła ją, jak z dzieckiem w ramionach zmierza do swojej celi. Przemoczona, siostra Ana podążyła za nią, w sporej odległości. Wreszcie otworzyła drzwi jej celi i prawda, która objawiła się jej trochę wcześniej, zyskała potwierdzenie. Siedząc przy oknie, ubrana jedynie w bieliznę, siostra Beatriz karmiła dziecko piersią.

Mimo trafnych przypuszczeń, jej zdaniem będących bez wątplenia efektem boskiego objawienia, siostra Ana w gruncie rzeczy nigdy nie zdołała odgadnąć całej prawdy. Jej korzenie sięgały bez mała trzech lat wstecz, kiedy biskup Estrada postanowił zostać spowiednikiem zakonnice klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej. Nie wiedział wtedy, że Szatan zastawia na niego pułapkę. Nie można było zaprzeczyć, że jego wiara jest bardzo głęboka i że ma wielkie talenty dyplomatyczne; dyplomację zresztą gruntownie studiował w młodości. Błędem z jego strony była jednak nadmierna pewność, że jest w stanie poradzić sobie z każdą pokusą. W tym konkretnym przypadku Szatan nie zapytał go, czy naprawdę wierzy w Boga, ani nie zaprosił do negocjacji dyplomatycznych, w których stawką byłaby jego dusza, lecz po prostu zadał mu nokautujący cios w chwili, w której biskup najmniej się tego spodziewał.

Czas, który spędził z dezerterem skazanym na śmierć, wstrząsnął jego wiarą w naturalne dobro tego świata i nakazał mu poszukać jakiegoś sanktuarium. Walcząc z powtarzającymi się atakami bezsenności, zaczął nosić w sekretnej kieszeni sutanny srebrną tabakierkę z pigułkami. Po połknięciu

jednej pigułki zasypiał natychmiast, gdy tylko położył głowę na poduszce i spał długo i twardo, bez żadnych przerw oraz snów. Problem polegał jedynie na tym, że mógł zażywać pigułki tylko wieczorem, bo w innym wypadku spóźniał się na wszelkie spotkania. Zatem jego sjesty pozostawały wielkimi popołudniowymi udrekami, które musiał znosić, leżąc rozebrany w łóżku i czekając, aż nadejdzie czas na powrót do pracy. Jego sypialnia znajdowała się Wśamym rogu na najwyższym piętrze pałacu. Będący zarówno jego oficjalną rezydencją, jak i centrum administracyjnym diecezji, pałac miał okna wychodzące na rzekę. Widać było przez nie odległy dach sierocińca Świętego Rafaela Uzdrowiciela

- największego osiągnięcia biskupa. W uznaniu jego wysiłków, bez których sierocińca z pewnością by nie zbudowano, w dniu otwarcia poproszono go o przecięcie wstęgi. Następnie wygłosił emocjonalne przemówienie o tym, że społeczeństwo nie może odwracać się plecami do niewinnych ofiar swojej własnej lekkomyślności, lecz musi się nimi opiekować z oddaniem i szczodrobiwością.

- Kiedy ludzie przestaną grać w kości z życiem innych  
- mówił - zniknie potrzeba utrzymywania takich miejsc, jak to. Obym się mylił, jednak mam taką wielką obawę, że chwila ta nie nadejdzie ani za życia naszego, ani w ogóle w żadnym dającym się przewidzieć czasie.

Na środku pokoju stało wielkie łóżko w stylu rokoko, wykonane z brazylijskiego mahoni, który wciąż pachniał dżunglą. Na tym łóżku został poczęty, w tym łóżku się urodził i w tym łóżku spokojnie, ze starości, umierali jego rodzice, w odstępie kilku lat. Motywowany mniej sentymentalizmem, a bardziej desperacką nadzieją wyleczenia się z udreki codziennych sjest, biskup Estrada kazał przywieźć

to łóżko z domu rodzinnego i kładł się spać pod jego jedwabnym baldachimem, ozdobionym herbem rodziny, której linia miała wygasnąć wraz z nim. Jednak szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa, zachowane pod wieloma warstwami lakieru, nie pomagały mu. Nie zażywszy wcześniej cudownych pigułek nasennych, przewracał się i rzucał po tym wspaniałym łóżku przez całe popołudnia i wstawał do pracy jeszcze bardziej zmęczony niż przed udaniem się na sjęstę. W tajemnicy przed wszystkimi, na wszelki wypadek zaczął w stolicy odwiedzać hipnotyzera, który starał się hipnotyzować go wahadełkiem, jednak biskup Estrada wierzył raczej we współczesną naukę i wszelkie próby hipnotyzera spaliły na panewce.

Zatem kiedy zaczął jeździć do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, cieszył się z możliwości opuszczania miasta swych popołudniowych mąk i oddychania czystym, górskim powietrzem. Nie spodziewał się jednak, że w gruncie rzeczy niedziele w klasztorze będą odpowiedzią na jego modlitwy. Wkrótce, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, odkrył, że sypia o wiele spokojniej, dobrze wypoczywa, a w jego snach wszelkie demony zastąpiły obrazy tak niewinne i optymistyczne, jakich nie widywał od lat. Opuściło go przygnębienie. Przestał zażywać pigułki nasenne i ze zniecierpliwieniem oczekiwał comiesięcznych wizyt w klasztorze. Stały się one dla niego fontanną młodości. Jeździł tam nowym Fordem model T, jednym z pierwszych, jakie przetransportowano na kontynent z Ameryki. Matka przełożona i pozostałe zakonnice zawsze czekały na niego przed bramą, uprzedzane o jego przyjeździe przez przestraszone ptaki, nienawykłe do hałasu silnika samochodowego. Kobiety miały dla niego dzban lodowato zimnej wody, z którego zawsze wypijał

najpierw kilka szklanek. Dopiero później podawał do ucałowania swój pierścień i wchodził na teren klasztoru.

Pewnego niedzielnego poranka, wkrótce po tym, jak siebie samego mianował spowiednikiem zakonnic z klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, wyjechał z miasta o tej samej porze co zawsze, w dobrym nastroju, uradowany perspektywą kolejnej wizyty w tym magicznym miejscu. Za samochodem zostały ostatnie ślady cywilizacji i pojazd powoli zaczął pięć się w górę drogą, z której korzystali przede wszystkim drwale, transportujący wtedy drewno z lasu od czasów, w których budowano karawele. Ubrany w płaszcz, skórzany kask lotniczy i skórzane rękawice, monotonię podróży biskup Estrada zabijał, śpiewając *zarzuele* Amadeo Vivesa, Pablo Luny i Jacinto Guerrero, popularne wówczas w całym kraju, prześladowane ludzi nawet we śnie. Zimny wiatr uderzał go w twarz, koła samochodu podskakiwały na nierównej nawierzchni drogi, ale biskup był szczęśliwy.

Trochę później, kiedy Ford zbliżał się do ostrego zakrętu, silnik prychnął i zamilkł. Sądząc, że maszyna po prostu nie wytrzymała wysiłku na stromym podejździe, biskup wyskoczył z auta i zakręcił korbą. Silnik nie zaskoczył. Biskup kręcił korbą jeszcze kilkakrotnie, zanim spostrzegł, mocno już zdyszany, że chłodnica przecieka. Kiedy zajrzał do niej, zobaczył zaledwie kilka kropel wody. Zły na siebie za niedokładne sprawdzenie samochodu przed podróżą, spojrzął na zegarek i skonstatował, że znajduje się bliżej klasztoru niż miasta, chociaż do celu wciąż ma bardzo daleko.

Problem z samochodem zwarzył mu humor. Ruszył w kierunku klasztoru, ale już nie śpiewał. Nadal miał przed sobą daleką drogę, kiedy zobaczył, że z naprzeciwka ktoś nadjeżdża na ośle. Zwierzę szło ostrożnie skrajem drogi,

a jeździec, siedzący na nim bokiem, delikatnie poklepywał je szpicrutą. Siostra Beatriz rozpoznała go pierwsza

- przypominał jej niestrudzonego i zdeterminowanego misjonarza, przemierzającego bezdroża. Przywitała się z nim.

- Przynajmniej w części Bóg wysłuchał moich prośb

- powiedział biskup. - Co prawda, prosiłem Go o mecha-  
nika samochodowego...

Zakonnica zeskoczyła z osła i ucałowała pierścień biskupa.

- Bardzo się martwiłyśmy o waszą ekscelencję - powiedziała i odpięła od siodła menażkę.

Popijając wodę, biskup spojrzał w kierunku, z którego przybył.

- Gdybym napełnił chłodnicę wodą święconą, pewnie by zardzewiała - zauważył. - Czy jesteśmy bardzo daleko od klasztoru?

Siostra Beatriz pokiwała głową.

- Ale niech się wasza ekscelencja nie martwi. Osioł przewiezie ekscelencję na miejsce.

Biskup popatrzył na stare zwierzę.

- Doskonale - powiedział. - Ale zgadzam się odbyć na nim tylko pół drogi, siostrze. Potem, obiecaj mi, zamienimy się.

Biskup obciągnął poły płaszcza i sutannę, usiadł na osła i popatrzył ze zdumieniem na swoje stopy; sięgały niemal ziemi. Poklepał zwierzę po głowie i osioł kilkakrotnie zamiótł ogonem, jakby go witał.

- Jak na niego wołasz, siostrze?

- Midas.

- Oczywiście - stwierdził biskup. - Jest uderzająco podobny.

Wyruszyli w drogę, biskup Estrada trzymając się lęku, a siostra Beatriz - idąc kilka kroków przed osłem. Była wczesna wiosna i niemal południe. Na równinie, skąd biskup wyruszył nad ranem, panowały już wysokie temperatury, w górach wciąż było zimno i życie budziło się dopiero po srogiej zimie. Na najwyższych szczytach sierry widoczne były połacie śniegu, jednak na zalesionych zboczach już go nie było i w najlepsze śpiewały ptaki. Po chwili para podróżnych, pokonawszy kolejny zakręt, ujrzała poniżej szeroką panoramę łąk i pól, równinę sięgającą aż poza horyzont, lśniąca połączy ziemi poszatkowaną na zielony i brązowy kolor. Biskup wpatrywał się w nią oczarowany jej bezmiarem, dopóki droga znowu nie zmieniła kierunku. Kontynuowali podróż, zawróceni tyłem do tego bezkresu. Podczas poprzednich podróży, jeżdżąc samochodem, biskup nie mógł zauważyć piękna krajobrazu zza chmury pyłu i kurzu, pogrążony w bezustannym hałasie silnika i smrodzie spalin. Lekko drżąc pod zbyt cienkim płaszczem, biskup Estrada długo przypatrywał się młodej kobiecie. Wreszcie odezwał się:

- Przypomnij mi swoje imię, siostrze.
- Beatriz, wasza ekscelencjo.
- Skąd pochodzisz?
- Z bardzo daleka.
- Wszystko jest stąd bardzo daleko - powiedział biskup wesołym głosem. - Czy tam jest zimniej niż tutaj?
- Tak.
- A więc pochodzisz chyba z Bieguna Północnego.

Milczeli już do samego przybycia do klasztoru, co nastąpiło późno po południu. Zakonnice powitały biskupa eksplozją radości. Całowały jego pierścień i pytały, co mu



się przytrafiło. Podawały szklanki z wodą, talerze z owocami, chusteczki skropione wodą kolońską, zimne kompresy na czoło - na wypadek, gdyby miał zaznać udaru cieplnego, mimo że przecież był zimny, kwietniowy dzień. Zmęczony podróżą, biskup Estrada powiedział wreszcie:

- Dosyć, siostry, bardzo was proszę. Chyba pomyliłyście mnie z Mesjaszem, ale to pewnie dlatego, że przybyłem na ośle.

Wtedy przypomniał sobie, że podczas podróży ani na moment nie ustąpił miejsca siostrze Beatriz.

- Dziękuję ci za twoje drobne oszustwo, siostro - odezwał się do niej. - Ale jeśli w przyszłości znowu zawrzemy jakieś porozumienie, obiecaj mi, że będziesz je honorowała.

Jego cela była gotowa, biskup jednak nie zamierzał wypoczywać i od razu - dopóki jeszcze było jasno - poszedł do kaplicy, aby słuchać spowiedzi. Dużo wcześniej zasugerował zakonnicom, żeby losowały kolejność podchodzenia do konfesjonału. System, który wymyślił, powodował, że nigdy nie wiedział, która z nich znajduje się po drugiej stronie kraty, dzięki czemu siostry wyznawały swoje grzechy bez zahamowań, bez strachu i wstydu. Jedyne głośnie, jakie - tak mu się przynajmniej wydawało - rozpoznawał, należał do matki przełożonej.

Później, przy ołtarzu, poczuł dziwne zdenerwowanie, jakiego nie zaznał od swoich wczesnych dni w stanie kapłańskim, kiedy to od czasu do czasu odprawiał msze jako student dyplomacji kościelnej. Dzisiaj, rzecz jasna, czynił swoje powinności bez żadnego trudu, jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego tak dziwnie się czuje. Mógł to przypisać jedynie zmęczeniu po biblijnej podróży na ośle. Ale kiedy tylko podnosił wzrok znad ołtarza, aby popatrzeć na

uczestniczące we mszy małe zgromadzenie, jego oczy szukały, właściwie wbrew jego woli, młodej kobiety, która tego ranka wyszła mu na ratunek.

Skończył mszę wczesnym wieczorem i było już za zimno, żeby zjeść coś na dworze. Matka przełożona zaprosiła biskupa na kolację do refektarza. Posiłek dawno już ostygł, ale biskup nalegał, aby specjalnie dla niego niczego nie podgrzewano. Jadł bez apetytu, wpatrując się w talerz, i powtarzał swoje stare dowcipy, które - choćby nie wiadomo jak często je opowiadał - zawsze zdawały się rozśmieszać towarzystwo. Zjadł kolację przed wszystkimi i, pomimo powtarzających się nalegań ze strony sióstr, odmówił przyjęcia dokładki. Siostra Maria Ines poszła z nim do swojego pokoju na tradycyjną rozmowę o sprawach klasztoru i na ostatnią filiżankę kawy, zanim biskup odjedzie z powrotem do miasta. Było już niemal ciemno, kiedy matka przełożona otworzyła księgę, w której odnotowywała wszystkie sprawy związane z gospodarką i finansami klasztoru.

- Obawiam się, że ekscelencja będzie musiał zostać na noc - powiedziała. - Powrót do samochodu nie wchodzi w grę w tych ciemnościach.

Biskup, wdzięczny za gościnność, zgodził się z nią. Zaczął powoli pić kawę, nie zwracając na razie uwagi na notes zakonnicy.

- Ta wasza siostra - odezwał się po chwili. Matka przełożona podniosła wzrok znad księgi.

- Ta, która dzisiaj po mnie wyjechała - kontynuował biskup. - Była niezwykle uprzejma. Pozwoliła mi przejechać na ośle całą drogę.

- Jest tutaj od niedawna. Przybyła krótko po tym, jak straciłyśmy naszego starego spowiednika. Do tej pory

jestem z niej bardzo zadowolona. Właściwie to widzę w niej moją następczynię.

Biskup nie zadawał już więcej pytań, pochylił się nad księgą i udawał, że słucha, podczas gdy matka przełożona prezentowała mu, linijka po linijce, swoje wyliczenia. Kiedy skończyła, po dobrej godzinie, biskup poprosił o lampę, aby oświetlić sobie drogę do domku gościnnego, i, życząc dobrej nocy, obiecał matce przełożonej, że następnego dnia rano, przed powrotem do miasta, odprawi jeszcze jedną mszę. Mimo że był bardzo zmęczony, spał tej nocy niewiele. Leżał w łóżku, obserwując przez okno księżyc, słuchając sowy ukrytej gdzieś na dachu i myśląc o młodej zakonnicy. Pożałował, że nie wozi już ze sobą tabakiery z pigułkami nasennymi. Krótco przed świtem odpłynął wreszcie w sen i śniło mu się, że do pokoju wchodzi młoda zakonnica. Ubrana była w luźną koszulę nocną, którą rozpięła, stojąc na środku jego sypialni. Pozwoliła koszuli opaść jak piórko na podłogę, a potem wsunęła się obok niego pod kołdrę. Wkrótce obudziły go pierwsze promienie słoneczne. Pełen wyrzutów sumienia z powodu nieczystego snu, biskup uklęknął i długo modlił się z zamkniętymi oczyma, mając nadzieję, że dzięki modlitwie raz na zawsze oddali od siebie senną pokusę.

Jednak najbardziej głębokimi i sekretnymi zakamarkami umysłu - tymi, w których może ukrywać się tylko prawda - bezbłędnie odgadywał, że to dopiero początek.

Biskup Estrada dawał sobie radę z pokusą przez długi okres czasu i wiedział o niej wystarczająco dużo, by w końcu przyznać przed sobą, że wcześniej czy później jej ulegnie. Doskonale rozumiał ironię całej sytuacji. Chociaż przymykał oko na przypadki, gdy księża z jego diecezji sypiali z kobietami (o ile kobieta była zawsze ta sama, niezamężna i zarówno ksiądz, jak i ona zachowywali dyskrecję), żył w przekonaniu, że jego własna duchowa zbroja jest nieprzenikniona dla wszelkich uciech ciała. Kiedy wrócił z klasztoru do miasta, jeszcze raz przeczytał świętego Augustyna, którego pism nie brał do ręki od lat młodzieńczych. Wówczas uważał go za swojego inspiratora, a teraz za mędrca, który pozwoli mu wyrwać się z rozterki. Obecnie, będąc w średnim wieku, czytał go i odbierał bez młodzieńczego idealizmu, bez absolutnego przekonania o jego racji, nie oczekując już niecierpliwie na udrękę celibatu, lecz ze smutną mądrością starszego człowieka, od dawna niezdolnego do takich bezdusznych emocji. W tej sytuacji nie znalazł w jego pismach niczego, co mogłoby mu pomóc. Niezdolny do wyrzucenia młodej kobiety ze swych myśli, odbywał długie spacerunki po ogrodach swojego pałacu.

Rąbki

jego sutanny bezustannie zahaczały o ciernie róż i obrywały płatki kwiatów, które upadały na ścieżkę, nieuchronnie pozostawiając pachnący ślad, którym po kilku godzinach podążał diakon. Znajdował biskupa zamyślonego, jakby nieobecnego na tym świecie, siedzącego na kamiennej ławce. Sprawiał wtedy wrażenie, jakby się modlił.

Przez cały ten czas siostra Beatriz nie miała najmniejszego pojęcia o cierpieniach biskupa. Wspomnienie ich brzemienne w skutki spotkania na drodze do klasztoru w większości wyparowało już z jej umysłu, gdy po kilku miesiącach weszła do kaplicy. Tej niedzieli matka przełożona najpierw zaprosiła biskupa na lunch. Dopiero po nim miał rozpocząć realizację obowiązków duszpasterskich. Posiłek pod winoroślami trwał bardzo długo i był niesmaczny. Siostry podały bowiem nieświeżą rybę, talerze kandyzowanych migdałów i kieliszki z czerwonym winem. Biskup pił lemoniadę z lodem. Dopiero późnym popołudniem kobiety zaczęły przystępować do spowiedzi. Kiedy przyszła kolej na siostrę Beatriz, był niemal wieczór i musiała zapalić świecę, żeby odnaleźć drogę do konfesjonału. Kiedy skończyła spowiedź i wstała, biskup niespodziewanie odezwał się do niej przez kraty:

- To jesteś ty, siostro Beatriz? Zakonnica zamarła ze świecą w ręce.

- Tak, wasza ekscelencjo.

- Tak myślałem - rozległ się głos z konfesjonału. - Rozpoznałem twój głos.

Zakonnica stała, mocno zdezorientowana, przed wąskim konfesjonałem, jakby słuchała zupełnie obcego głosu. Głos, który chwilę wcześniej oznajmił jej uprzejmie lecz władczo *Ego te absolvo a peccatis tuis*. Teraz brzmiał zupełnie

inaczej. Chciała odejść, lecz nie ruszała się, ponieważ miała wrażenie, że jeszcze jej nie wolno. Lekki, chłody wiatr zawiał w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą klęczała, wyznając swe drobne grzechy. Beatriz czekała, aż głos odezwie się znowu. Na zewnątrz zaszło już słońce i dziedziniec klasztoru pogrążył mrok i spowiła cisza. Pozostałe siostry, które wyspowiadały się wcześniej niż ona, przebywały w refektarzu i czekały, aż biskup zawoła je na wieczorną mszę. Jeden z psów siostry Carloty - wówczas jeszcze wszystkie psy żyły - wyczuł, że w kaplicy są ludzie i stanął w drzwiach, wciągając powietrze nosem. Głos z konfesjonału znowu odezwał się łagodnie:

-Właściwie to podejrzewałem, że to ty, od chwili, w której weszłaś do kaplicy. Rozpoznałem odgłos twoich kroków, jednak nie byłem całkowicie pewien. Czy spowiadałaś się dzisiaj jako ostatnia?

Kobieta odparła, że tak. Pies powoli odszedł od drzwi. Biskup znowu odezwał się przez kratę konfesjonału, bardzo zmęczonym głosem:

- Porozmawiajmy trochę.

Siostra Beatriz znowu uklękła w konfesjonale. Świeca migotała w powietrzu, rzucając jej cień na drewnianą posadzkę. Głos zza kraty odezwał się znowu:

- Znasz moje imię, siostrze Beatriz?

- Estrada, wasza ekscelencjo.

- Chodzi o moje imię, nie o nazwisko.

- Nie wiem, wasza ekscelencjo.

- Ezequiel. Wszyscy wiedzą, kim jestem, ale tylko bardzo niewiele osób zna moje imię - zachichotał. - Obawiam się, że wlałem dzisiaj do mojego wina za mało lemoniady. W efekcie wypłem zbyt dużo wina.

Zakonnica klęczała w milczeniu, a tymczasem głos z drugiej strony kraty kontynuował:

- Posłuchaj, Beatriz. Od wielu miesięcy próbuję... Rozumiesz mnie? Ja... - Biskup zawahał się. - Och Boże, przebacz mi.

- Powinnam już sobie pójść, wasza ekscelencjo.

- Zgaś świecę, bardzo proszę. Bolał mnie oczy. Może to z powodu wina, które wypilem? Zgaś ją.

- Ktoś może przyjść - powiedziała kobieta słabym głosem i jednocześnie usłyszała, jak otwierają się drzwiczki konfesjonału. Czas mijał i nic się nie działo, a ona czekała, klęcząc na poduszce, wstrzymawszy oddech, aż biskup podejdzie do niej. I wreszcie odezwał się, stojąc tuż przy niej:

- Zgaś świecę, proszę.

Siostra Beatriz nie zareagowała. Wciąż trzymała świecę w dwóch rękach przed sobą, jednak powoli opuszczała ją wszelki strach i zaczynało ją ogarniać niemal matczyne uczucie.

- Zgaś świecę. Oszczędź mi...

Wtedy jakaś dziwna siła, w której dominowało współczucie i w której nie było ani strachu, ani wstydu, podniosła ją z klęcznika. Przez moment jej cień migotał na sklepieniu kaplicy, aż wreszcie zdecydowała się, nabrała powietrza w płuca i zdmuchnęła płomień.

Przede wszystkim uzgodnili, że wzajemna namiętność nie może odebrać im zdrowego rozsądku, że będą zachowywać się tak, aby nie wzbudzić u nikogo najmniejszych podejrzeń. Ich najlepszą obroną było bezgraniczne schlebienie biskupowi przez wszystkie zakonnice klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej. Uważały go za człowieka

niezdolnego do nawet najbardziej pospolitego grzechu. Tym niemniej biskup nalegał, aby nigdy nie widziano ich rozmawiających na osobności, nawet gdyby siostra Beatriz miała mu do przekazania coś najbardziej trywialnego. Kiedy ich ścieżki przypadkiem krzyżowały się na terenie klasztoru, zakonnica jedynie kłaniała się, a on pozdrawiał ją ledwie zauważalnym ruchem ręki i już się rozchodzili. Biskup nigdy więcej nie stracił głowy w konfesjonale ani nie rozmawiał o tym zdarzeniu z Beatriz. Spotykał się z nią w swojej celi w domku gościnnym, w którym zaczął spędzać noce podczas comiesięcznych wizyt, niezmiennie wyjaśniając matce przełożonej, że jest zmęczony po długiej podróży przez góry.

Zamknawszy się w celi, zawsze czekał na nią, nie rozbierając się. Jakiś czas później - wydawało mu się, że trwa to wieczność - rozległo się umówione pukanie do drzwi i biskup natychmiast gasił światło. Bez butów, żeby w ogóle nie hałasować, Beatriz wślizgiwała się do pokoju biskupa jak kotka, po czym w całkowitym milczeniu szukała w ciemności jego cienia i zaczynała go rozbierać. Najpierw zdejmowała mu z szyi pectorał, lśniący w świetle księżyca, w tym momencie wydający się biskupowi ogromnie ciężkim, ciężkim jak jego grzech. Następnie rozwiązywała purpurową szarfę, a potem rozpinała wszystkie trzydzieści trzy guziki jego sutanny.

Pewnego razu niemal ich przyłapano. W środku nocy siostra Beatriz właśnie wychodziła z pokoju biskupa, kiedy warknął na nią jeden z psów, śpiący przypadkiem przy drzwiach. Szybko zamknęła drzwi i usłyszała czyjeś kroki. Rozległo się bicie dzwonu, wzywającego na noktorun; zapomniała, że właśnie nadchodził czas modlitwy. Stanąwszy



za nią, biskup - równie przerażony jak ona - westchnął z ulgą.

- Przynajmniej Bóg nas nie potępia - powiedział.

- Nie - odparła siostra Beatriz. - To psy są po naszej stronie.

Zgodzili się, że nigdy więcej nie powinien zostawać na noc w klasztorze. Biskup Estrada uznał, że będzie bezpieczniej, jeśli Beatriz zacznie go odwiedzać przy okazji zakupów, które cztery młodsze zakonnice robiły w mieście na zmianę. Zwolniona z tego obowiązku była tylko siostra Carlota - zbyt stara, aby podróżować na ośle. A zatem raz w miesiącu siostra Beatriz wyruszała z klasztoru natychmiast po porannej modlitwie i po prawie czterech godzinach podróży przyjeżdżała do miasta. Poranek spędzała na rynku. Wypełniwszy juki, które dźwigał Midas, udawała się na plac przed pałacem biskupim i chodziła pozornie bez celu, czekając na sekretny sygnał. Kiedy biskup Estrada mógł ją przyjąć, podchodził do okna, otwierał je i dwukrotnie rozsuwał i zaciągał zasłony. Wtedy Beatriz kierowała się ku cichej, brukowanej alejce na tyłach pałacu i chwilę później biskup spotykał się z nią przy garażu. Przywiązywał Midasa do haka wbitego w ścianę, tuż przy Fordzie i oboje wąskimi, spiralnymi schodami, o których istnieniu mało kto wiedział, szli do jego prywatnych pomieszczeń.

Tam nie musieli się śpieszyć. Biskup Estrada wydał wyraźne instrukcje, aby w czasie sjeisty mu nie przeszkadzano, nawet gdyby pałac zajął się ogniem. Kiedy kończyli się kochać, odprowadzał zakonnice po schodach do garażu i wypuszczał na ulicę, korzystając z jedyne go klucza, który zawsze nosił w kieszeni. Kobieta odchodziła bez czułych pożegnań, bez pocałunków. Trzymając w ręce gruby sznur,

ciągnęła za sobą osła. W habicie nie wzbudzała żadnych podejrzeń. Później, kiedy biskup kupił nowy samochód, ofiarował starego Forda klasztorowi i od tego momentu siostra Beatriz mogła się z nim spotykać łatwiej i częściej, ciągle jednak w wielkim sekrecie.

Sprawy długo nie uległyby żadnym zmianom, gdyby nie ciąża. Siostra Beatriz, która doskonale wiedziała, że biskup nie będzie tolerował żadnej ciąży, postanowiła mu o niej nie mówić. Często ostrzegał ją, że dziecko przypieczętuje ich potępienie, a sam niezmiennie używał prezerwatywy. Siostra Beatriz przypuszczała, że ma współniczkę, która kupuje je dla niego, jednak któregoś dnia biskup Estrada zaprosił ją do pałacowej piwnicy i pokazał kilka starych skrzynek, które zawierały ręcznie wykonane gumowe kondomy, wyprodukowane przez firmę Julius Schmid Sp. z o.o. na przełomie wieków. Były pozostałością po jednym z wielu jego oświeconych projektów, które na przestrzeni lat wzbudzały do niego niechęć Watykanu. Kupił je po okazyjnej cenie, chcąc rozdawać prezerwatywy w diecezji, przekonany, że zapobiegą rozprzestrzenianiu się syfilisu, który wciąż zbierał śmiertelne żniwo. Jednak grupa księży dowiedziała się zbyt szybko o tej niezwyklej „moralnej profilaktyce” i napisała list do Stolicy Apostolskiej. Biskup Estrada otrzymał surową reprymendę i pozostał z taką ilością kondomów, że wykorzystując je do grzechu, mógł przebić sobie drogę aż do dziewiątego kręgu Piekła.

Ciąża sprawiła, że siostra Beatriz musiała poważnie się zastanowić nad swoją sytuacją. Ani przez chwilę nie pomyślała o tym, żeby pozbyć się dziecka, ponieważ byłoby to jeszcze większym grzechem niż ten, który już popełniła. Ale rozumiała, że sama ryzykuje przez to wyrzucenie

z klasztoru, a jeśli chodzi o biskupa - karę suspensy. Nie zamierzała ani porzucić zakonu, ani niszczyć kochanka. Gdyby urodziła dziecko gdziekolwiek w ukryciu, chcąc wrócić do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, musiałaby je komuś oddać. Zastanawiała się nad tym przez kilka dni i wymyśliła sposób na zatrzymanie dziecka w klasztorze, a jednocześnie na ocalenie siebie samej i ochronę biskupa przed ekskomuniką.

Przede wszystkim, musiała zakończyć romans, zanim biskup zorientuje się, że jej ciało się zmienia. Była to trudna decyzja, ponieważ przez cały czas Estrada nie dawał żadnego powodu, żeby od niego odejść. Siostra Beatriz uspokajała się jednak, przypominając sobie, że realizacja planu nie tylko ocali dziecko i ją samą przed nędzą, ale także biskupa przed infamią. Wciąż go kochała. Kochała sposób, w jaki do niej mówił. Kochała jego niezłomnego ducha, wielkie oddanie filantropii i fantastyczne, chociaż z góry skazane na niepowodzenie, plany niesienia pomocy najuboższym. Kochała to, że kiedy kończyli obcować fizycznie, jego członek pachniał gumą z kondoma. Biskup Estrada próbował pozbyć się tego zapachu, biorąc gorące kąpiele i myjąc członek mydłem fenolowym. A jednak musiała go porzucić. Obawiając się jego reakcji, nie zakończyła ich romansu w mieście, lecz powiedziała to w konfesjonale, podczas jego kolejnych odwiedzin w klasztorze. Spokojnie, nie roniąc ani łzy, starała się go przekonać, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Podała kilka powodów: bezustannie skazują swe dusze na potępienie; ryzykują, że ktoś ich złapie, a poza tym zwykłe spółkowanie bez żadnych perspektyw staje się dla niej czymś powszednim i banalnym, coraz mniej interesującym. Powiedziała mu tylko prawdę.

Biskup Estrada

wysłuchał jej w ciszy do samego końca, aż wreszcie odezwał się z drugiej strony konfesjonału:

- Idź. Nie mogę cię zatrzymać. Nie musisz niczego udawać.

Były to jego ostatnie słowa w tej sprawie. Od tego czasu dawał wyraźne znaki, że o niej nie pamięta. Nie starał się wpłynąć na nią, nie odzywał się do niej w czasie lunchów z zakonnicami. Po spowiedzi czekał, aż Beatrix wyjdzie z kaplicy i dopiero wtedy opuszczał konfesjonał. Wkrótce zakonnica była już tak zaabsorbowana ukrywaniem ciąży, że nie była w stanie myśleć o niczym innym. Zaplanowała, że pozostawi dziecko jako sierotę i skłoni siostry do jego zaadoptowania, dzięki czemu nie będzie musiała się z nim rozstawać. O tym, że je zatrzyma, postanowiła po wizycie w sierocińcu Świętego Rafała Uzdrowiciela, gdzie przeraziły ją przepełnienie i okropne warunki. To o tej właśnie wizycie wspomniała pielęgniarka, kiedy - wiele miesięcy później - w sierocińcu pojawiła się siostra Maria Ines.

Siostra Beatrix uszyła sobie habit o kilka rozmiarów większy niż ten, który dotąd nosiła, aby ukryć w ciągu kolejnych tygodni rosnący brzuch. Kupiła też starą walizkę, którą wyłożyła watą. Na ten pomysł wpadła, kiedy obejrzała nocny depozytariusz dla niemowlaków, znajdujący się w sierocińcu. Jako miejsce narodzin dziecka w sekrecie wybrała starą szkołę dla nowicjuszek, ponieważ nikt tam nie chodził ze strachu, że budynek może się zawalić. Wysprzątała i przygotowała kąpiel jednego z pomieszczeń na piętrze, a potem już tylko modliła się o łatwy poród. Kiedy jej czas prawie nadszedł, musiała poprosić o zwolnienie z obowiązku jeżdżenia Fordem do miasta, a kiedy nastał jej

dzień, w ostatniej chwili poszła do zrujnowanego budynku i w krótkim czasie urodziła dziecko. Przez cały czas najbardziej bała się tego, że ktoś je usłyszy. Wreszcie, skrajnie zmęczona, wykapała niemowlę, otuliła je w koc, posprzątała podłogę i w jakimś zapomnianym miejscu pod murem klasztornym zakopała zakrwawione prześcieradło, na którym leżała podczas porodu. Bardzo wcześnie rano, kiedy pozostałe siostry się modliły, ułożyła niemowlę w starej walizce i pozostawiła je na schodach, gdzie znalazła je siostra Lucia śpiesząca do samochodu.

Gorycz, jaką biskupa przepełniła decyzja siostry Beatriz, przeszła w smutek, który boleśnie trwał, mimo że od zakończenia romansu minęło już wiele miesięcy. Jego wizyty w klasztorze stały się męką pozorów i wykrętów, aż wreszcie - straciwszy resztki cierpliwości - postanowił mianować na swoje miejsce innego księdza. Musiał znaleźć kogoś, kto nie tylko zechce podróżować kilkanaście razy w roku do zapomnianego krańca diecezji, ale także kogoś takiego, kto nie wpadnie w pułapkę, w którą wpadł sam biskup. Żaden proboszcz, któremu złożył tę propozycję, nie przystał na nią, twierdząc, że już i tak jest bardzo zajęty. Postanowił zatem porozmawiać z seminarzystami z ostatniego roku, wśród których miał nadzieję znaleźć idealizm właściwy młodym ludziom i dzięki temu przynajmniej jednego kandydata na swoje miejsce. Porozmawiał z kilkoma seminarzystami. Wszyscy gotowi byli służyć Bogu pod przewodnictwem biskupa. Wyeliminował tych, którzy byli zbyt słabi fizycznie, aby podołać zadaniu częstego podróżowania do klasztoru. Wykluczył też przystojnych, których uroda mogłaby sprawić kłopoty. Wreszcie jego wybór padł na

Mateo, nieśmiałego młodego człowieka, który wywarł na nim wrażenie pobożnością i dziobatą twarzą.

Biskup Estrada nie miał cienia podejrzeń, że zakonnica zaszła w ciążę. Zakładał, iż siostra Beatriz nadal jeździ do miasta raz w tygodniu po zaopatrzenie i wciąż miał płonną nadzieję, że któregoś dnia znowu go odwiedzi. Nigdy tego nie uczyniła, ale to nie powstrzymywało biskupa przed wystawianiem przed wielkimi oknami swojego gabinetu. Kilkakrotnie w ciągu dnia spoglądał na plac, nad którym górował posąg Rafaela, i niemal nie odrywał wzroku od miejsca, w którym siostra Beatriz zawsze zatrzymywała się, czekając na jego sygnał.

Kilka dni po przykrej wizycie w klasztorze, kiedy musiał przeprowadzić śledztwo w sprawie sieroty, jak co dzień wyjrzał przez okno swym zwykłym, smutnym wzrokiem i zobaczył zakonnice w białym habicie i czarnym welonie, która przemierzała plac. Natychmiast poczuł, że sprawdza się jego przeczucie, iż kochanka kiedyś powróci. Zapomniawszy o zgorzknieniu, zaczął dawać sygnały, rozciągając i zaciągając zasłony. Jednak, kiedy zakonnica znalazła się bliżej biskupiej siedziby, ku swojemu przerażeniu zobaczył, że to nie siostra Beatriz, ale nieprzyjemna i nielubiana przez niego siostra Ana. Zdenerwowany, zaciągnął zasłony i oddalił się od okna. Kiedy diakon wszedł, żeby zaanonsować kobietę, biskup odezwał się, zanim młody człowiek zdołał wypowiedzieć choć słowo:

- Wpuść ją.

Chwilę później siostra Ana witała go z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Wasza ekscelencjo - powiedziała. - Widziałam ekscelencję w oknie.

- Naprawdę?

- Tak. Rozpoznałam eminencję z drugiego końca placu. Odniosłam wrażenie, że wasza ekscelencja bawi się zasłonami.

Biskup Estrada wydał wargi.

- Ach, tak. Próbowałem tylko... - machnął ręką w kierunku okna, przy którym stał chwilę wcześniej. - Zacięły się. Prawdopodobnie odkształciła się szyna.

Przypomniawszy sobie, że bynajmniej nie musi tłumaczyć się z niczego przed zakonnicą, urwał i popatrzył na nią surowo. Nie miał wątpliwości, że siostra Ana jest czymś wyraźnie podekscytowana.

- Czy znowu ukradkiem opuściłaś klasztor, siostro? - zapytał.

Zakonnica zachichotała.

- Och nie, wasza ekscelencjo, nie tym razem. Przyjechałam samochodem z siostrą Lucią. Jest teraz na rynku.

- Nie z siostrą Beatriz? - zapytał biskup.

- Nie tym razem. Siostra Beatriz pomaga matce przełożonej przy dziecku - znowu zachichotała, nieświadoma poważnego spojrzenia biskupa.

- Kto by pomyślał? - rzuciła. - To jest wprost niewiarygodne.

- Czy ta twoja niewiarygodna sprawa ma coś wspólnego ze mną?

- Tak, wasza ekscelencjo, bardzo dużo. Chciałabym porozmawiać z ekscelencją o siostrze Beatriz.

Biskup poczerwieniał na twarzy. Wstał, z rękami złączonymi za plecami podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, a przez głowę przebiegały mu wszelkie najgorsze myśli.



- Bardzo dobrze, siostrze - powiedział ochryplym głosem. -  
Mów, co masz do powiedzenia.

Spodziewał się, że siostra powie, iż wszystko wie o Beatriz i o nim. Ale to, co usłyszał, замуrowało go. Siostra Beatriz jest matką dziecka, które znaleziono w klasztorze.

- Niemożliwe - powiedział.

- Przyznała mi się, wasza ekscelencjo.

Biskup Estrada patrzył na siostrę Anę z zaniepokojeniem, starając się odgadnąć, czy podejrzewa go, że jest ojcem. Odezwał się dopiero po kilku minutach absolutnej ciszy.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt, wasza ekscelencjo. Odkryłam to w dniu, w którym matka przełożona była z wizytą u waszej ekscelencji.

- Myślisz, że matka przełożona gra w tym wszystkim jakąś rolę?

- Wątpię. Siostra Beatriz błagała mnie, żebym jej o niczym nie mówiła.

Biskup Estrada trochę się uspokoił.

- Obiecuj mi, że z nikim nie będziesz o tym rozmawiała

- powiedział.

- Oczywiście, wasza ekscelencjo.

- Z nikim, rozumiesz? Ja się tym zajmę. Musimy uniknąć skandalu. Takie wydarzenia bardziej niż inne mogą ranić Kościół. Musimy chronić naszą wiarę.

- Postąpię tak, jak sobie wasza ekscelencja zażyczy.

- Dobrze. Doceniam twoją pomoc, siostrze. Oczywiście nagrodzę twoją lojalność - urwał, szukając lepszego słowa.

- I twoją czujność, rzecz jasna - dodał, walcząc z sobą, aby nie okazać pogardy, jaką odczuwał w stosunku do siostry Any.

- Niczego w zamian nie oczekuję.
- O ile pamiętam, rozważaliśmy kiedyś możliwość obdarzenia cię funkcją siostry wizytantki.
- Tak, wasza ekscelencjo, rozmawialiśmy o tym. Z wielką pokorą przyjmę ten zaszczyt.
- Najpierw musimy ogarnąć ten bałagan.

Biskup Estrada odprowadził siostrę Anę do drzwi, po czym wydał polecenie, żeby mu nie przeszkadzano. Zamknięty w gabinecie, najpierw przez chwilę zastanawiał się, dlaczego siostra Beatriz zaszła w ciążę, skoro kładł tak wielki nacisk na stosowanie środków zabezpieczających. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że wiara w skuteczność gumi, liczącej sobie prawie trzydzieści lat, była z jego strony lekkomyślnością. Próbował znaleźć rozwiązanie, które pomogłoby mu uniknąć skandalu, a przy tym wyrządziłoby jak najmniejszą szkodę siostrze Beatriz. Doszedł do wniosku, że przede wszystkim sam musi pozostać poza wszelkimi podejrzeniami - tylko wtedy będzie w stanie udzielić skutecznej pomocy kobiecie i dziecku.

Wczesnym wieczorem diakon zapukał do drzwi gabinetu, jednak biskup nie zareagował. Uznał zatem, że biskup poszedł już do prywatnego pokoju, dokończył więc pracę z dokumentami i też poszedł do siebie. Dochodziła prawie północ, kiedy biskup Estrada ocknął się z odrętwienia i odpowiedział na pukanie do drzwi, jakby dopiero przed chwilą je usłyszał:

- Wejdz, Ignacio.

Nikt na te słowa nie zareagował, więc biskup sam poszedł do drzwi, otworzył je i zobaczył, że jego sekretarza nie ma już przy biurku. Poczekalnia przed gabinetem była pusta i cicha. Biskup zadrżał, jakby przebywał sam nie

tylko w tym budynku, ale w całym mieście. Wielokrotnie już odmawiał przyjęcia do pracy gospodyni, która zamieszkałaby w pałacu, a kucharzowi i służącym kazał wracać do domów zaraz po wykonaniu wszystkich zadań, ponieważ przynajmniej w części pragnął udawać, że żyje skromnie i prosto, jak przystało na dobrego chrześcijanina. Teraz zaczął chodzić od pokoju do pokoju, nie zapalając świateł, co chwilę wpadając w ciemności na jakieś meble, niczym duch nieprzyzwyczajony jeszcze do wiecznej nocy. Białe światło księżyca wpadające przez okna oświetlało portrety pulchnych biskupów o ciężkich szczękach, którzy służyli Bogu przed nim i w tej chwili spoczywali w kryptach pod zimną posadzką wielkiej katedry. W końcu znalazł drogę do sypialni i zaczął się modlić, aby Bóg pozwolił mu rozwiązać wielki dylemat.

- Byłem w pełni świadom, jak ciężki popełniam grzech i nie mam prawa prosić Cię o łaskę - mówił. - Ale proszę, oszczędź mi pośmiewiska i pozwól mi służyć Tobie do końca moich dni, a wtedy zadecydujesz, co ze mną zrobić. - Następnie sam zaproponował pokutę za swój błąd. - Zrobię dla tego dziecka wszystko, co tylko będzie leżało w mojej mocy.

Skończył modlitwę i skrajnie wyczerpany padł na łóżko, jednak nie był w stanie zasnąć. Przed świtem wsiadł w samochód i przyjechał do klasztoru, kiedy zakonnice zaczynały się gromadzić na poranną modlitwę.

- Witamy waszą ekscelencję - powiedziała matka przełożona. - Nie spodziewałyśmy się ekscelencji. - Poważny wyraz twarzy biskupa natychmiast ją zmartwił, dlatego dodała:

- Mam nadzieję, że ekscelencja przywozi dobre wieści.

- Moja wizyta, oczywiście, związana jest ze sprawą sieroty - odparł biskup. - Chciałbym zamienić kilka słów z siostrą Beatriz. Na osobności.

Zdjął skórzany kask i poszedł za siostrą Marią Ines do jej biura. Po nieprzespanej nocy i podróży samochodem wyglądał na bardzo zmęczonego. Klasztor stracił w jego oczach cały urok i sprawiał teraz tylko wrażenie, że stanowi skupisko niszczących budynków na łasce czaśli. Biskup przeszedł przez dziedziniec z nadzieją, że przebywa tutaj ostatni raz. W celi, ze względu na dziecko przez cały czas ogrzewanej grzejnikiem benzynowym, zdjął płaszcz i razem z kaskiem podał go siostrze przełożonej. Zakonnica powiesiła garderobę na drzwiach, traktując ją prawie jak święte relikwie. Następnie usiadła naprzeciwko biskupa. Tymczasem biskup Estrada zerkał przez moment ku kołysce, w której cichutko spało dziecko, i wreszcie odezwał się do siostry Marii Ines:

- Najpierw chciałbym porozmawiać z siostrą Beatriz.

Matka przełożona wyszła z pokoju i zawołała młodą zakonnice. Kiedy Beatriz weszła do środka, nie patrząc na nią, biskup powiedział:

- Zamknij drzwi i usiądź.

Posłuchała polecenia. Po chwili, wciąż nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem, zaczął:

- Mamy do rozwiązania problem. Pewnie zdajesz sobie sprawę, że jestem za to odpowiedzialny równie mocno jak ty.

- Nie rozumiem, wasza ekscelencjo.

- Proszę - westchnął biskup. - To nie jest konieczne.

Wczoraj była u mnie siostra Ana.

Zakonnica popatrzyła na niego zimnym wzrokiem.

- Rozumiem, że powiedziałaś już matce przełożonej.
- Nikomu nic nie powiedziałem. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem po twojej stronie.
- A w jaki sposób zmusisz do milczenia siostrę Anę?
- Przekupię ją - biskup machnął ręką. - O nią się nie martw.

Wstał zza biurka i podszedł do kołyski. Wpatrując się w dziecko, odepchnął od siebie pokusę, aby zaprzeczyć, że jest ojcem. To byłaby nikczemność.

- Przypomnij mi jego imię - powiedział.
- Renato. Matka przełożona kazała go ochrzcić.
- Wiem, wiem - biskup ciężko westchnął. - Powinnaś mi o tym powiedzieć, ale rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś. Musimy teraz podjąć pewne decyzje.

- Chcę go zatrzymać.

- Jestem gotów się nim zaopiekować. Zrobię dla niego wszystko, co będzie konieczne. Twoje imię w związku z nim w ogóle nie padnie. Nikt nie musi o niczym wiedzieć. A my musimy jedynie trzymać się faktów.

- Faktów?

- Przede wszystkim faktu, że dziecko zostało znalezione na schodach klasztornych. Nic się tu nie zmieni. Będziesz mogła kontynuować swoją posługę w tym klasztorze. Nie ma powodów, żeby martwić się siostrą Aną. Gotowa jest nawet polecieć na księżyc, jeżeli tylko dostanie jakieś ważne stanowisko.

- Czy zabiorą Renato do sierocińca?

- Tak. Masz na myśli ten w mieście? Nie... Tak, na początek, oczywiście. Przyjadą po niego ludzie z tego właśnie sierocińca. Ale potem będziemy musieli znaleźć dla dziecka

lepsze miejsce. Znajdę dla niego najlepszy ośrodek w kraju i dopilnuję, aby otrzymał doskonałą edukację.

- Będę chciała się z nim widywać.

-To nie będzie możliwe. Zostanie zarejestrowany w księgach jako sierota - biskup Estrada czuł, że jego koloratka jest mokra od potu. Odprowadził siostrę Beatriz do wyjścia, mówiąc jeszcze:

- Obawiam się, że to jest jedyne możliwe rozwiązanie. Potem będziemy zapewne mogli pogodzić się z Bogiem.

Musiał porozmawiać jeszcze z matką przełożoną. Wiedział, że rozmowa z nią będzie znacznie trudniejsza, jednak swój plan mógł realizować nawet nie przekonawszy jej do rozwiązania, które wybrał. Siostra Maria Ines weszła do pokoju ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Beatriz wydaje się bardzo zrozpaczona, wasza ekscelencjo - zagała.

- Czy coś ci powiedziała?

- Nie. Prawie płakała. Biskup głośno odetchnął.

- Gdybym był Salomonem, dałbym każdej z was po połowie tego błogosławionego dziecka. Po bardzo głębokim namyśle postanowiłem jednak poinformować o jego znalezieniu sierociniec.

Twarz siostry Marii Ines stężała.

- Wasza ekscelencja dał mi do zrozumienia, że będzie chciał, abyśmy je zatrzymały.

- To była twoja interpretacja, siostro. Powiedziałem jedynie, że głęboko się nad tym zastanowię.

- Nasza wiara wymaga, abyśmy ofiarowali miłość i pomoc wszystkim potrzebującym, a nie przerzucali odpowiedzialności na innych.

-Nie musisz wygłaszać tu lekcji katechizmu, siostro. Przyjmowałem je w Rzymie, wiele lat temu i od lepszych nauczycieli.

- Owszem, wiele lat temu. I zapewne dlatego wasza ekscelencja już je zapomniał.

Biskup tupnął nogą i odezwał się zimnym głosem:

- Uważaj, co mówisz. Twoje oddanie dla tego dziecka jest chwalebne, jednak proponujesz coś, co jest zarówno nielegalne, jak i niewłaściwe. Żeński klasztor nie jest miejscem, w którym należałoby wychowywać chłopca.

- Dlaczego nie, skoro tego sobie zażyczył Bóg? Jego pojawienie się tutaj jest po prostu cudem.

- Miło mi to słyszeć, jednak podejrzewam, że znajdziemy prostsze rozwiązanie, nie odwołując się do metafizyki. W końcu cuda zdarzają się bardzo rzadko, a porzucanie dzieci odbywa się niemal codziennie.

- Ale nie tutaj - dlaczego właśnie tutaj? Przecież znajdujemy się wiele mil od najbliższego osiedla.

Biskup wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Może była to pokuta wobec Matki Boskiej Miłosiernej, pokuta kobiety, która nie mogła sobie pozwolić, aby zobaczono ją w okolicach sierocińca? Kobiety, która zaufała zakonnicom?

Biskup urwał, żeby jego sugestia nie zbliżyła się za bardzo do prawdy.

- Tak czy inaczej, to jest cud - powiedziała siostra Maria Ines. - Gdybym tylko mogła powiedzieć ekscelencji wszystko to, co wiem, ekscelencja bez trudu by mi uwierzył.

- Proszę, powiedz mi - poprosił biskup z westchnieniem. Siostra Maria Ines potrząsnęła przecząco głową.

-Nie chcę o tym rozmawiac - wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wytarła oczy. - Przepraszam za moje zachowanie.

- O nic cię nie winię. Dopilnuję, aby o dziecko odpowiednio zadbano.

Biskup Estrada popatrzył na zegarek. Musiał już wracać do miasta. Matka przełożona zdjęła z wieszaka jego płaszcz i kask, po czym ruszył za nią do samochodu. Pozostałe zakonnice dołączyły do nich, aby pomachać mu na do widzenia. Zadowolony ze swego talentu dyplomatycznego, uruchomił silnik z energią, która samego go zdziwiła, i usiadł za kierownicą. Pomyślał, że rozmowy z siostrą Beatriz i matką przełożoną przebiegły lepiej niż się spodziewał. Założył na głowę skórzany kask, zawrócił samochód, po czym uśmiechnął się - najpierw do siostry Beatriz, później do siostry Marii Ines, nie dając im żadnego powodu do podejrzeń, że obie widzą go po raz ostatni w życiu.



Siostra Maria Ines nie mogła powiedzieć biskupowi, co wydarzyło się w jej młodości, chociaż była przekonana, że ta opowieść wyjaśniłaby jej zachowanie i dzięki niej zrozumiałby, że pojawienie się w klasztorze sieroty nie było wydarzeniem przypadkowym, jak przypadkowy jest wynik rzutu kośćmi, lecz efektem działania boskiej opatrności - ostatecznym wybaczeniem jej grzechu po wielu dekadach bezustannej pokuty. Jednak popełniła śmiertelny grzech, którego ujawnienie automatycznie spowodowałoby rzucenie na nią ekskomuniki, usunięcie ze stanowiska matki przełożonej oraz pozbawienie wszystkich innych praw i przywilejów - biskup nie miałby wyboru. Mogłaby nadal uczestniczyć w mszach świętych, jednak nie byłoby jej wolno prowadzić modlitw i przyjmować sakramentów. Co więcej, ktoś inny stanąłby na czele klasztoru i ona, siostra Maria Ines, straciłaby władzę pozwalającą chronić dziecko przed knowaniami jego wrogów. Milczała więc, w pełni świadoma, że pewnego dnia będzie i tak musiała wyznać swój grzech, tak jak to nakazuje jej wiara, ale obiecując sobie, że uczyni to i poniesie konsekwencje dopiero wtedy, gdy Renato będzie na tyle dorosły, że nie będzie jej

już więcej potrzebował. Na razie musiała konsekwentnie żyć w cieniu swojego występku.

Jeśli chodzi o zachowanie biskupa - jego żądanie, aby przekazała dziecko władzom, było dla niej szokiem, ponieważ jego wcześniejsza postawa pozwalała wierzyć, że podejmie decyzję zupełnie odwrotną. Siostra Maria Ines uznała, że celowo ją oszukiwał, dlatego przestała mu ufać i szanować go. Zmieniła swoją opinię o nim i zaczęła uważać biskupa za pustego człowieka. Wcześniej wydawał się jej pokornym sługą bożym i radykalnym reformatorem. Teraz był dla niej intrygantem i manipulatorem, okrutnym dyplomata, który zawdzięczał sukcesy tylko wychowaniu w zamożności i koneksjom rodzinnym. Wprost nie mogła uwierzyć, że przez tak długi czas pozwalała mu się zwodzić. Teraz, kiedy wspominała jego sympatyczne wizyty w klasztorze, ogarniało ją zgorzknienie, i z wielkim niesmakiem myślała o jego niemoralnych dowcipach, które opowiadał podczas lunchu, jego ogromnym apetycie, regularnych wizytach u fryzjera, wymanikiurowanych paznokciach i o chusteczkach, które spryskiwał wodą kolońską, sprowadzaną prosto z Paryża. Takie rzeczy nie pasowały do cnotliwego mężczyzny. Rozważała każde zdarzenie z jego udziałem, jakie potrafiła sobie przypomnieć, każdy gest i wypowiedź, demaskującą prawdę o jego nikczemności. Na przykład pewnego razu podczas lunchu powiedział: *Ci, którzy doświadczają pokus, zasługują na nasz serdeczny podziw*. Uwaga ta wprowadziła siostry w zakłopotanie, dlatego biskup pośpieszył z wyjaśnieniem: *Ponieważ tylko oni wiedzą, co czuł Pan Jezus w Ogrodzie Oliwnym*. Siostra Maria Ines nie zainteresowała się wówczas tą uwagą, teraz jednak

tłumaczyła ją sobie jako nic innego niż jawną zachętę dla sióstr, aby popełniały grzechy.

Kiedy biskup Estrada powiedział jej, co postanowił w sprawie dziecka, zachowała spokój, jednak nie miała najmniejszego zamiaru go posłuchać. Natychmiast zrozumiała, że musi zabrać Renato jak najdalej od klasztoru, jeszcze zanim pojawią się ludzie z sierocińca. Odprowadziła biskupa do samochodu, pomachała na pożegnanie, mimo że wprost kipiała z oburzenia, a potem poszła do kuchni, żeby przygotować mleko dla chłopca. Z każdą chwilą raz podjęta decyzja, aby odejść z klasztoru, poprawiała jej nastrój. Po ponad trzydziestu latach służenia Bogu i pielęgnowania w sobie smutku, który aż do tej pory uważała za nieuleczalny, była gotowa stanąć twarzą w twarz ze światem, dla którego miała tylko pogardę. To w tym świecie przeszła w tajemnicy bolesny zabieg, to w nim odseparowana została od narzeczonego, tam, pracując na misji, codziennie obserwowała ludzkie cierpienie. Był to świat zdolny do największych okrucieństw i najgorszego zła. *Gdyby nie wstąpiła do klasztoru, rozmyślała, nigdy nie znalazłaby drogi wyjścia ze swego trudnego położenia, za to nadal funkcjonowałyby w skomplikowanym labiryncie okropnego współczesnego świata, aż po kres życia.*

Nie miała wątpliwości, iż to Bóg chce, aby powróciła do tego świata. Wiedziała, że będzie tęsknić za pobudkami przed świtem, kiedy po ciemku wychodziła z łóżka i ubierała się z ostrożnością ślepcy: najpierw w białą tunikę i szkaplerz, później skórzany pas, czarną pelerynę i czarny welon. Na każdej sztuce garderoby, zanim ją ubrała, składała pocałunek. Następnie klękała i odmawiała różaniec, twarzą do ściany, na której wisiały portrety świętych oraz

portret młodego kadeta marynarki. Wiedziała, że będzie brakowało jej chłodu małego pokoju, jego wilgotnych ścian, chwiejnych desek podłogowych, po których czasami bała się chodzić, chmury puchowych białych piór z bocianich gniazd na kominach, które wiatr nawiewał do pokoju przez okno.

Wróciła do pokoju z miską mleka, nakarmiła dziecko, a potem, kołysząc je w ramionach, poszła na spacerdookoła klasztoru. Była gotowa odejść stąd następnego ranka, nikomu o niczym nie mówiąc, nawet siostrze Beatriz, która przez cały czas trwała po jej stronie. Decyzja, z którą musiała się zmierzyć, dotyczyła wyłącznie jej przyszłości. Miała nadzieję, że pod nowym nazwiskiem znajdzie pracę pielęgniarki w szpitalu, gdzieś bardzo daleko. Po raz ostatni spojrziała na klasztorne posągi o enigmatycznych twarzach, na dzwonnice, na cmentarz wyściełany jesiennymi liśćmi, na nieodwracalne zniszczenia, widoczne dosłownie wszędzie i przez cały czas jej pobytu w klasztorze wzbudzające poczucie winy. Kiedy weszła do szopy, zawiesiła torbę z obrokiem na szyi Midasa i sprawdziła samochód. Dołała wody do chłodnicy i sprawdziła poziom oleju, uzupełniła bak z paliwem, a kanister z resztą zapasu położyła na tylnym siedzeniu. Pracowała spokojnie, przy otwartych drzwiach, żeby do szopy wpadało światło, nie obawiając się wcale, że ktoś ją zobaczy. Siostry nie miały prawa niczego podejrzewać, ponieważ wiedziały, że obsługa Forda jest jej ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu.

Do kaplicy przyszła akurat na czas, żeby rozpocząć południową modlitwę. Potem dołączyła do sióstr w refektarzu, gdy te jadły lunch. Po bardzo długiej nieobecności, przy stole zasiadła także siostra Ana. Matka przełożona

skrzywiła się na ten manifest zwycięstwa, jednak nic nie powiedziała. Jadła, nie zwracając uwagi na nic dookoła. Układała plan. Kiedy skończyła posiłek, odczekała, aż zjedzą także inne siostry i niespodziewanie oświadczyła:

- Siostro Tereso - odezwała się bez cienia uśmiechu - nadszedł czas, żebym obejrzała twoje płyty.

Stało się jasne, że od dawna wie o zwyczaju siostry Teresy, która słuchała muzyki popularnej, zakładając skarpetę na tubę gramofonu, żeby jego dźwięki nie niosły się po całym klasztorze. Jednak siostra Maria Ines nigdy dotąd tego nie ujawniła, ponieważ muzyka tak bardzo przypominała jej fonograf Edisona z jej młodości.

Kilka minut później siostra Teresa wróciła do refektarza z płytami i gramofonem.

- Co teraz, matko? - zapytała.

- Teraz posłuchamy muzyki - odparła siostra Maria Ines.

Siostra Teresa nastawiła swoją ulubioną płytę i nakręciła gramofon. Kiedy igła dotarła do końca płyty, matka przełożona poprosiła siostrę Teresę o zagranie kolejnej, a potem następnej. Słuchała muzyki, stukając palcami w stół. Żadna z pozostałych kobiet, które siedziały dookoła stołu, nie była w stanie pojąć znaczenia tej chwili: to była ceremonia równie święta, jak każda msza. Ceremonia, która zapowiadała rychły powrót siostry Marii Ines do świata.

Po wysłuchaniu wszystkich płyt od początku do końca, siostra Maria Ines przyklękła przed ukrzyżowanym Jezusem i opuściła refektarz. Poszła prosto do swojego pokoju i wyciągnęła z szafy walizkę, którą pakowała tylko wtedy, gdy zbliżał się czas wizyty w stolicy, u przełożonej generalnej. Trochę później wciąż się pakowała, kiedy do

drzwi zapukała siostra Beatriz. Matka przełożona najpierw schowała walizkę pod łóżko, a dopiero potem pozwoliła jej wejść. Znalazłszy się w pokoju, siostra Beatriz zapytała:

- Jak się miewa dziecko, matko?
- Wkrótce będzie potrzebowało mleka.
- Co ci powiedział jego ekscelencja?

Matka przełożona poruszyła kołyską i powiedziała, patrząc na dziecko:

- Wszystko będzie dobrze. Wygrałyśmy. Renato może zostać.

- Nie rozumiem. Jego ekscelencja poinformował mnie, że chce, aby dziecko zabrano do sierocińca, i to daleko stąd.

- Daleko stąd? To już sierociniec w mieście mu nie odpowiada? - zapytała siostra Maria Ines i pochyliła się, aby wziąć chłopca na ręce. - W każdym razie przekonałam go, że najlepszą rzeczą dla Renato będzie pozostawienie go z nami. Oczywiście, nie było to łatwe. Chyba wiesz, że jego ekscelencja studiował w Rzymie dyplomację?

Siostra Beatriz była zaskoczona zarówno nowymi wiadomościami, jak i niezwykłym spokojem matki przełożonej.

- Kiedy wychodziłam z twojego pokoju, miałam wrażenie, że sprawa jest zamknięta - powiedziała.

- Żadna sprawa nigdy nie jest zamknięta, kiedy ma się w sobie dość wiary. No i daru przekonywania, oczywiście.

- To niewiarygodne. Jego ekscelencja ogłaszał mi swoją decyzję z wielkim przekonaniem.

Siostra Maria Ines popatrzyła na młodą zakonnice z dezaprobatą.

- Odnoszę wrażenie, że mi nie wierzysz, Beatriz. Powiedziałam ci przecież, że ochronię to dziecko.

Młoda zakonnica stała w milczeniu na środku pokoju.

- Nie stój tak - powiedziała siostra Maria Ines. - Czyż nie jesteś zadowolona z najnowszych wieści?

- Mam nadzieję, że jego eksceleńcja nie zmieni zdania.

- Na pewno nie. Przynieś mleko.

Kiedy siostra Beatriz wróciła z mlekiem, matka przełożona wzięła je, a ją samą odesłała. Nakarmiła dziecko, ułożyła do snu, po czym wróciła do pakowania walizki. Miała do zabrania tylko niewiele sztuk garderoby, ponieważ stare sukienki, które trzymała w cedrowej szafie, a które ożywiały jej wspomnienia o tragicznej miłości, wykorzystwała, aby uszyć ubranka dla Renato. Kiedy walizka była już spakowana, położyła się na łóżku, zbyt zmęczona, by zdjąć habit. Niemal natychmiast zasnęła. W nocy wyszła na nokturny jeszcze przed biciem dzwonu, podporządkowując się rutynie, która na przestrzeni lat zamieniła się w instynkt. Poszła do kaplicy, poprowadziła modlitwę i jak lunatyczka wróciła do pokoju. Znowu zapadła w głęboki sen. Śniła, że właśnie umarła i leży na stole w refektarzu. Wszystkie siostry zgromadziły się dookoła stołu, razem z biskupem i ojcem Mateo, ale zamiast odczytywać tekst ostatniego namaszczenia tańczą do muzyki z gramofonu. Wreszcie, wciąż przy grającej muzyce, wynoszą ją do lasu, otwierają grób, w którym zakopane zostały otrute psy i rzucają jej zwłoki pomiędzy gnijące resztki zwierząt.

Obudziła się tuż przed świtem. Nie potrafiła zrozumieć znaczenia makabrycznego snu. Muzyka wciąż rozbrzmiewała w jej uszach. Nie miała czasu, żeby o tym myśleć - musiała już jechać. Zapaliła świecę przy łóżku i wyciągnęła spod łóżka walizkę. Ale kiedy podeszła do kołyski, żeby zabrać z niej Renato, zobaczyła, że dziecka tam nie ma.

Na zewnątrz wciąż panował mrok, ziemię słabo oświetlał jedynie sierp księżyca, jednak nie miała kłopotów ze znalezieniem drogi w ciemności. Niezliczoną liczbę razy chodziła do kaplicy w środku nocy i doskonale знаła każdy skrawek klasztoru. Nawet nie pomyślała o tym, żeby zabrać z pokoju lampę. Szybko wybiegła na korytarz i zaczęła zbiegać ze schodów, po dwa stopnie na raz. Zanim dotarła na parter, nadepnęła na rąbek habitu i spadła z kilku stopni. Obtarła sobie kostkę, dokładnie w miejscu, w które ugryzł ją pies. Poczula ostry ból, jednak szybko wstała i pobiegła dalej, ciężko dysząc i przytrzymując habit, żeby nie upaść drugi raz. Myślała tylko o jednym. Przy końcu krużganka wbiegła do góry po kolejnych schodach i przebiegła przez loggię do ostatnich drzwi. Otworzyła je i jak burza wpadła do celi. Przez moment nic nie widziała, jednak powoli jej oczy zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Wkrótce dostrzegła sztalugi oraz stół z dzbankami pełnymi farb i pędzli. Na łóżku coś poruszyło się pod pościelą i kiedy uderzyła w to coś zaciśniętą pięścią, usłyszała zduszony krzyk.

- Wstawaj - powiedziała.



Siostra Ana otworzyła oczy, przerażona po ciosie, który otrzymała w ciemnej celi.

- Powiedz mi, gdzie jest dziecko - zażądała siostra Maria Ines.

Siostra Ana próbowała się ukryć w pościeli.

- Odejdź stąd! - zawołała. - Władają tobą złe duchy.

- Odpowiadaj! Gdzie jest dziecko?!

Kiedy pozostałe siostry usłyszały krzyki, przybiegły i stanęły w drzwiach, trzymając w rękach lampy. Matka przełożona nakazała im oświetlić całą celę, żeby mogła ją przeszukać. Wtedy zorientowała się, że wśród zakonnicy nie ma siostry Beatriz. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Siostra Maria Ines szybko przeszła do celi młodej zakonnicy. Łóżko było świeżo pościelone, a przez otwarte okna dawno już uleciało ciepło i zapach ludzkiej obecności. Na stole, obok sterty książek z klasztornej biblioteki, przed małym posągami Madonny z Dzieciątkiem, płonęła lampka oliwna. Można było odnieść wrażenie, że oznacza ona pożegnanie. Większość oliwy już się wypaliła. Oznaczało to, iż lampkę zapalono jakiś czas temu. Matka przełożona zrozumiała, że przybyła za późno.

Z lampą udała się do szopy i ze zdumieniem stwierdziła, że Beatriz nie zabrała samochodu lecz osła. Ale samochód był bezużyteczny. Miał poprzecinane opony, a silnik zniszczony w taki sposób, że można go było naprawić jedynie przy pomocy części zamiennych z miasta. Przez moment siostra Maria Ines nie rozumiała, dlaczego zakonnica nie pojechała Fordem. Jednak zaraz odgadła, że gdyby siostra Beatriz pozostawiła osła, ktoś mógłby na nim pojechać do miasta i wszcząć alarm. Teraz zakonnice były zupełnie odcięte od świata i mogły jedynie czekać, aż ktoś zjawi się

u nich z wizytą. Pod samochodem rozlała się kałuża gęstego płynu. Siostra Maria Ines ukłękła z lampą, żeby ocenić zniszczenia. Teraz żałowała, że nauczyła swoją protegowaną obsługiwać samochód. Sama nie mogła teraz nalać oleju do silnika, ponieważ brakowało korka do miski olejowej. Oświetliła każdy kąt szopy, a jej desperacja rosła. Nie była w stanie podjąć w nocy pościgu za kobietą i dzieckiem. Nie miała nawet pojęcia, w którą stronę się udać.

Wyszła z szopy, wciąż niepokojona z faktami, ale już nie zdziwiona. Czowała, że spełniła się przepowiednia, którą przez długi czas ignorowała. W nocnym powietrzu jej oddech zamieniał się w białą parę. Martwiła się o dziecko, które musiało podróżować w taką zimną noc. Słabe światło księżyca nie sięgało pod sklepienie krużganka, kiedy wracała do dormitorium. Próbowwała sobie przypomnieć, czy siostra Beatriz kiedykolwiek uczyniła coś, co ostrzegłoby ją przed porwaniem, jednak nic nie przychodziło jej do głowy. *Co się teraz ze mną stanie*, rozmyślała. Nie podołała kolejnej próbie wiary i zdolności służenia Bogu. Być może nawet pojawienie się dziecka wcale nie oznaczało dla niej szansy na odkupienie grzechów, ale było kolejną częścią kary, która nigdy nie miała się skończyć. W każdym razie było teraz dla niej jasne, że skazana jest na wieczne potępienie.

Nie rozumiała, dlaczego Beatriz, jej ulubiona siostra zakonna, ukradła dziecko. Uczucie nienawiści do Beatriz rosło w jej żołądku i doprowadzało niemal do wymiotów, jednak w pewnej chwili błyskawicznie przeszło. Trudno było z głębi serca ją potępiać - to uczucie całkowicie wyczerpała dla siostry Any. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie Beatriz i zdała sobie sprawę, że nawet nie zna jej prawdziwego nazwiska. Zakon nie żądał żadnych

informacji o przeszłości sióstr. Mogły występować pod dowolnymi nazwiskami, a po złożeniu ślubów nadawano im imiona religijne.

Wróciła do celi młodej zakonnicy i przeszukała ją starannie, lecz bez wielkiej nadziei. Nie znalazła żadnych wskazówek, które mogłyby wyjaśnić jej poczynania, jedynie ślady uporządkowanego i spokojnego życia. Otworzyła szafę, była pusta. Poszła znowu do celi siostry Any i pozostałym siostrom kazała wyjść. Siostra Ana posłała jej złe spojrzenie.

- Jesteś za to odpowiedzialna - powiedziała matka przełożona.

- Postępuję zgodnie z wolą Boga i wedle prawa. Beatriz jest tak samo winna wszystkiemu jak ty, ale przynajmniej nie jest wariatką.

- Dlaczego zabrała dziecko?

- Nie wiem. Nie była moją przyjaciółką, lecz twoją.

- Zabrała je do miasta? Do sierocińca?

Na dworze świtało. Zbliżał się czas kolejnej modlitwy, jednak matki przełożonej teraz to nie obchodziło. Spojrzała przez okno i po raz kolejny zadała sobie pytanie, czy nie powinna jednak udać się w pościg za Beatriz i dzieckiem. Musiała jednak pogodzić się z faktem, iż taki pościg byłby bezsensowny - nigdy ich nie znajdzie. Niespodziewanie pożałowała, że otruła psy. Psy mogłyby przecież wytropić osła.

- Ja odpowiadałam za to dziecko - rzuciła w przestrzeń.

- Gdyby nie ty, dziecko byłoby teraz bezpieczne w sierocińcu. Ale czego by nie powiedzieć, jeśli chodzi o klasztor, sprawa jest ostatecznie załatwiona. Reszta należy do Gardii. Postępowałaś wbrew prawu.

- Chrześcijanie nie powinni przejmować się ziemskimi prawami.

- Zawsze podejrzewałam, że coś z tobą jest nie tak, ale nie potrafiłam dojść, co to takiego - powiedziała siostra Ana. - Teraz odnoszę wrażenie, że skrywasz jakąś tajemnicę z przeszłości. Może popełniłaś przestępstwo? Wciąż próbujesz uciec od tego wspomnienia. Musi być z tym związana twoja obsesja na tle dziecka.

- Dziecko jest w niebezpieczeństwie. Beatriz nie potrafi przeprowadzić go przez góry. Zimno w nocy jest zabójcze.

- Nie martw się o nią i dziecko. Guardia bardzo szybko się nimi zajmie.

- Mam nadzieję, że nie. Dla dobra Renato.

- Dla dobra zakonu - powiedziała siostra Ana z naciskiem.

- W przeciwnym wypadku wszyscy się dowiedzą, co się tutaj stało. Ty także będziesz miała kłopoty z Guardią.

- Uczyniłam to, czego chciał ode mnie Bóg - stwierdziła matka przełożona bez złości w głosie. - I nie ma już znaczenia, co się teraz ze mną stanie.

Im więcej myślała o dziecku, tym mocniej wierzyła, że jego nieszczęście nie ma żadnego związku z nikim, tylko z nią. Wiedziała, że inni ludzie odegrali jedynie małą rolę w tej kłopotliwej, skomplikowanej scenie, która w całości przeznaczona była wyłącznie dla niej. To ona miała się z nią zmierzyć.

- Wszystko już stracone - powiedziała. Rozbrzmiał dzwon, wzywając siostry na poranną modlitwę.

- Idę do kaplicy - powiedziała siostra Ana. - Będę prosić Boga, aby wybaczył ci twoje szaleństwo.

Matka przełożona machnęła na nią, żeby sobie poszła. Jej dusza zrobiła się dziwnie pusta, jakby wypłynęła z niej krew. Czowała się słabo i na odchodnym poprosiła jeszcze siostrę Anę, żeby poprowadziła za nią wszystkie modlitwy tego dnia. Była zmęczona i koniecznie chciała się położyć do łóżka. Jeszcze nigdy nie oglądała chwil po wschodzie słońca przez okna klasztoru. Zawsze o tej porze przebywała w kaplicy, przygotowując się do modlitwy. Pomyślała, że istnieje mnóstwo równoległych światów, równie nieuchwytnych jak świat duchowy, a człowiek w ogóle sobie z tego nie zdaje sprawy. A potem, pewnego dnia, następuje niespodziewane wydarzenie... Roześmiała się do swoich absurdalnych myśli i powiedziała jeszcze raz:

- Przepraszam, sioostro Ano. Nie czuję się dobrze. Muszę się na chwilę położyć.

Poszła do swojego pokoju. Nie śpiąc, spędziła w nim cały poranek. Bała się kolejnego straszego snu, takiego jak w nocy. W pewnej chwili, tuż przed lunchem, usłyszała, że przed klasztorem zatrzymuje się furgonetka z sierocińca.

Minęło wiele czasu, zanim do klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej powróciła normalność. Siostra Maria Ines opłakiwała dziecko tak bardzo, jakby zmarło, a ona była odpowiedzialna za jego śmierć. Umartwiała się świadomością, że już nigdy go nie zobaczy. Jednocześnie prześladowały ją wyrzuty sumienia, że nie ochroniła go przed siłami, które konspirowały przeciwko jej nadziei na odkupienie. Jej ból z pewnością by zmaleł, gdyby dowiedziała się, że kobieta, która zabrała dziecko, w rzeczywistości była jego matką. Tymczasem żyła w przekonaniu, że to jej własne i tylko jej dziecko, ponieważ Bóg w swojej nieskończonej mądrości, której nie zrozumie żaden człowiek, ułożył wszystko tak, aby mogła skorzystać z szansy na zbawienie, mimo grzechu śmiertelnego, jaki popełniła w młodości.

Nie miała cienia wątpliwości, iż istotą ostatnich wydarzeń była jej szansa, i nie wątpiła też, że kolejnej nie otrzyma. Na długie godziny zamykała się w celi i wychodziła z niej bardzo rzadko - zawsze wtedy, gdy zakonnice przebywały w kaplicy. Nie uczestniczyła we wspólnych modlitwach i nawet posiłki kazała sobie przynosić do łóżka. Jadła bardzo mało i znowu dopadł ją jeden z jej okresowych ataków

gorączki. Podejrzewając, że odzywa się stara malaria, zaczęła zażywać chininę, kilka tabletek dziennie, co z kolei wywoływało u niej poty, bóle głowy i ogólne oszołomienie. Efekty uboczne przyjmowania leków znosiła bez narzekania, bez zimnych kompresów, bez próśb o pomoc i ani na chwilę nie zmniejszyła liczby pigułek, które codziennie zjadała, ponieważ uważała, że cierpienie jest właściwym wstępem do ostatecznej kary, którą Bóg - albo ona sama - powinien jeszcze na nią nałożyć.

Kiedy tylko ludzie z sierocińca wrócili do miasta, poinformowali Guardię o zniknięciu siostry Beatriz i dziecka. Jednak minęły kolejne dwa dni, zanim jakiś funkcjonariusz przyjechał do klasztoru, w celu przesłuchania. Z jeszcze większym opóźnieniem konny oddział Guardii przeszukał góry w najbliższej okolicy, ale nie natrafił ani na żadne ślady po siostrze Beatriz, ani na nikogo, kto by ją spotkał, i po kilku tygodniach ze śledztwa po cichu zrezygnowano.

Wieści o zniknięciu młodej siostry przeraziły biskupa Estradę. W pierwszej chwili pomyślał, że zamierza go szantażować i dokładnie sprawdził swoją sytuację finansową w oczekiwaniu na jej żądania. Nie doczekał się ich. Wówczas zaczął się bać, że zakonnica zemści się, niszcząc jego reputację. Porozmawiał nawet z prawnikami, którzy poradzili mu, żeby wszystkiemu zaprzeczał. Kiedy minęło kilka miesięcy i nie otrzymał żadnego listu z Watykanu, zaczął mieć nadzieję, że już nigdy w życiu nie usłyszy o siostrze Beatriz. Nadszedł czas, aby zająć się sytuacją w klasztorze Matki Boskiej Miłosiernej.

Ponieważ przysiągł sobie, że nigdy już nie odwiedzi miejsca, w którym Szatan odniósł nad nim zwycięstwo, załatwił wszystko drogą pocztową. Napisał list, w którym

rekomendował siostrę Anę na stanowisko siostry wizytantki, tak jak jej obiecał. Usunął siostrę Marię Ines ze stanowiska matki przełożonej - za złą postawę w związku z sierotą, a na czele klasztoru postawił siostrę Teresę. Siostra Maria Ines przyjęła karę z obojętnością. Musiała opuścić swoją dużą celę, ponieważ przeznaczona była dla aktualnej matki przełożonej. Uczyniła to natychmiast, kiedy tylko otrzymała takie polecenie. Następnie uczyniła ctfś, co zaskoczyło siostry: zamiast zamieszkać w jednej z pustych cel w dormitorium, przeprowadziła się do zrujnowanej szkoły dla nowicj uszek.

Nie zaglądała tam już od dawna i nie spodziewała się, że pomieszczenia są w aż tak złym stanie, jednak to nie wpłynęło na jej decyzję. Zdecydowana, by to nie budynek narzucił jej swoją wolę, przez kilka tygodni pracowała nad przystosowaniem go do mieszkania. Sypiała tymczasem na parterze na materacu. Siostra Lucia zaoferowała jej swoją pomoc, jednak siostra Maria Ines wolała trzymać się z daleka od wszystkich, z nikim się nie przyjaźnić. Pragnęła po prostu świętego spokoju. Przede wszystkim usunęła z pokoiów stare meble i niepotrzebne bibeloty, które na przestrzeni lat znalazły drogę do opuszczonego budynku, niczym szczątki rozbitego statku na plażę: twarde materace wypchane wełną i końskim włosiem, na których zachowały się kształty ciał osób, które przed laty wydawały na nich ostatnie tchnienie; szafki, w których szczury uwiły sobie gniazda oraz niezliczone biurka, krzesła, świeczniki i tym podobne przedmioty, będące smutnymi świadkami setek lat funkcjonowania klasztoru. Następnie otynkowała i pomalowała ściany, przymocowała zawiasy w drzwiach i wreszcie wymieniła popękane i porozbijane szyby w oknach, aby



nie zamarznąć na śmierć od zimnych wiatrów, wiejących w środku zimy ze szczytów sierry.

Z szacunku dla niej siostra Teresa nie przydzielała jej żadnych innych obowiązków, dopóki nie wyremontowała szkoły dla nowicjuszek. Dopiero wtedy zapytała ją, co chce robić. Siostra Maria Ines nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią:

- Ford.

Nie zamierzała jeździć do miasta po zaopatrzenie i zakupy - to zadanie spoczywało na barkach siostry Lucii - chciała jedynie naprawiać i przygotowywać samochód tak, jak to robiła w bardziej szczęśliwych dla siebie czasach. Nowa matka przełożona z radością spełniła jej życzenie: siostra Maria Ines była jedyną osobą, która potrafiła naprawić zniszczenia auta, dokonane przez siostrę Beatriz. Bez samochodu jedynym kontaktem klasztoru ze światem zewnętrznym był ojciec Mateo, który przyjeżdżał co niedzielę na mule obładowanym wszelkimi sprawunkami.

Przez kolejne miesiące siostra Maria Ines naprawiała Forda, korzystając z części, które zamówiła w warsztacie w mieście. Kiedy skończyła, poszła do matki przełożonej i poprosiła o przydzielenie kolejnego obowiązku: chciała dzwonić dzwonem wzywającym do modlitwy. Wzruszona jej pokorą, siostra Teresa spełniła także i to życzenie.

Zima nadeszła wcześniej, tym razem ostrzejsza i dłuższa niż jakakolwiek inna zapamiętana przez którąkolwiek z sióstr. W lutym klasztor na kilka tygodni został odcięty od świata i zakonnice musiały oszczędzać jedzenie, aby wystarczyło go do czasu, kiedy droga do miasta znowu stanie się przejezdna. Przez cały czas siostra Maria Ines nie przestawała zażywać chininy. Lekarstwo nie tylko nie zbijało

jej gorączki, ale dodatkowo wywoływało potężne bóle głowy, które wręcz ją oślepiały. Pewnego poranka obudziła się, drżąc, ponieważ wiatr otworzył niedokładnie zamknięte okno. Oszołomiona lekarstwem, zobaczyła coś w ciemnym kącie pokoju. Było to dziecko, ubrane w białe wdzianko do chrztu, które kiedyś uszyła, bawiące się różańcem. Usiadła na łóżku i obserwowała je z zaciekawieniem. Niespodziewanie z drugiego końca pokoju rozległ się głos:

- Czas, żebyś uderzyła w dzwon.

Odwróciła się i popatrzyła na cień przy drzwiach.

- Czekałam na ciebie, Beatriz.

Młoda kobieta stała ze złożonymi rękami i przypatrywała się jej. Nie miała na sobie habitu.

- Podejdz bliżej - poprosiła siostra Maria Ines. - Nie bój się. O nic cię nie obwiniam. Wszyscy popełniamy błędy.

Znowu skupiła spojrzenie na chłopcu, który wciąż w ciszy bawił się różańcem.

Nie ruszając się od drzwi, młoda kobieta znowu ją napomniiała:

- Czas uderzyć w dzwon, matko.

Siostra Maria Ines przypomniała sobie, że wkrótce trzeba będzie rozpocząć poranną modlitwę.

- Tak. Zaraz to zrobię, dziecko, za chwilę - powiedziała. - I zaraz do ciebie wrócę.

Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Ogarnął ją strach, że zaraz coś się wydarzy, coś, na co nie będzie miała żadnego wpływu. Tymczasem młoda kobieta odezwała się powoli, bardzo poważnym głosem:

- Kiedy wrócisz, nas już tu nie będzie.

- Dlaczego nie, dziecko? - zapytała siostra Maria Ines. - Wrócę za minutę.

Jej ręce drżały, kiedy ubierała habit, zakładała welon, przewiązywała pas... W pośpiechu nie była w stanie znaleźć różańca. Oczywiście, różaniec miało dziecko. Siostra Beatriz odezwała się stanowczym głosem z za jej pleców:

- Nie. Najlepiej będzie, jeśli już tu nie wrócisz.

- Och - westchnęła siostra Maria Ines. - Chcę tylko porozmawiać... Nie zamierzam... Wiele się wydarzyło, odkąd odeszłaś z klasztoru.

Dziecko w rogu pokoju ciągle bawiło się różańcem. Siostra Maria Ines skończyła się ubierać i uklękła, jednak dziecko nie chciało oddać jej różańca.

- Spóźniasz się - powiedziała młoda kobieta, kiedy siostra Maria Ines delikatnie chciała odebrać różaniec chłopcu.

W chwili, kiedy się jej to udało, sznur paciorków przemienił się w węża, który zaczął ślizgać się po jej palcach. Siostra zalała się łzami i na chwilę zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, nie było już ani Beatriz, ani dziecka. Przeszukała wszystkie pokoje, jednak ich nie znalazła. W końcu poszła do dzwonnicy, aby wezwać siostry na poranną modlitwę...

Nie pogodziła się z faktem, że cierpi na urojenia. Nie widziała nic dziwnego w tym, że siostra Beatriz wróciła do klasztoru, żeby z nią porozmawiać. Zaczęła bardzo mało sypiać, ponieważ każdy szelest, każdy cień i każdy mocniejszy podmuch wiatru w pokoju sprawiał, iż otwierała oczy, zapalała świecę i wpatrywała się w ciemność, dopóki nie upewniła się, że nie ma u niej żadnego gościa. Wciąż wypełniała swe obowiązki, jednak po jej głowie krążyły jedynie myśli o tym, co powiedziała jej Beatriz. Wszędzie szukała kobiety i dziecka, uważnie przypatrywała się twarzom sióstr, szczegółowo analizowała ich poczynania i wszystkie

słowa, jakie wypowiadały, podejrzewając, że to może one ukrywają przed nią dziecko.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim przyszło jej do głowy, że zachowuje się absurdalnie i z przerażeniem pomyślała, iż traci wszelki zdrowy rozsądek. Natychmiast odstawiła chininę - uznała, że to ona jest powodem halucynacji - oraz pozbyła się wszystkiego, co przypominało jej o dziecku: kołyski, koców i ubranek ozdobionych-cekina-mi i wizerunkami cherubinów. Wkrótce nie wypatrywała duchów i uspokoiła się, jednak wciąż nie mogła pozbyć się wspomnienia słów, które Beatriz wypowiedziała w jej pokoju: *Uderz w dzwon. I najlepiej będzie, jeśli już tu nie wrócisz.*

Fraza ta stała się dla niej zagadką, którą początkowo zinterpretowała jako instrukcję, aby porzucić zakon i odejść z klasztoru. Myśl o powrocie do świata zewnętrznego wypełniła ją złymi przeczuciami. Była na to gotowa, kiedy stawką było ratowanie dziecka. Teraz jednak nie widziała żadnego powodu, aby opuszczać zakon i tłumaczyła sobie, że słowa te muszą oznaczać coś zupełnie innego. Zagadka nurtowała ją przez całą wiosnę. Powracała do niej, kiedy pracowała przy samochodzie - wówczas to dłonią tłustą od smarów masowała czoło i przemawiała sama do siebie, jakby się z kimś kłóciła. Czasami po prostu siadała z pochyloną głową i tylko jej otwarte oczy świadczyły o tym, że nie śpi. W kaplicy klęczała w absolutnej ciszy długo po wyjściu pozostałych sióstr, ale nie modliła się, tylko po raz kolejny rozmyślała o tym, co powiedziała jej siostra Beatriz w czasie iluzorycznej wizyty. Nadal mieszkała w szkole dla nowicjuszek. Po naleganiach siostry Teresy przyjęła grzejnik benzynowy, który wcześniej kupiła dla dziecka

i, włączywszy go, stawiała na całą noc tuż przy łóżku. Jedynymi jej prawdziwymi towarzyszami były duchy, nawiedzające zdewastowany budynek. Każdej nocy słyszała, jak puste pokoje rozbrzmiewają echem głosów powtarzających słowa katechizmu. Nad ranem wszystkie tablice bywały zapisane koniugacjami czasowników łacińskich. Pewnego dnia odkryła w skryptorium zwój pergaminu, na którym ktoś zapisał pięknym charakterem pisma wiersz Teresy z Avilii:

*Daj mi bogactwo lub niedostatek, radość lub cierpienie,  
szczęście lub mrok,*

*Niebo albo Piekło, słodkie życie, odkryte słońce — a dam  
ci to samo.*

Atrament na pergaminie był jeszcze mokry. Z przerażeniem pomyślała, że być może to ona sama wyszła w środku nocy i napisała te słowa, a nad ranem nie jest w stanie sobie tego przypomnieć. Wtedy zaczęła chodzić od pomieszczenia do pomieszczenia, czyścić podłogę, naprawiać zamki w drzwiach, przybijając gwoździe i wykonywać mnóstwo innych prac, zupełnie niepotrzebnych, ale dających jej zajęcie. Była to bardzo prosta taktyka w zmaganiach z grożącym jej szaleństwem.

Pewnego dnia, kiedy wymieniała w oknie szybę, którą wybił wiatr, poważnie się zraniła. Spojrzała na krew na swoich palcach i w tym samym momencie dotarło do niej wreszcie rozwiązanie zagadki, która nurtowała ją przez tak wiele miesięcy. Pozostawiwszy krople krwi na podłodze, poszła do pokoju, w którym sypiała, a tam, zamiast opatrzyć ranę, zaczęła odmawiać różaniec:

- *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...*

Nie postanowiła od razu, co powinna zrobić. Zastanawiała się nad tym przez całe lato, rozważając wszystkie zalety i wady decyzji, kilkakrotnie zmieniając zdanie, aż w końcu zabrakło jej argumentów i kontrargumentów. Zachowywała jeszcze pozory, chociaż już wiedziała, że nieodwołalnie zrobi to, co postanowiła. Wybrała dzień i chciała to zrobić o świcie. Ale kiedy nadszedł czas, zmieniła zdanie, tłumacząc to zamiarem udania się po raz ostatni na modlitwę. Potem, krótko przed modlitwą poranną, do jej pokoju przyszła siostra Teresa, po to tylko, żeby zobaczyć, jak się czuje, a następnie, kiedy przyszedł czas na bicie dzwonu, razem z nią poszła do kaplicy. Przed kolejną modlitwą jej dłonie były tak słabe, a ona sama tak mocno drżała, że z trudem wprawiła dzwon w ruch. Wreszcie, trzy godziny później, kiedy zegar na wieży wskazywał niemal południe, poczuła, że jest gotowa.

Przechodziła przez to w myślach już wiele razy, było to tak jasne i precyzyjne jak rytuał mszy świętej. Wydobyła zza paska różaniec i ucałowała go, jednak nie było już czasu na modlitwę. Położyła różaniec na łóżku, po czym zdjęła pas, który umieściła tuż obok. Następnie ściągnęła welon i zdjęła habit, z wyjątkiem białej tuniki. Wszystko starannie złożyła i położyła na łóżku. Wykonując te czynności, powoli i metodycznie, zaczęła sobie przypominać wszystko, co wydarzyło się od lata ubiegłego roku. Przypomniła sobie, jak obudziła się i zobaczyła pustą kołyskę, wspomniła nagłą napaść psów na dziedzińcu i dzień, kiedy wyjęła dziecko ze starej walizki znalezionej na schodach. Ku swej konsternacji, stwierdziła, że nie pamięta już jego twarzyczki: można jej było teraz pokazać jakiegokolwiek dziecko, a ona

uwierzyłyby, że to jest Renato. Gdyby nie zaniedbała swoich obowiązków, obserwowałaby jak dorasta i staje się kimś, kogo na pewno by zapamiętała.

Nie miała już jednak czasu na rozważania, co by się stało, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej. Powiedziała tylko głośno:

- Dobry Boże, miej go w opiece.

Było to jakby pożegnanie z kimś, kto się znajduje w odjeżdżającym pociągu.

Powróciły do niej wspomnienia z dalszej przeszłości - tym jaśniejsze, im bardziej odległe. Przypomniała sobie czas, kiedy była misjonarką w Afryce; w głębi serca chciała wtedy zachorować na jakąś nieuleczalną chorobę i umrzeć jak święta. Zupełnie nie zdawała sobie wtedy sprawy, że Bóg ma wobec niej zupełnie inne zamiary. Zanim wyszła z pokoju, wspomniała też moment, kiedy dowiedziała się o śmierci narzeczonego, wspomniała wizytę u kobiety w obcym mieście i koniec ciąży w malutkim pokoju w pięknej willi. Jej ostatnim wspomnieniem były chwile, kiedy kochała się, pierwszy i ostatni raz w życiu. Temu wspomnieniu nieodłącznie towarzyszył zapach krwi.

Wyszła ze szkoły dla nowicjuszek tylko w cienkiej tunice i zaraz zaczęła drzeć, mimo że na dworze było ciepło. Zakonnica, która napełniała wiadro przy studni, nie podniosła głowy. Siostra Maria Ines szybko przeszła do kaplicy i wspięła się na szczyt dzwonnicy. Chwyciła za linę dzwonu, sięgającą niemal ziemi, podciągnęła ją i zawiązała sobie pętlę wokół szyi. Wtedy dotarła do niej świadomość potworności tego, co zamierzała zrobić, zawahała się. Ale pragnęła tego.

- Nie bój się - powiedziała. - Nie zabijam ciebie, lecz zło, które żyje w tobie, niezależnie od twojej woli. Przepędzenie demona nie jest grzechem.

Jakby chcąc wesprzeć tę argumentację, zaczęła odmawiać egzorcyzmy. Uniosła głowę i spojrzała na gęsty sosnowy las i góry u stóp klasztoru. Z miejsca, w którym stała, widziała także cmentarz. Wiedziała, że nie zostanie na nim pochowana, ponieważ według Kościoła to, co -zamierzała uczynić, było grzechem śmiertelnym. Już miała dać krok w pustkę, kiedy zobaczyła, że ktoś podąża drogą na ośle lub innym zwierzęciu, zmierzając w kierunku klasztoru. Przyszło jej do głowy, że to siostra Beatriz wraca razem z dzieckiem i ona, siostra Maria Ines, nie będzie mogła zrealizować swojego planu. Wkrótce jednak zrozumiała, że to tylko ojciec Mateo na mule. Jej serce niemal przestało bić po tym ostatecznym rozczarowaniu. Przeżegnała się. Nadszedł czas.

Długi skok, zimne powietrze owiewające twarz i nagle szarpnięcie liny. Przestała cokolwiek widzieć, usłyszała jednak bicie dzwonu. Najpierw słyszała tylko dzwon, a potem także czyjeś krzyki i piski. Czy to możliwe? Przez moment jej serce biło nadzieją, że przechodzi do życia wiecznego, że w ostatniej chwili uzyskała przebaczenie. Ale dzwon wkrótce zamilkł, lina na jej szyi zacisnęła się bardzo mocno i poczuła się lekka jak piórko. W ostatnim przebłysku świadomości uznała, że właśnie następuje w jej życiu moment, w którym przekracza się próg i dołącza do zastępu dusz - zarówno dobrych, jak i złych, tylko błądzących w ciemnościach i nie trapionych już żadnymi wspomnieniami.

Ojciec Mateo usłyszał bicie dzwonu, nie słyszał jednak krzyków, kiedy po chwili pukał do drzwi klasztoru.



Mimo sporego ładunku i trudnego terenu zwierzę wspinało się po wzgórzu bez chwili przerwy, stawiając kopyta w szczelinach pomiędzy wyszczerbionymi skałami, mokrymi i śliskimi. Przez cały ranek padało, jednak siostra Beatriz parła naprzód w obawie, że wyruszy za nią pościg. Siedziała okrakiem na ośle, trzymając się siodła i okrywając siebie oraz dziecko dużą, płócienną peleryną. Dziecko spało w prowizorycznym nosidełku, które przewiązała sobie przez szyję i przymocowała do tułowia. Deszcz już dawno przemoczył grube płótno i woda kapiała na grzbiet Midasa. Założyła na habit płaszcz, który jednak był bardzo cienki, dlatego przez cały czas drżała z zimna. Na głowę nie włożyła welonu, lecz słomkowy kapelusz, nie osłaniający ani przed wiatrem, ani przed deszczem. Kiedy tylko mogła, unikała utartych szlaków, wędrując skrótami przez wzgórze porośnięte gęstym lasem, aby ten, kto chciałby ją ścigać, miał jak najtrudniejsze zadanie.

Kiedy przyszła do pokoju siostry Marii Ines, aby porozmawiać o decyzji biskupa, który chciał oddać dziecko do sierocińca, zdziwiła się usłyszawszy, że matka przełożona zaprzecza tym najgorszym wieściom. Sposób, w jaki biskup

rozmawiał z siostrą Beatriz wcześniej rano, ton jego głosu, jego szczegółowy plan, dotyczący przyszłości dziecka, jego obietnica, że będzie o nie dbał - o ile tylko ona z niego zrezygnuje - nie pozostawiały teraz młodej kobiecie wątpliwości, że matka przełożona nie mówi jej prawdy. Siostra Beatriz zaczęła więc uważnie ją obserwować, udając, że wierzy jej zapewnieniom i starając się ukryć nieufność, aż wreszcie zrozumiała, iż matka przełożona planuje uciec z klasztoru razem z dzieckiem. Wróciła na chwilę do swojego pokoju i od razu postanowiła działać.

Wyszli z lasu sosnowego i zaczęli przecinać płaskowyż czerwonej ziemi, upstrzonej pojedynczymi skałami, otoczony ze wszystkich stron szczytami sierry. Podróżując powoli przez nagi teren, poczuła się nagle bardzo zmęczona i osamotniona. Nawet samotny drapieżny ptak, krążący wysoko nad ziemią, wzbudził w niej obawę, że ściągnie na nią i dziecko prześladowców. Kiedy dotarła do skraju płaskowyżu, zatrzymała osła i spojrzała wstecz, w kierunku, z którego przybyła. Stwierdziła, że nikt nie podąży jej śladem. Wmawiała sobie, iż nie powinna się obawiać pościgu: siostry nie mogły przecież gonić jej na piechotę, nie były też w stanie pojechać do miasta po pomoc. Forda zniszczyła tak, że nie sposób go było naprawić narzędziami dostępnymi w klasztorze. Te myśli uspokoiły ją i zaczęła się rozglądać za miejscem na odpoczynek. Przed opuszczoną kopalnią zostawiła Midasa, aby sobie poskubał krzaki głogu, a ona razem z dzieckiem schroniła się w środku przed deszczem. Ciemność szybu kopalnianego trochę wytrąciła ją z równowagi. Zdjęła płócienną pelerynę i stanęła kilka kroków przed wejściem do szybu, wsłuchując się w odgłosy padającego deszczu. Chociaż dziecko wciąż spało, rozpięła

plaszcz i drżąc z zimna podała mu pierś. Było do tego przyzwyczajone i przyjmowało pokarm, nawet nie otwierając oczu.

Deszcz na zewnątrz uderzał w drzewa i leżące na ziemi liście. Po wielu latach, które dzień po dniu spędzała w towarzystwie innych zakonnic, była teraz sama na świecie. Wiekowe mury klasztoru ochroniły ją przed epidemią grypy, jednak nie ochroniły przed machinacjami i strasznymi konsekwencjami miłości. Dziecko oderwało się w końcu od piersi, przykryła się. Wsunęła je znów do nosidełka i wsiadła na Midasa. Kiedy wkroczyła do puszczy dębowej i znowu zaczęła wędrować pod górę, deszcz przestał padać. Na szczycie najwyższego grzebienia górskiego zatrzymała się i skierowała wzrok ku dolinie upstrzonej licznymi chatami, skupionymi w kilka odrębnych wiosek. Po chwili skierowała osła w stronę wioski, która wcale nie znajdowała się najbliżej, lecz do której najłatwiej było się dostać. Po jakimś czasie dotarła do pierwszych zabudowań i usłyszała warczenie psów. Zignorowała je; bardziej bała się ludzi i Guardii. Zmierzała ku wysokiemu spiczastemu dachowi dzwonnicy, w samym sercu zabudowań. Jakiś mężczyzna stanął w drzwiach jednej z chat. Pozdrowiła go zdawkowo, on jednak jedynie patrzył na nią w milczeniu. Znalazłszy się na centralnym placu, zeskoczyła z osła i poprowadziła zwierzę do fontanny, z której popijał już jakiś zaniedbany muł. Następnie weszła do kościoła, żeby odpocząć i zastanowić się, jak powinna reagować na zaciekawione spojrzenia wieśniaków.

W skąpo urządzonym, ciemnym kościele, który trochę przypominał jej klasztorną kaplicę, poczuła się nadspodziewanie dobrze. Ułożyła dziecko na ławce i uklękła, żeby się pomodlić. Kiedy tylko skończyła i przeżegnała się, usłyszała za plecami głos:

- Przepraszam. Chyba już się gdzieś spotkaliśmy. Odwróciła się i zobaczyła ojca Mateo. Stał w odległości kilku rzędów ławek od niej, z dłońmi wsuniętymi w przeciwne rękawy sutanny.

- Obawiam się tylko, że nie pamiętam, gdzie to było - dodał. "

- Nie ojcze, chyba nie...

- Ach, już wiem - ożywił się młody ksiądz. - W klasztorze Matki Boskiej Miłosiernej, prawda? Ale nienosisz welonu, siostro. Czy masz jakiś powód? Niestety, nie pamiętam twojego imienia.

Beatriz szybko rozważyła swoją sytuację.

- Przepraszam ojcze, nie rozpoznałam cię - powiedziała. - Nie wiedziałam, że to jest twoja parafia.

- Och nie. Ja nie mam swojej parafii. Miejscowy ksiądz po prostu zachorował. Władze kościelne posyłają mnie wszędzie tam, gdzie jestem akurat potrzebny.

Popatrzył niepewnie na dziecko, śpiące na ławce.

- To jest Renato - powiedziała kobieta. - Dziecko, które ochrzciłeś.

- Nie rozumiem.

Siostra Beatriz wzięła dziecko na ręce i zapytała:

- Wysłuchasz mojej spowiedzi, ojcze?

- Oczywiście, siostro. Chcesz się wyspowiadać w tej chwili?

Skierował się do konfesjonału, jednak Beatriz dotknęła jego ramienia.

- Mogę się wyspowiadać tutaj, w ławce. Nikt mnie nie zna w tej wiosce.

- W rzeczy samej, siostrze.

- Ojciec jest bardzo uprzejmy - Beatriz rozpięła płaszcz i spostrzegła, że młody ksiądz z ulgą patrzy na jej biały habit.  
- Już nie jestem zakonnica, ojciec.

- Co się stało?

Zamiast mu odpowiedzieć, zaczęła:

- Pobłogosław mnie ojciec, bo zgrzeszyłam... - powiedziała powoli i natychmiast zrozumiała, że powie mu wszystko, jednak tylko wtedy, gdy obieca jej, że nikomu niczego nie zdradzi.

- Mów, siostrze - zachęcił ją, jakby czytał w jej myślach. - Spowiednikowi nie wolno zdradzić treści spowiedzi. Nikomu i pod żadnym pozorem.

Beatriz uśmiechnęła się, usłyszawszy jego poważny głos, zupełnie niezwykły u człowieka w jego wieku. Uspokoila się. Wiedziała już, że może mu zaufać. I cichym, lecz pewnym głosem, opowiedziała mu o dziecku - od chwili narodzin, aż do teraz. Mówiła ze szczegółami, jednak ani słowem nie wspomniała o biskupie.

- To jest bardzo poważna sprawa - powiedział ojciec Mateo, kiedy skończyła.

- Wstydę się, że sprzeniewierzyłam się moim ślubom. Ale nie żałuję niczego, co zrobiłam po odkryciu, że jestem w ciąży.

- Tak. Rozumiem, oczywiście... A ojciec?

- Ojciec nie ma z tym wszystkim nic wspólnego - powiedziała kobieta stanowczo.

Ksiądz zaczerwienił się.

- Och, nie chciałem... Nie interesują mnie żadne plotki. Jeśli myślałaś, że... Bardzo przepraszam.

Ojciec Mateo szybko udzielił jej rozgrzeszenia i poprosił, aby odmówiła akt skruchy.

Kiedy Beatriz skończyła, odezwała się:

- Teraz potrzebuję twojej pomocy w pewnej bardzo praktycznej sprawie, ojcze.

- Mojej pomocy? Wolałbym się nie angażować w coś, co...

- Potrzebne mi jest ubranie.

- Och, rozumiem. Pewna kobieta raz w tygodniu sprząta kościół. Być może zostawiła tutaj ubranie robocze - ojciec Mateo zaprowadził Beatriz do małego magazynku, gdzie znalazł dla niej jakąś starą suknię.

- Obawiam się, że nie jest zbyt czysta i, niestety, trochę zbyt cienka jak na tę pogodę - powiedział.

- Może być. Mam jeszcze płaszcz. Potrzebuję jej na dzień lub dwa, ojcze, zanim dotrę do miejsca, gdzie będę mogła kupić odpowiednie ubranie.

Skinął głową. Przez cały czas spoglądał ku drzwiom kościoła w obawie, że ktoś wejdzie i zobaczy, że oboje przebywają w magazynku. Wyszedł z niego, dając jej możliwość przebrania się. Po chwili Beatriz stanęła przed nim, ubrana w starą suknię, z dzieckiem w nosidełku. Jej przemiana zakłopotwała księdza; była bardzo ładną kobietą. Popatrzyła na niego i powiedziała z uśmiechem:

- Bóg cię nam zesłał, ojcze Mateo.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, siostrze.

- Proszę, zabierz to - powiedziała Beatriz i podała mu habit.

Popatrzył na habit, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić.

- Myślę, że powinieneś go spalić - powiedziała siostra Beatriz.

- Nie. To by nie było właściwe. Wzruszyła ramionami.

- Jak sobie życzysz - otworzyła portmonetkę i podała mu kilka monet. - To dla sprzątaczk. Za suknię.

Ksiądz przyjął pieniądze. Chciał coś powiedzieć, ale do głowy nie przychodziło mu nic stosownego. W seminarium nie przygotowano go na takie sytuacje, jak ta. W tej chwili kierowało nim tylko sumienie i instynkt, nakazujący mu czynić dobro.

- Czy jest jakaś szybka droga do dużego miasta po tej stronie gór? - zapytała Beatriz.

Ojciec Mateo popatrzył na zegarek.

- Do miasta jeździ autobus - powiedział. - Ale do odjazdu jest jeszcze dużo czasu. Czy ktoś za tobą podąża?

- Nie. Dopilnowałam tego. Ksiądz trochę się uspokoił.

- To dobrze, dobrze. A osioł?

- Midas? Znajdź dla niego dom. U kogoś, kto nie każe mu pracować ponad siły.

Usiedli w jednej z ostatnich ławek, obserwując przez otwarte drzwi kościoła przystanek autobusowy. Beatriz głaskała dziecko, śpiące w nosidełku, i rozglądała się dookoła. Był to jeden z tych biednych kościołów, które ludzie wspólnie budowali sami dla siebie. Miał gołe białe ściany, proste ławki i drewniany ołtarz. Czowała się tutaj bezpieczna i spokojna, jakby sanktuarium było przeznaczone zarówno dla jej ciała, jak i duszy. W ciągu ostatniego dnia przebyła długą drogę z klasztoru Matki Boskiej Miłosiernej, znacznie dłuższą niż przewidywała. Nagle straciła pewność siebie. Powiedziała sobie szybko, że powinna zrobić wszystko, żeby wrócić do klasztoru, a tam obieca siostrą poprawę

i poprosi o przebaczenie. Ale pomyślała też, że mogłaby po prostu przekazać dziecko młodemu księdzu i powiedzieć: „Rób z nim, co chcesz”. Chwila zwątpienia trwała jednak bardzo krótko. W milczeniu wyciągnęła dziecko z nosidełka i zaczęła kołysać je na rękach.

Usłyszała głośne kroki i w drzwiach kościoła stanął chłopiec. Ksiądz popatrzył na niego.

- O co chodzi?

- Moja mama pyta, czy ksiądz odprawi dziś wieczorem mszę.

- Odprawię.

- I czy będzie mogła przyjąć komunię.

- Czy powstrzymywała się przez cały dzień od posiłków i napojów?

- Nie, proszę księdza.

- Jest może chora? -Nie.

- A więc nie będzie mogła przyjąć komunii. Chłopiec przez chwilę spoglądał na księdza z obrażoną

miną i sobie poszedł. Ojciec Mateo znowu popatrzył na zegarek.

- Jeszcze trochę - powiedział i zaczął nerwowo przytupywać nogą. - Autobus zwykle się nie spóźnia. I zatrzymuje się tylko na chwilę.

- Powinniśmy już wyjść na przystanek?

- Nie. Stąd także usłyszymy, jak będzie nadjeżdżał.

- Dużo przystanków jest po drodze do miasta?

- Tylko kilka.

Beatriz pragnęła z wdzięczności ucałować dłoń kapłana, ale był znacznie młodszy od niej; w gruncie rzeczy zbyt młody, aby być przyzwyczajonym do odbierania



wyrazów szacunku, i prawdopodobnie wprawiłaby go tylko w zakłopotanie.

- Cóż, ojciec - powiedziała. - Potrzymasz go przez chwilę?

Popatrzył na dziecko ze strachem w oczach. - Och nie, siostrzyczko, dziękuję. Nie powinienem...

- Tylko przez chwilę, ojciec. Proszę, jestem trochę zmęczona.

- Dobrze, w takim wypadku...

Wziął dziecko w niepewne ręce i usiadł sztywno na ławce.

- Nie w ten sposób, ojciec - powiedziała kobieta. - O, tak - umieściła chłopca bardziej pewnie w jego ramionach.

- Ach, rozumiem.

Beatriz przez chwilę przypatrywała się trzymającemu dziecko kapłanowi.

- O czym teraz myślisz, ojciec? - zapytała.

- Och, o niczym. Po prostu... To dziwne, że grzech... błąd... może dać taki dobry i niewinny owoc - ojciec Mateo próbował kołysać chłopca, jednak Renato głośno zaprotestował i ksiądz natychmiast z tego zrezygnował.

- Pewnie jestem niedobrym księdzem. Nie widzę w tym biedactwie ani odrobiny zła. I w tobie też go nie widzę - powiedział, a jego twarz znowu przybrała purpurowy kolor. - Masz pieniądze?

- Dam sobie radę, ojciec.

- Proszę, nie martw się. Nikomu o niczym nie powiem, nie powiem nawet jego ekscelencji. Wiąże mnie tajemnica spowiedzi.

- Dziękuję.

Beatriz wstała i podeszła do drzwi. Zrobiło się już popołudnie i powietrze ociepliło się, była jednak zadowolona, że nie będzie musiała więcej podróżować na ośle. W mieście, do którego miał ją zawieźć autobus, znajdowała się stacja kolejowa. Pomyślała o matce przełożonej i przez chwilę zastanawiała się, co starsza kobieta robi po nagłej utracie dziecka. Lecz przecież Renato nie należał do niej. Będzie po prostu musiała ze wszystkim się pogodzić i pofwrócić do dotychczasowego życia.

Kiedy usłyszeli nadjeżdżający autobus, ojciec Mateo zerwał się na równe nogi i potulnie oddał dziecko kobiecie. Potem poszedł za nią na plac, gdzie garstka ludzi wsiadała już do pojazdu.

- Jesteś dobrym człowiekiem, ojcze - powiedziała Beatriz.

- Och, sam nie wiem. Staram się robić to, co kapłan...

Wszystko zależy od czasu i miejsca, prawda?

- Nie zawsze.

Beatriz czekała na swoją kolej przy drzwiach autobusu.

- Jeszcze jedna rzecz, siostrze, jeśli mogę - odezwał się ojciec Mateo.

- Słucham?

- Matka przełożona... Odnoszę wrażenie, że bardzo lubiła Renato, prawda? Jeden Bóg wie, co musi teraz przeżywać... Sądzę, że poznanie prawdy bardzo by jej pomogło.

- Chcesz, żebym do niej napisała?

- A uczyniłabyś to, siostrze? Bądź tak dobra. Pozwól jej zrozumieć, że sprawy przyjęły dla dziecka najlepszy obrót.

- Sama nie wiem. A jeśli...

- Och, nie śpiesz się z tym listem. Napiszesz go, kiedy ułożysz sobie życie. I wyślij list z innego miasta, nie z tego,

w którym będziesz mieszkała. Dzięki temu nikt cię nie znajdzie.

- Muszę jeszcze o tym pomyśleć, ojcze.

Wsiadła do autobusu i zajęła miejsce przy oknie. Patrzyła na młodego księdza, cierpliwie czekającego na jej odjazd. Niepozorny, skromny, stał z rękami w kieszeniach sutanny. Obserwując go, znowu pomyślała o siostrze Marii Ines, o tym, że przecież powinna być jej bardzo wdzięczna. Nagle wstała i otworzyła okno.

- Powiedz matce przełożonej, że kiedy tylko... - zawołała, ale kierowca już zamknął drzwi.

Jej ostatnie słowa utonęły w hałasie silnika, a w chmurze spalin z rury wydechowej zniknęła sylwetka księdza, do którego słowa te były adresowane.